

Carole Mortimer

Małżeńska intryga

*Tłumaczenie:
Krzysztof Dworak*

ROZDZIAŁ PIERWSZY

Czerwiec 1817 roku, londyńska rezydencja lady Cicely Hawthorne

– Musiała uradować cię wieść o bliskich zaślubinach Hawthorne’a z panną Matthews! – Lady Jocelyn Ambrose, hrabina wdowa Chambourne, opromieniła gospodynię uśmiechem.

Lady Cicely godnie skinęła głową.

– Swaty nie obyły się bez... komplikacji, ale Adam i Magdelena na pewno będą ze sobą szczęśliwi.

Hrabina spoważniała.

– Jak się ona miewa teraz, kiedy trudności zostały zażegnane?

– Bardzo dobrze. – Lady Cicely uśmiechnęła się serdecznie. – Z radością przyznaję, że ta młoda dama jest nieugięta

– Dała dowód wielkiego hartu ducha, kiedy ten nikczemny Sheffield usiłował zrujnować jej majątek i pozycję – wtrąciła Edith St. Just, księżna wdowa Royston, ostatnia z tercetu przyjaciółek, zapowiadając nazwisko łotra pogardliwym prychnięciem.

– A jak postępują twoje plany zaślubin Roystona, moja droga? – zwróciła się do niej lady Jocelyn.

Trzy damy przyjaźniły się od pięćdziesięciu lat, od pierwszego dnia ich debiutu. Z początkiem tego sezonu obiecały sobie wzajemnie, że dopilnują zaślubin trzech wnuków, zapewniając przyszłość trzech znamienitych rodów. Lady Jocelyn pierwsza dopięła swego. Przed kilkoma tygodniami wnuk jej ogłosił zaręczyny z lady Sylvianną Moreland, a ślub miał się odbyć z końcem lipca. Lady Cicely dopiero co osiągnęła cel, a teraz już tylko Edith St. Just, księżna wdowa Royston, musiała zadbać o swojego wnuka, Justina St. Justa, prawowitego księcia Royston.

Miała niełatwe zadanie, bo hultaj był przystojny i arogancki i nieraz się zarzekał, że ożeni się dopiero, kiedy sam to uzna za stosowne. Miał już dwadzieścia osiem lat, a wciąż nie zmienił zdania.

– Sezon kończy się już za kilka tygodni... – Lady Cicely rzuciła przyjaciółce niepewne spojrzenie.

Księżna wdowa przytaknęła.

– Royston podejmie decyzję jeszcze przed balem Hepworthów.

Lady Cicely głośno westchnęła.

– To już za dwa tygodnie!

Edith uśmiechnęła się z ukontentowaniem.

– I właśnie wtedy, masz moje słowo, St. Just założy kajdany.

– Nadal jesteś przekonana, że usidli go dama, której nazwisko jest w kopercie u mego kamerdynera? – Lady Jocelyn dołączyła najwyraźniej do grona wątpiących.

Kiedy tylko trzy damy ułożyły wspomniany plan, księżna wdowa oznajmiła, że zna już imię wybranki swojego wnuka i że Royston zaręczy się z nią, nim minie sezon. Z butą przyjęła wyzwanie obu przyjaciółek i dała Edwardsowi, kamerdynerowi lady Jocelyn, liścik z nazwiskiem. Koperta miała zostać rozpieczętowana, gdy ogłoszone zostaną zaręczyny.

– Nie mam co do tego cienia wątpliwości – potwierdziła dumnie Edith.

– Ale przecież Royston nie wyraził jeszcze zainteresowania żadną z młodych dam tego sezonu. – Lady Cicely, najwrażliwsza z przyjaciółek, nie mogła przeboleć, że jej droga Edith zazna goryczy porażki.

– I nie wyrazi – wyjawiała tajemniczo księżna wdowa.
– Ale przecież...
– Nie naciskajmy już kochanej Edith. – Lady Jocelyn ścisnęła ku pocieszeniu dłoń lady Cicely. – Czyż się kiedy myliła?
– Nigdy.
– I tym razem się nie omyłę – oznajmiła wyniośle księżna wdowa, choć jej popielatoniebieskie oczy wesołością zadawały kłam chłodnemu głosowi. – Wkrótce Royston nie tylko się oświadczy, ale zrobi to z miłości!
To oświadczenie o cynicznym do szpiku kości księciu zbiło pozostałe damy z tropu w takim stopniu, że straciły chęć do dalszej dyskusji.

ROZDZIAŁ DRUGI

Dwa dni później – Klub White'a, Londyn

– Nie czas już rzucić karty i wracać do domu, Litchfield?

– Możesz pomarzyć, Royston! – Odpowiedział mężczyzna o twarzy spoczonej i nalanej, po drugiej stronie karcianego stolika.

– Nie obchodzi mnie, że postanowiłeś przegrać ostatnią koszulę. – Justin St. Just rozparł się w fotelu. Błysk zmrużonych oczu w mrocznym pomieszczeniu zdradzał skrajną pogardę dla przeciwnika. – Po prostu chcę już mieć za sobą tę niekończącą się rozgrywkę.

Gorzko żałował, że podjął wyzwanie Litchfielda. Nigdy nie podjąłby rękawicy, gdyby nie wszechogarniająca nuda. Wszystko wydawało się lepsze niż bezczynność!

Znużenie dawało mu się we znaki, odkąd skończyła się wojna z Napoleonem. Mały Korsykanin został wreszcie zesłany na Wyspę Świętej Heleny, więc Justin uznał, że może bezpiecznie złożyć szlify i wrócić do obowiązków księcia Royston. Parę tygodni później pojął swój błąd. Istotnie, przyjaciół mu nie brakowało i na pęczki miał panienek chętnych dzielić z nim łożę. Apartamenty w Mayfair były nadal wygodne; już dawno postanowił nie rezydować w Royston House. Po śmierci ojca i wyprowadzce matki siedzibę rodu pozostawił babce.

Cały czas czegoś mu brakowało... jakby omijało go życie.

Nie wiedział jednak, za czym tęsknił i jak miał to znaleźć. I właśnie dlatego spędzał wieczór, grając w karty z tą z kreaturą naprzeciwno.

Lord Dryden Litchfield nie pozostawał mu dłużny. Spoglądał z nieskutecznie skrywanym wstrętem.

– Mawiają, że masz diabła szczęście do kart i damulek.

– Doprawdy? – Justin doskonale wiedział, co się o nim mówi w towarzystwie.

– A ja się zastanawiam, czy to tylko szczęście. Może...

– Miarkuj się, Litchfield – ostrzegł go leniwie i z niesłychaną łagodnością Justin. Nie dał poznać po sobie rozdrażnienia. Elegancką dłonią sięgnął po kieliszek i umoczył usta w brandy. Modnie przydługie blond włosy i aroganckie rysy nadawały mu wygląd upadłego anioła, ale nie demona. Wbrew niebiańskiej aparycji znany był z mistrzostwa we władaniu wszelką bronią pojedynkową, a podobne uwagi Litchfielda mogły doprowadzić do spotkania na ubitej ziemi o świcie. – Jak już mówiłem, lepiej, żebyśmy szybko zakończyli tę rozgrywkę.

– Arogancki sukinsyn. – Litchfieldowi źle patrzyło z oczu. Był tylko dwanaście lat starszy od Justina, ale otyłość, przeredzone siwe włosy i poczerniałe zęby, a także ciągle niepowodzenia w hazardzie postarzały go niepomrotnie.

– Obelgi raczej się nie przysłużą twojej karcianej wirtuozerii – odrzekł ironicznie Justin, odstawiając kieliszek.

– Ty...

– Proszę o wybaczenie, wasza miłość, ale to nie mogło czekać. – Z mroku wynurzyła się srebrna taca, na której spoczywała koperta adresowana do Justina nieznanym krojem pisma.

– Pardon, Litchfield. – Justin nawet na niego nie spojrział. Złamał pieczęć i przewertował treść listu, by zaraz schować kartkę do kieszeni kamizelki. Nie pokazując ręki, cisnął karty na stół.

– Pas – rzucił nagle. Skinął głową, poprawił mankiety i wstał do wyjścia.

– Jak zwykle blef! – zawołał zwycięsko przeciwnik. Buchnął dymem wstrętnego cygara i rzucił się do osieroconych kart. – Co, u diabła!

Zdumienie na widok asów wylało się na twarz Litchfielda wściekłym szkarłatem. Niebezpiecznie wściekłym, w opinii Justina. Nie wątpił, że lordowskie serce da za wygraną jeszcze przed pięćdziesiątką.

– A więc liścik od damulki. – Jedyne zasłona dymu skrywała wzgardę na twarzy Litchfielda. – I oto piekielny szczęściarz, księżę Royston, poddaje partię dla babskiej zachcianki.

Tymczasem ów piekielny szczęściarz walczył z przemożnym pragnieniem, by złapać przeciwnika za gardło i potrząsnąć nim jak jazgotliwym kundlem.

– Może czeka mnie bardziej pasjonująca rozgrywka w alkowie? – zadrwił Justin.

Litchfield prychnął grubiańsko.

– Poddajesz grę dla byle paniusi?

– Żadna strata – odparł Justin. – Życzę miłego wieczoru – skłamał na odchodnym i ruszył przez skąpo oświetlone wnętrza, kłaniając się po drodze znajomym twarzom.

– Z drogi, Royston!

Nieźródnany refleks pozwolił Justinowi wykonać błyskawiczny unik i obrót na czas, żeby ujrzeć pięść, która osadziła w pędzie siną ze złości twarz Litchfielda. Lord osunął się na ziemię z wdziękiem powalonego wołu.

Obrońca Justina przykucnął obok nieprzytomnego, zaraz wyprostował się i popatrzył na księcia. Lord Bryan Anderson, hrabia Richmond, był pięćdziesięcioletnim, przedwcześnie posiwiiałym mężczyzną o gęstej czuprynie. Wciąż pozostawał w doskonałej formie.

– Twój prawy hak jest pewny jak zawsze, Richmond – skomplementował go Justin.

– Na to by wyglądało. – Białowłosego arystokrata poprawił wyłogi koszuli na kamizelce, nie zwracając najmniejszej uwagi na rozciągnięte na podłodze cielsko. – Ośmielę się zapytać: czym tak rozeźliłeś tego człowieka?

– Pozwoliłem mu wygrać w karty. – Justin wzruszył ramionami.

– Doprawdy? – Richmond uniósł brwi. – Przy swoich długach mógłby okazać więcej wdzięczności.

– Istotnie, można by tego oczekiwać. – Przyjaciele patrzyli obojętnie, jak dwóch stoickich lokajów wynosi w milczeniu bezwładnego Litchfielda z klubu. – Jestem ci wdzięczny za szybką pomoc.

– Cała przyjemność po mojej stronie, Royston. – Richmond skłonił się dwornie. – Po prawdzie sprawiło mi to chyba więcej przyjemności, niż powinno.

Było w towarzystwie tajemnicą poliszynela, że obecnie owdowiały Bryan Anderson przez ponad ćwierć wieku opiekował się żoną, która zaraz po ślubie upadła z konia i zdiecinniała. Pozostawała w tym stanie do końca swych dni.

Pomimo wszelkich powodów dżentelmen nigdy nie sprzeniewierzył się przysiędze małżeńskiej. W każdym razie nie publicznie. Prywatne życie pozostawało wyłącznie jego sprawą i socjeta nie potępiłaby go w najmniejszym stopniu; dwadzieścia pięć lat życia z kobietą o mentalności dziewczynki musiało być prawdziwą torturą. Zdaniem Justina godziny na treningach bokserskich pomagały Richmondowi pozbyć się frustracji.

Podobnie jak knock-out Litchfielda.

– I tak jestem ci winien wdzięczność. – Justin skinął głową. – Lecz muszę cię przeprosić, mam ważne zobowiązanie.

– Oczywiście. – Richmond odpowiedział ukłonem. – A tak przy okazji, Royston...

Rzucił Justinowi znaczące spojrzenie, zatrzymując go w pół kroku.

– Na twoim miejscu uważałbym na siebie w najbliższym czasie. Najwyraźniej tylko z jednym Litchfield radzi sobie gorzej niż z przegraną. Ze zwycięstwem.

Cień uśmiechu zaigrał na ustach Justina.

– Na to by wyglądało.

Przyjaciół pokiwał głową.

– Miałem nieprzyjemność służyć z nim wiele lat temu w Indiach. To łajdak. Był nielubiany na równi przez żołnierzy i kolegów oficerów.

– Dziwne, że nikt się z nim nie rozprawił – rzucił Justin. Bywało bowiem, że zwerbowani, a raczej zmuszeni do służby żołnierze korzystali z bitewnego zamieszania, aby pozbyć się szczególnie znienawidzonych przełożonych.

Richmond uśmiechnął się niewesoło.

– Pewnie by tak skończył, ale w wyniku skandalu, w który zamieszana była żona innego oficera, dowódca postanowił odesłać go z jednostki.

– Czy tym dowódcą nie byłeś przypadkiem ty, panie?

– Przepadkiem byłem – odparł ponuro Richmond.

– Tym bardziej wezmę sobie do serca twoją przestrożę. Miłego wieczoru, Richmond – pożegnał się Justin. Bez zwłoki przywdział kapelusz i pelerynę i pospieszył na zewnątrz.

– Na Hanover Square, bądź łaskaw, Bilsbury – polecił stangretowi, wsiadając do książęcego powozu. Rozparł się w pluszach, drzwiczki trzasnęły i kilka sekund później powóz ruszył w ciemność nocy.

Jeśli jakakolwiek kobieta była warta poddania partyjki, to właśnie ta, do której jechał.

Panna Eleanor Rosewood niespokojnie przemierzała szeroki hol domu przy Hanover Square, wyglądając odpowiedzi na liścik, który posłała jeszcze tego wieczoru. Szczęśliwie nie dała po sobie poznać nic z udręki oczekiwania, gdy jej uszu doszedł stukot podków po bruku i, w następnej chwili, stłumiony pomruk znizonych głosów. Stanhope podszedł do drzwi i rozwarł je akurat w sam czas, by przystojny książę Royston, nie gubiąc pędu, wpadł do środka w obłoku chłodnego powietrza ze dworu.

Jak zwykle widok tego energicznego dżentelmena odebrał Ellie głos, więc wpatrywała się w niego bez słowa.

Royston był niezwykle wysoki, mierzył niemal sto dziewięćdziesiąt centymetrów wzrostu. Miał modnie zmierzwiłone złote włosy, szorstkie, lecz arystokratyczne rysy, ciemnobłękitne oczy, wysokie kości policzkowe i długi nos szlachetnego kształtu. Charakteru dodawały wyraziste usta i zdecydowanie zarysowana linia szczęki. Czarna kamizelka i biała koszula podkreślały szerokie ramiona i wąskie biodra, a płowe spodnie i czarne oficerki eksponowały muskularne łydki i uda. Książę był bez wątpienia jednym z najbardziej przystojnych dżentelmenów, jakich Ellie miała przyjemność oglądać. Należał też do najbardziej aroganckich.

– No i co? – zawołał z progu, zrzucając pelerynę i kapelusz, które w biegu wcisnął Stanhope'owi, i długim krokiem przeciął hol ku Ellie, która stała u stóp szerokich, łukowych schodów.

Wzięła głęboki oddech.

– Posłałam wiadomość, prosząc o twoje przybycie...

– Dlatego tu jestem! – uciął. Na cierpliwości też mu nie zbywało.

Ellie wysłała liścik ponad dwie godziny temu, a opóźnienie było jej bardzo nie na rękę.

– Spodziewałam się ciebie wcześniej, książę.

Royston zamarł.

– Czyżbym słyszał przyganę?

Zarumieniła się, wyczuwając pod płaszczykiem uprzejmości chłodną stanowczość.

– Nie chciałam...

– Cieszę się.

Bezwiednie uniosła głowę.

– Lecz wasza babka oczekiwała, że zjawisz się bez zwłoki, książę.

Starsza pani co kwadrans pytała opiekunkę o wiadomość od wnuka. Nie pierwszy raz wykazał się opieszałością.

– I tak właśnie uczyniłem.

Uniosła brew.

– Doprawdy?

Spojrzał na nią, jakby ją widział pierwszy raz. I tak zapewne w istocie było – opiekunki starszych dam nie zasługiwały na uwagę książąt. Zmierzył ją pogardliwie wzrokiem od rudych włosów, przez smukłą figurę w brązowej sukni po domowe pantofle. Popatrzył jej znowu w oczy.

– Ponoć jesteście spokrewnieni?

Nie całkiem – odrzekła w duchu Ellie. Jej owdowiała matka wyszła przed dekadą za męża za kuzyna starego księcia Royston. Niestety wraz ze swym mężem zginęła w wypadku, więc można powiedzieć, że Ellie nie była już nawet spowinowacana z Justinem St. Justem. Gdyby nie przygarnęła jej księżna wdowa, zostałyby bez grosza przy duszy i najpewniej więcej nie spotkała nikogo z tej rodziny.

– W najlepszym razie jesteście dalekimi przyrodnimi kuzynami, wasza miłość – odrzekła cicho.

Blask świec ozłacał jego zmierzwione włosy. Uniosł brew, lecz nie zdradził swych myśli, kryjąc spojrzenie za półprzymkniętymi powiekami.

– Kuzynko Eleanor – zwrócił się do niej drwiąco. – Gwoli wyjaśnienia, kiedy dostarczono twoją wiadomość, nie byłem w apartamencie. Nim mnie służący odnalazł, minął szmat czasu.

Justin nie rozumiał nawet, dlaczego strzępi język, tłumacząc się przed tą młodką. Miał do czynienia zaledwie z daleką powinowatą i nie przypominał sobie, żeby zamienił z nią dotąd choćby dwa słowa. Co prawda, zauważył ją, bo choć znudzony i cyniczny, był jednak mężczyzną.

Miała intrygująco rude włosy, choć wyraźnie starała się ukryć ich ognisty kolor w skromnym ułożeniu. Jasnozielone oczy w oprawie ciemnych rzęs i mleczone policzki ozdobione piegami, drobny nosek i usta... pełne, zmysłowe koloru dojrzałych truskawek – łatwo wyobraził sobie znacznie lepsze dla nich zajęcie od mowy czy jedzenia.

Ellie była drobna wzrostem i figurą, a krągłe piersi dodatkowo podkreślały smukłość talii i ud. Dłonie też miała drobne i delikatne, a długie paluszki chowała w koronkowych rękawiczkach.

Justin wiedział, że babka nie traciła czasu i od razu przygarnęła osieroconą Eleanor. Edith St. Just sprawiała wrażenie wyniosłej i pełnej pogardy, lecz serce miała szczerozłote.

– Wezwanie wydało mi się pilne – zauważył Justin.

– Tak. Był niedawno u księżnej lekarz...

– Lekarz? – powtórzył szorstko. – Czy babka jest chora?

– Wątpię, czy wezwałaby lekarza, gdyby było inaczej, wasza książęca mość.

Przez myśl przeszło mu zaskakujące podejrzenie, że dziewczę ma czelność z niego drwić, ale jej zielone oczy pozostały nieprzeniknione. Za tą irytująco zimną fasadą mogła ukrywać wszelkie emocje...

– Jaka jest natura dolegliwości babki?

Ellie wzruszyła ramionami.

– Nie uznała za stosowne mi tego wyjawić, panie.

Justin z trudem poskromił niecierpliwość.

– Zapewne jednak zasłyszawszy rozmowę z lekarzem?

Spuściła wzrok.

– Nie było mnie w pokoju przez całą wizytę...

– A dlaczego, u diabła?

Zaledwie jedno mrugnięcie długimi rzęsami zdradziło wzburzenie.

– Poprosiła, żebym przyniosła jej chustę z garderoby. Kiedy wróciłam, doktor Franklyn szykował się do wyjścia.

Justina ogarnęło jeszcze większe zniecierpliwienie.

– I wtedy babka poprosiła pewnie, żeby mnie wezwano?

Ellie przytaknęła.

– Poleciała też, żebyś, panie, udał się do jej komnaty sypialnej natychmiast po przybyciu.

Tej prośby jednak młoda dama nie raczyła przekazać aż do tej chwili. Może więc to jego przybycie wytrąciło ją z równowagi? Tę możliwość Justin uznał za tyleż intrygującą, co zabawną.

Skinął głową.

– Udam się do niej natychmiast. Mogłabyś zarządzić, żeby w bibliotece czekała na mnie brandy, kiedy zejdem na dół?

– Oczywiście. – Ellie poczuła ulgę, że otrzymała praktyczne zadanie. Jej zwykła pewność siebie ulatniała się jak kamfora w towarzystwie żywiołowego Justina. – Czy chcesz, panie, żebym cię odprowadziła?

Książę zatrzymał się na drugim stopniu i przeszył ją ostrym spojrzeniem.

– Umie trafić do komnat babki, ale możesz mi towarzyszyć. Upewnij się, że nie zagarnę rodowych sreber.

– A te srebra nie należą przypadkiem do was, panie?

Niełatwo było Ellie zachować spokój wobec tego przytyku.

– Ach, racja. – Uśmiechnął się przelotnie. – Więc może martwisz się, że się zgubię, kuzynko?

Miała świadomość, że dom oraz cały majątek księstwa były jego własnością.

– Z większym chyba pożytkiem będzie, jeśli polecę Stanhope'owi przygotować karafkę brandy w bibliotece.

Na myśl o wspólnej drodze na górę policzki Ellie płonęły – a wiedziała, jak bardzo przy rudych włosach nie do twarzy jej w rumieńcach.

– I dwa kieliszki.

– Spodziewasz się towarzystwa, panie? – zdziwiła się. Jako że wcześniej tak trudno było go odnaleźć, Ellie doszła do wniosku, że pochłoneły go zajęcia zapewne nie całkiem szlachetnej natury. Mimo to nie spodziewała się, że zaprosi tu swoich przyjaciół z półświatka.

– Myślałem, że ty do mnie dołączysz – wyjaśnił z pobłażliwym westchnieniem.

– Ja? – Otworzyła szeroko oczy.

Justin nieomal się roześmiał na widok zaskoczenia. Choć mógł się tego spodziewać: właśnie odbyli ze sobą pierwszą dłuższą rozmowę.

Ze zdziwieniem zauważył, że bawi go jej naiwność. Nieczęsto się to już zdarzało.

Całe dzieciństwo spędził w wiejskim majątku. Kiedy skończył dziesięć lat, posłano go do szkoły z internatem i rzadko już widywał rodziców. Poczul się wykluczony z ich wzajemnej miłości, co wpłynęło na jego postrzeganie małżeństwa. Akceptował je jako obowiązek księcia dla zapewnienia ciągłości rodu, ale nie wierzył w małżeństwo z miłości. Nie chciał, żeby jego dzieci poczuły odrzucenie, jakiego sam doznał.

W ciągu trzech lat jako głowa rodu nie odmawiał sobie niczego, a w szczególności żadnej kobiety, do której poczul choćby słabość – a czasem nawet takich, które najmniejszego pożądan

nie budziły: żon dżentelmenów czy córek nakłanianych przez matki do małżeństwa.

Eleanor Rosewood, dama do towarzystwa jego babki, była oczywiście inna, ale relacje rodzinne nie pozwalały mu myśleć o niej jako o przyszłej kochance, czego zaczynał żałować.

– Wasza książęca mość?

Otrząsnął się z zamyślenia.

– Chyba właśnie ustaliliśmy, że jesteśmy dla siebie kuzynami. Powinniśmy się do siebie zwracać odpowiednio: jesteś kuzynką Eleanor, a ja dla ciebie kuzynem Justinem.

Myśl, że ma się spoufalać z tym okrutnie przystojnym dżentelmenem, przestraszyła Ellie. Dwunasty książę Royston, wyniosły i arogancki, zdawał się spoglądać na cały świat z góry. Nie umiała pomyśleć o nim jako o kuzynie, a co dopiero zwracać się tak do niego.

– Zapewne wasza miłość już o tym wspomniał – odparła uparcie.

Uniósł brew i popatrzył na nią przekornie.

– Nie zgadzasz się ze mną?

– Obawiam się, że nie, wasza książęca mość.

Zmierzył ją nagle poirytowanym spojrzeniem.

– Będziemy więc mieli o czym dyskutować później w bibliotece. O ile mogę liczyć na twoje towarzystwo...

– Zapewne... – odrzekła, marszcząc czoło.

– Nie zgadzasz się? – Patrzył na nią wilkiem, rozgniewany nieprzejednaną postawą.

Według Ellie ten wątek rozmowy był kompletną stratą jego czasu. Jej czasu również. Po co dyskutować o tak nieistotnej kwestii jak sposób zwracania się do siebie? I tak pewnie nie zamienią słowa przez następny rok.

– Późno już, wasza miłość. Obawiam się, że księżna wdowa wyczekuje twego przybycia.

– Oczywiście. – Justin zachnął się. – Liczę, że będziesz na mnie czekała w bibliotece wraz z karafką brandy i dwoma kieliszkami.

To rzekłszy, ruszył po schodach na górę.

Jakbym była nie więcej niż psem, któremu kazał warować – oburzyła się w duchu Ellie.

ROZDZIAŁ TRZECI

– Sporo czasu ci zajęło, nim tu dotarłeś, Royston.

Podobnie jak wielu mężczyzn, Justin nie czuł się swobodnie w komnacie chorej, a szczególnie że chorą była jego babka, którą szanował i kochał.

Pobladła cera podkreślała każdą zmarszczkę. Niemniej bardzo dobrze wyglądała na swoje niemal siedemdziesiąt lat. Spoczywała na koronkowych poduchach, piętrzących się u wezłowania olbrzymiego łoża z baldachimem. Była to okoliczność niezwykle i niepokojąca, mimo że srebrne włosy miała jak zawsze doskonale ułożone, a twarz dumną i władczą.

St. Justowie nie dawali po sobie poznać słabości, o czym Justin wiedział aż nadto dobrze po długiej i skrytej walce dziada z wyniszczającą chorobą. Babka nosiła nazwisko po mężu, ale wolę miała równie niezłomną, jak wszyscy członkowie rodu.

Szybkim krokiem przemierzył szerokość komnaty i stanął przy łożu.

– Wybacz mi opóźnienie, babciu. Nie było mnie w domu, kiedy dostarczono wiadomość od kuzynki Eleanor...

– Gdybyś mieszkał w rodowej siedzibie, jak powinienes, nic podobnego by się nie zdarzyło – rzekła z wyrzutem.

– Już o tym dyskutowaliśmy, babciu. Ten dom należy do ciebie...

– Wszak jesteś księciem Royston!

Justin westchnął.

– Jestem, na moje nieszczęście.

Edith skarciła go spojrzeniem.

– Mieszkanie ze mną utrudniłoby ci hazard albo rozpustę, a pewnie jedno i drugie! Której słabości się dziś oddawałeś, że widzę cię dopiero teraz?

Prychnęła pogardliwie, ale nie udało się jej całkiem ukryć błysku w oku.

Justin zachował spokój. Nie chciał wzburzyć babki, lecz siedziby rodu unikał głównie z powodu wspomnień z dzieciństwa. Tu właśnie doświadczał częstej nieobecności rodziców i dojmującej samotności. Nie obawiał się, że babka utrudniłaby mu hulaszczę życie. Wolał jednak zajmować te same apartamenty, co przed śmiercią ojca.

– Raczej nie takie tematy powinien poruszać wnuk ze swoją starą babką – zaprotestował łagodnie.

– Nie mów mi o starości, z łaski swojej! I dlaczego nie podoba ci się ta rozmowa? –

Patrzyła na niego prowokująco. – Myślisz, że pamięć mnie do tego stopnia zawodzi, że nie wiem już, jak kawalerowie spędzają wieczory? I nie tylko kawalerowie!

– Wybacz, babciu. Jestem młody tylko w latach – odparł ponuro.

Od trzech lat dźwigał odpowiedzialność księcia Royston i musiał zachowywać pozory statecznego życia, na czym cierpiała tak ważna dla niego sfera prywatna.

Justin zaczął się zastanawiać, czy nadszedł już czas, by sprawić sobie stałą kochankę, spokojną i uległą kobietę, której jedynym celem w życiu będzie zaspokajanie jego potrzeb, gotową przyjmować go o każdej porze dnia i nocy i oczekującą w zamian jedynie utrzymania domu, w którym będą spędzali wspólne chwile. Uznał, że pomysł wart jest głębszego rozważenia.

Ale nie w tym miejscu i nie w tej chwili.

– Nie przyszedłem tu rozmawiać o moim postępowaniu – rzekł. – Teraz najważniejsze jest twoje zdrowie. Kuzynka Eleanor przekazała mi, że wezwałaś dziś doktora Franklyna. Co się

dzieje?

– Pozwól, że najpierw ja zapytam, kiedy postanowiłeś zwracać się do Ellie per „kuzynko”?

– Ellie?

– Panna Eleanor Rosewood, przybrana córka twojego kuzyna Fredericka – wyjaśniła cierpko Edith.

– Nie znamy się tak dobrze, żebym mówił do niej Ellie. Tym bardziej że jej matka dała jej piękne i eleganckie imię Eleanor. Poza tym panna Rosewood przykłada zbyt dużą wagę do konwenansów, żeby mi na to pozwolić.

– Masz rację. – Edith skinęła głową. – A właśnie o Ellie, o Eleanor, pragnę z tobą pomówić.

Justin nawet nie starał się kryć zdumienia.

– Chcesz mi powiedzieć, że ściągnęłaś mnie tutaj z klubu i wywołałaś całe to zamieszanie...

– Nie bądź melodramatyczny – ucięła Edith z irytacją.

– Zaprzeczasz, że posłałaś do mnie dziś późnym wieczorem wiadomość tak nagłą, że mój kamerdyner kazał mi ją natychmiast dostarczyć do klubu?

– Podyktowałam ją i posłałam, to prawda. Ale wieczór wcale nie był jeszcze taki późny – wytknęła mu babka. – Nie mogę też odpowiadać za twojego kamerdynera, który kazał cię szukać.

Justin patrzył na babkę wilkiem.

– Ale nie wypierasz się, że wezwałaś mnie po to, żeby zwyczajnie pomówić o twojej damie do towarzystwa?

Księżna wdowa skarciła go wzrokiem.

– W tej sprawie nie ma nic zwyczajnego. Przyszłość Ellie bardzo mi leży na sercu. Szczególnie teraz, gdy gorzej się miewam. Justinie, przestałbyś chodzić w tę i we w tę i usiadł tu w fotelu. Zaczynam mieć migrenę od tego kręcenia głową. – Skrzywiła się boleśnie.

Tyko ta jedna kwestia była dla Justina istotna.

– W jakim sensie gorzej się miewasz?

W kilka susów znalazł się u wezglowia. Usiadł w fotelu, po czym czule wziął w dwie ręce delikatną dłoń babki.

Edith westchnęła znużona.

– Łatwiej ostatnimi czasy tracę siły. Uzmysłowiłam sobie, że powinnam była już uporządkować pewne sprawy.

Westchnęła znowu, przygnębiona.

Justin spojrział ze złością.

– Babciu, jeśli w ten sposób chcesz przybliżyć moją decyzję o małżeństwie...

– Ty zarozumiały smarkaczu! – Zgromiła go spojrzeniem i podniosła się na poduszkach.

– Wbrew temu, co ci się wydaje, nie zajmuję się całymi dniami planowaniem, jak skłonić upartego wnuka do ożenku!

Opanowała się i ze stłumionym jękiem opadła znów na poduchy.

Justin kręcił z wolną głową, słysząc tę połajankę. Niewielu ludzi śmiałoby mówić do niego tym tonem. Nie wątpił oczywiście, że w towarzystwie nazywano go za jego plecami „wyniosłym i aroganckim”, „zimnym i pogardliwym”, a nawet od czasu do czasu „szorstkim i władczy” – jak często określano też jego babkę – ale nikt nie poważyłby się cisnąć mu tych słów w twarz.

W każdym razie na trzeźwo. Justin wspomniawszy obelżywe zachowanie Litchfielda. Pochopne i nieostrożne, bo Justin cieszył się sławą jednego z najlepszych szermierzy w Anglii,

a przy tym niezwykle celnego strzelca. Na trzeźwo każdy obawiałby się z nim pojedynkować.

– Miło mi to słyszeć – odrzekł z nonszalancją. – Zdradz mi zatem, jakie to „sprawy” wymagają „uporządkowania”, babciu?

– Przyszłość Eleanor, oczywiście. – Przyglądała mu się pilnie, raz po raz zagarniając pierzynę w palce. – Jest taka młoda, a nie ma prócz nas nikogo. Boję się myśleć, co się z nią stanie, kiedy mnie zabraknie.

Justin zamarł.

– Kiedy cię zabraknie? A czy to w nieodległej przyszłości prawdopodobne? – zapytał i poczuł drżenie babcinej dłoni.

Wzajemna miłość rodziców, do której bronili mu dostępu, sprawiła, że najbliższymi osobami w jego życiu stali się dziadkowie ze strony ojca, Edith i George St. Just. To oni byli jego powiernikami i u nich spędzał większość dni wolnych od szkoły oraz wszystkie święta i urodziny.

– Doktor Franklyn uważa, że tracę siły...

– Kompletna bzdura! – warknął Justin. Pochylił się i przyglądał delikatnej bladości jej twarzy. – Myli się. Zaledwie kilka dni temu piłaś herbatkę ze swoimi drogimi przyjaciółkami, a wczoraj byłaś na balu u lady Huntsley...

– I dlatego dzisiaj jestem zbyt słaba, żeby nawet podnieść się z posłania.

– Trochę nadwreżyłaś siły, nic więcej.

– Justinie, nie jesteś już dzieckiem. Ja też, niestety, nie jestem najmłodsza. – Edith westchnęła ciężko. – Tęsknię za twoim dziadkiem...

– Nie będę słuchał tego ani chwili dłużej! – Justin puścił dłoń babki i zerwał się na równe nogi. Popatrzył na nią ze złością. – Sam pomówię z doktorem Franklynem.

– Oczywiście, jeśli musisz, ale nękanie lekarza nie ujmie mi lat – tłumaczyła cierpliwie Edith.

Justin zaczerpnął powietrza, skonfrontowany z tą trudną prawdą.

– Może poczułabyś się lepiej, znalazłabyś nowy sens, gdybym rozważył małżeństwo?

– To bardzo życzliwe, Royston. – Uśmiechnęła się czule, co rozbudziło w nim jeszcze silniejszy lęk. Dotąd niczego bardziej nie pragnęła, jak zobaczyć go na ślubnym kobiercu. – Niestety, to też by niewiele zmieniło.

– Nie przyjmuję tego do wiadomości!

– Musisz, Justinie – naciskała łagodnie babka. – To miłe, że tak ciężko ci się z tym pogodzić, ale taka jest kolej życia. Cieszyłabym się, gdybyś ustatkował się, zanim odejdę, ale pogodziłam się, że mogę tego nie...

– Babciu, obiecuję, że przemyślę kwestię małżeństwa, jeśli ci to sprawi radość!

– Bez wątpienia zrobisz dokładnie to, czego sobie życzysz. Dużo bardziej dręczy mnie myśl o mojej drogiej towarzysze. Muszę być pewna, że przyszłość Ellie, Eleanor, będzie zabezpieczona, zanim odejdę z tego świata.

– Wolalbym, żebyś nie mówiła tego więcej przy mnie na głos, babciu. – Justin nie mógł usiedzieć w miejscu. Na nowo zaczął przemierzać komnatę tam i z powrotem.

– Zamykanie oczu nie sprawi, że problem zniknie.

Justin wiedział o tym równie dobrze, ale sama myśl, że może jej zabraknąć, że nie będzie sobie z niego podrwiwać ani czynić mu wyrzutów, była dla niego torturą. Weszła dopiero w sześćdziesiąty dziewiąty rok i Justin nie oswoił się jeszcze z myślą, że babka może umrzeć. Edith St. Just była jedyną w jego życiu kobietą, na której mógł zawsze polegać. Miała niezłomną, nieugiętą wolę – żelazna matrona rodu St. Just.

– Czy możemy omówić przyszłość Eleanor, Justinie? – podjęła niezwykle dla siebie

potulnym tonem.

Ostatnią rzeczą, której Justin chciał się teraz poświęcić, było rozważanie przyszłości panny Rosewood. Wystarczyło jednak jedno spojrzenie na babkę, żeby zamilknął. Pobladła cera i cienie pod oczami sprawiały, że wyglądała na całe swoje sześćdziesiąt osiem lat.

Przełknął ciętą ripostę i wrócił na fotel obok łóża.

– Dobrze, babciu, jeśli nalegasz, porozmawiamy o przyszłości kuzynki Eleanor.

Kiwnęła głową.

– Jest moim gorącym życzeniem, żeby widzieć ją bezpiecznie zamężną, zanim u... zanim mnie zabraknie – poprawiła się, patrząc wnukowi w oczy.

– Wygląda na to, że wszystkich swoich bliskich pragnęłabyś widzieć w tym stanie.

Z ogromną ulgą przyjmuję, że nie tylko mnie masz w swoim kajeciku...

– Nie błażnij, Royston – wciąła się bezlitośnie babka. – Już ci powiedziałam, że ze swoją przyszłością postąpisz, jak zechcesz. Dla młodej kobiety w sytuacji Ellie małżeństwo jest jedynym wyjściem.

– A czy masz już na oku dżentelmena, który nadawałby się na jej małżonka? I chyba istotniejsze, czy kuzynka Eleanor spotkała już takiego? – zakpił.

Edith westchnęła.

– W takim stopniu zajęta była ostatniego roku moimi sprawami, że pewnie nawet chwili nie pomyślała o sobie.

– Zatem...

– To bynajmniej nie oznacza, że nie powinna była! – uciszyła wnuka. – Ja też winna jestem na to nalegać, póki jeszcze nie weszła w wiek powszechnie uznany za staropanieński.

– A dokładnie ile kuzynka ma lat? – Justin popatrzył na babkę pobłaźliwie, wspominając świeżą cerę i gładką twarz młodej kobiety.

– Niedawno wkroczyła w dwudziesty rok życia...

– Prawie zgrzybiała staruszka!

– Mówię poważnie, Justinie. Młoda kobieta w jej sytuacji, pozostawiona sama sobie, ma bardzo niewielkie możliwości. Na pewno jesteś tego doskonale świadomy. – Popatrzyła na niego z ukosa.

Istotnie Justin znał los, jaki często przypadał w udziale zubożałym szlachciankom o urodzie Eleanor Rosewood, zawieszonych pomiędzy towarzystwem, do którego nie mogły całkiem należeć, a klasami pracującymi, z których się nie wywodziły.

– A co dokładnie miałbym w tej sprawie uczynić? Wyznaczyć dla niej posag, żeby zwabić młodego pastora bez grosza?

– Posag na pewno będzie konieczny – zgodziła się księżna wdowa, biorąc jego słowa za dobrą monetę. – Bóg mi świadkiem, że przy fortunie Roystonów nawet nie zauważymy tego wydatku. Ale nie rozumiem, dlaczego Eleanor miałyby zgadzać się na biednego duchownego. Na pewno wśród twoich znajomych znajdzie się niejedyn utytułowany dżentelmen, który przymknie oko na niepewny status małżonki w zamian za niewielką fortunę i bliskie stosunki z potężnym księciem Royston?

Justin zaproponował posag jedynie w żartach, lecz babka mówiła ze śmiertelną powagą.

– Czy dobrze cię zrozumiałem? Pragniesz, żebym wyznaczył twej damie do towarzystwa hojny posag i zajął się poszukiwaniem dla niej odpowiedniego, najchętniej wysoko urodzonego męża wśród moich znajomych?

Propozycja zdawała mu się nedorzeczna, na dokładkę na tym tle jego niedawne myśli o nowo odkrytej kuzynce nabierały niemal kazirodczego zabarwienia.

– Wolalabym, żebyś nie zabierał się do tego zadania z tak bezdusznym podejściem,

Royston – odrzekła niecierpliwie Edith St. Just. – Bardzo się do niej przywiązałam i nie chciałabym, żeby poślubiła kogoś, kto nie pragnie jej za żonę, ani kogoś, kogo ona sama nie pragnie.

– A więc oczekujesz, że znajdę jej kochającego męża pomimo „niepewnego statusu”, jak jej sytuację taktownie ujęłaś?

– Odpowiednia partia nie oznacza zawsze niedostatku miłości – zezłościła się Edith. – Ja i twój dziad kochaliśmy się gorąco, podobnie twój ojciec i matka.

Justin przyznał jej w duchu rację. Lecz właśnie głęboka miłość rodziców spowodowała jego niechęć do instytucji małżeństwa. Nie mógł znieść myśli, że miłość do żony mogłaby skrzywdzić jego dzieci.

Powstrzymał się przed wzruszeniem ramion.

– A nie masz przypadkiem za wysokich oczekiwań względem Eleanor? Może nie każdemu jest dana miłość po ślubie?

– Nie dowiemy się, póki nie spróbujesz.

– A jak miałbym się do tego zabrać? – pokręcił z powątpiewaniem głową.

– Jako najbliższy krewny – tak, wiem, że nie jesteście formalnie spokrewnieni – mógłbyś zacząć od towarzyszenia jej na, powiedzmy, kilku wieczorkach muzycznych. Zapoznałbyś ją z mniej majątnymi kawalerami z twoich kręgów.

– Oczekujesz, że będę uczęszczał na muzyczne wieczorki! – Justin wpatrywał się w babkę z niedowierzaniem. Wstał znowu, bo nie wiedział, co innego mu pozostało. Zaczynał się czuć jak dziecięca zabawka, która wyskakiwała z pudełka, kiedy zdejmował wieczko. – Zaczynam sądzić, że niedyspozycja dotyczy twej głowy, babciu.

Pokręcił własną.

– Nie mam w zwyczaju w ogóle pojawiać się na muzycznych wieczorkach ani balach, a co dopiero jeszcze z intencją wyswatania przyrodniej kuzynki z niczego nieprzeczuwającym dżentelmenem!

– Czy nic nie skłoni cię do zmiany zdania w tych szczególnych okolicznościach? – nalegała wytrwale.

– Oczywiście, że nie. Ale...

– Bardzo byś mnie uszczęśliwił, Justinie.

Spojrzał na babkę podejrzliwie. Spoczywała znowu na poduszkach, drobna, sprawiająca wrażenie bezbronnej.

– Wydawało mi się, że zależy ci jedynie na szczęściu kuzynki Eleanor.

– Bo tak jest. – Babka zezłościła się jego podejrzliwością. – Nie znam lepszego sposobu niż publiczne faworyzowanie jej przez ciebie.

– Faworyzowanie dziewczęcia tak niskiego stanu, że ostatni rok sama ją zatrudniałaś – przypomniał szyderczo.

– Wątpię, że ktokolwiek z towarzystwa skojarzy tę szarą myszkę z elegancką i piękną kuzynką księcia Royston.

Justin powątpiewał w prawdziwość tego przypuszczenia, przynajmniej w odniesieniu do dżentelmenów. On w końcu nie przeoczył urody Eleanor.

– A nawet jeśli skojarzą – ciągnęła stanowczo Edith – nikt nie będzie miał śmiałości jej pod twoją opieką znieważać.

Tu Justin musiał się zgodzić, ale babka nie mogła przecież oczekiwać, że do tego stopnia wyrzeknie się swoich przekonań i weźmie udział w obchodach niezakończonego jeszcze sezonu.

– Za cztery dni ma się odbyć u mnie bal Roystonów. Zawsze uświetniasz go swoją obecnością... – przypomniała mu Edith.

– Możemy być zmuszeni go odwołać, skoro jesteś tak wycieńczona – zauważył chytrze.
– Nigdy, póki choć tli się we mnie życie! – odparła stanowczo księżna wdowa. – Bal Roystonów odbywał się rokrocznie przez ostatnie sto lat. I teraz nie będzie inaczej, choćbym miała go wyprawiać na wózku.

– Naprawdę zamierzasz wprowadzić tego wieczoru Eleanor do towarzystwa?

Skinęła ostro głową.

– Jako gość w moim domu jest na liście zaproszonych.

– Powinienem jej według ciebie towarzyszyć?

– Jako opiekun, skoro jesteś jej najbliższym krewnym. Do tego to świetna okazja, żeby Ellie poznała towarzystwo i vice versa.

Justin miał przemożne i niepokojące wrażenie, że podczas tej rozmowy babka wodziła go za nos. Niewątpliwa rzadkość, lecz jakimś cudem jej się powiodło. Miał niejasne przeczucie, że coś istotnego uszło jego uwadze.

– Jeszcze w jednej kwestii będę potrzebowała twojej pomocy, mój chłopcze.

Patrzył w skupieniu na budzącą respekt starszą damę.

– Zamieniam się w słuch.

– Przed przystąpieniem do matrymonialnych przygotowań należałoby poznać tożsamość prawdziwego ojca Ellie.

Justin nie krył zdumienia.

– Prawdziwego ojca? A pan Rosewood?

– Kiedy Ellie się urodziła, pan Rosewood nie żył już od ponad roku, więc mam pewne wątpliwości.

Sytuacja, w której Justin znalazł się bynajmniej nie z własnej woli, przybierała coraz bardziej kuriozalny obrót.

– Czy Eleanor o tym wie?

Babka prychnęła.

– Oczywiście, że nie. Kazałam zebrać informacje o jej matce, kiedy ten kretynek Frederick uciekł do Gretna Green i się z nią ożenił.

– Zatem moja przyrodnia kuzynka jest nie tylko osierocona i bez pensa przy duszy, ale też jest bękartem.

– Royston!

Justin jęknął.

– A jak jej ojciec okaże się ostatnim łajdakiem, którego należałoby zostawić w rynsztoku?

Babka uniosła brwi.

– Wtedy zrobisz wszystko, żeby nikt inny się o tym nie dowiedział.

– A jakim cudem miałbym to sprawić?

– Jestem przekonana, że coś wymyślisz, Royston – odparła z uśmiechem.

W tym przypadku Justin wyjątkowo nie podzielał wiary w swoje możliwości.

Ellie czekała na Justina w bibliotece. Jak na szpilkach siedziała przy kominku, w którym Stanhope zdążył już napalić. Przyniósł też dwa kieliszki i karafkę.

Eleanor już od roku mieszkała w domu księżnej wdowy, mimo to na palcach jednej ręki mogłaby policzyć wszystkie słowa, które w tym czasie zamieniła z wyniosłym księciem Royston. Do tego wieczoru.

Nie znaczyło to jednak, że umknął jej uwadze. Wiedziała nawet, że jego pełne nazwisko brzmi Justin Robert St. Just. Miał też inne tytuły, ale teraz nie mogła ich sobie przypomnieć – pamięć zawodziła ją w nerwach. Był od niej dziewięć lat starszy, przy tym bez wątpienia bardziej doświadczony i obyty w świecie. Jasnowłosy i niebieskooki Justin St. Just często gościł w jej

romantycznych marzeniach we śnie i na jawie. Mogłaby niemal przysiąc, że już się w nim rozkochała.

Czekała w ogromnym napięciu. Dręczyła się myślą, że spojrzeniem, gestem czy słowem mogłaby zdradzić emocje, jakie w niej budził. Piekły ją policzki na wspomnienie fantazji, że Justin odwzajemnia jej uczucia, obejmuje ją i całuje namiętnie, a potem kładzie smukłe dłonie na tęskniących za jego dotykiem piersiach...

– To chyba bardzo przyjemne myśli, kuzynko?

Ellie zerwała się z fotela na równe nogi. Stał przed nią ten, który przed momentem dotykał jej namiętnie w marzeniach.

Justin nie zareagował na lęk, jaki odmalował się na zarumienionej twarzy, ani na towarzyszące mu spojrzenie pełne wyrzutów sumienia. Nawet nie próbował się domyślać, o co się obwiniała, przestrach też go nie wzruszył.

– Może jednak nie – dodał, zamknął za sobą drzwi i podszedł do karafki.

– Ufam, że księżna wdowa czuje się już lepiej.

Babka wymogła na Justinie liczne obietnice, nim pozwoliła mu odejść. Zobowiązała go, żeby nawet Eleanor nie zdradził powodów jej słabości. To jednak nie mogło go powstrzymać od rozmowy z samym doktorem Franklynem.

– Na tyle dobrze, że uparła się za cztery dni wydać doroczny bal Roystonów – odrzekł, udanym rozbawieniem unikając odpowiedzi. Podszedł do Eleanor z kieliszkami w dłoniach. Ona jednak nie wyciągnęła ręki.

– Nie jestem miłośniczką brandy, wasza księżęca mość.

– Mam przecucie, że dzisiaj zrobisz wyjątek – odparł cierpko.

Ellie zamrugła długimi rzęsami.

– Doprawdy?

– O, tak – odparł zdecydowanie. Patrzył na blask ognia, tańczący odbłyskami czerwonego złota w jej włosach. Włożył jej w niezdecydowaną dłoń kieliszek, chłonąc niezrównane piękno kasztanowych pukli. Jej oczy w kolorze szmaragdu lśniły w oprawie najdłuższych czarnych rzęs, jakie kiedykolwiek widział.

Naraz owładnęło nim pragnienie, by całować te policzki usiane drobnymi piegami. Zacisnął usta, dławiąc samowolne myśli.

– Babka poleciła, żebyś pomogła jej w kwestii tego balu.

Eleanor zwilżyła koniuszkiem różowego języka pełne czerwone wargi. Justin przestąpił niespokojnie z nogi na nogę.

– Nie wiem, jakim wsparciem mogłabym służyć przy tak wielkim przedsięwzięciu. Ale oczywiście jestem gotowa spełnić każde życzenie księżnej.

Justin rzucił jej rozbawione spojrzenie.

– Źle mnie zrozumiałaś, kuzynko. Pomoc ma polegać na tym, że weźmiesz w nim udział. Skinęła na zgodę.

– Jak powiedziałam, jestem gotowa pomóc.

– Księżna życzy sobie, żebyś wzięła w nim udział jako gość. Uwaga! – ostrzegł ją, bo kieliszek prawie wysunął się ze zdrętwiałych palców.

Ellie chwyciła kieliszek mocniej, ale nadal spoglądała jak oniemiała. Wydawało się jej niesłychane, że miałyby zostać dopuszczona do towarzystwa. Dopiero nieustępliwy wyraz twarzy Justina pozwolił jej ostatecznie uwierzyć w prawdziwość propozycji.

ROZDZIAŁ CZWARTY

– Łyczek brandy mógłby zdziałać cuda.

Oszołomiona Ellie mechanicznie wychyliła kieliszek do dna. Chwycił ją atak kaszlu, gdy ognisty trunek spłynął do gardła. Justin poklepał ją po plecach.

Wyprostowała się z załzawionymi oczami, kręcąc głową.

– Co też jej książęca mość myśli? Na balu Roystonów... to nie do pomyślenia – wychrypiała.

– Babka zdecydowała inaczej.

Czy on uważa, że to rozwiązuje sprawę? – zdumiała się Ellie.

– Jakie jest twoje zdanie w tej sprawie, panie? – zapytała. Uznała, że plan nie mógł się mu spodobać.

Justin jednak tylko wzruszył ramionami.

– Mam zasadę, żeby nigdy się babce nie sprzeciwiać.

Ellie nie była taka pewna; gdyby istotnie nigdy nie kwestionował jej zdania, byłby już dawno żonaty i miał z pół tuzina dziedziców. Edith St. Just nie kryła pragnienia, by jej wnuk znalazł dla siebie godną księżną i zadbał o kontynuację rodu. A księżę, przynajmniej przez ostatni rok, aktywnie unikał tej odpowiedzialności.

Patrzyła na księcia spod półprzymkniętych powiek, starając się przeniknąć jego kamienne oblicze i odkryć, jak zareagował na propozycję babki. Lecz Justin skrzętnie ukrywał swoje myśli.

Pomimo gorących emocji, jakie w niej budził, Ellie nie dała się omamić. Dobrze знаła jego cyniczne i aroganckie usposobienie, skłonność do kpin. Tym razem bez wątpienia z niej drwił.

Wzięła głęboki oddech, by się uspokoić.

– Wyjaśnię jej książęcej mości z samego rana, dlaczego nie mogę przyjąć tego zaszczytnego zaproszenia.

– Życzę ci powodzenia.

Rozbawienie w jego pozornie sennym spojrzeniu nie uszło uwadze Ellie. Nie miała wątpliwości, że wzrok miał jak zawsze przenikliwy.

– Wiesz przecież, panie, że muszę odmówić.

– Niestety to nie mnie musisz o tym przekonać, Eleanor – odparł ze złośliwą niemal satysfakcją. – Moja babka kiedy już coś sobie wbije do głowy, bardzo rzadko, jeśli w ogóle, zmienia zdanie.

Po roku spędzonym w towarzystwie księżnej wdowy Ellie nie mogła się z tym nie zgodzić. Mimo to musiała ją przekonać. Jedyne sama śmietanka socjety bywała zapraszana do domu księżnej, czy to na bal, czy z jakiegokolwiek innej okazji. Ellie zaś bynajmniej do tego kręgu nie należała. Jej ojciec był najmłodszym synem barona, matka – zaledwie córką wiejskiego szlachcica. Zyskała status, poślubiając ojca Ellie i znowu, kiedy wyszła drugi raz za mąż za syna lorda, bratanka księżnej wdowy. Zatem miejsce Ellie w towarzystwie było łagodnie ujmując, dyskusyjne.

– Nadto nie widzę jednego powodu, żebyś się wymawiała – podjął księżę. – Skoro babka uznała, że masz zostać przedstawiona, możesz być spokojna, że nikt nie będzie śmiał tego kwestionować.

– Nawet ty? – zapytała odruchowo i zarumieniła się na własną zuchwałość.

Justin zmarszczył brwi; Ellie uparcie wracała do jego własnego zdania, a on już nie był

wcale pewien, co mianowicie o tym wszystkim sądzi.

Zrazu sama propozycja wydała mu się niedorzeczna. Po namyśle doszedł do wniosku, że może ocenił ją pochopnie. Babka argumentowała, że tak zapewni Eleanor szansę na dobrą partię. Szczególnie, jeśli by on sam ją hojnie uposażył.

Eleanor sprawiała świetne wrażenie aparycją i manierami. Nawet w jego przekonaniu ubóstwo nie powinno odebrać wszelkich szans na szczęśliwe małżeństwo.

Pozostawała jeszcze kwestia, kim się okaże jej prawdziwy ojciec. Babka zapewniła Justina, że Eleanor nie miała o niczym pojęcia. Wierzyła święcie, że jest córką Henry'ego Rosewooda. Któż więc jeszcze mógł to kwestionować? Zapewne sam ojciec, o ile w ogóle wiedział o istnieniu córki.

Jedynie czas i dochodzenie mogły wykazać, czy nazwisko prawdziwego ojca ma jakiegokolwiek znaczenie dla obecnej sytuacji.

Związany drugą obietnicą – że nie poruszy tego tematu z Eleanor – Justin zdecydował się wyjawić powód jej spóźnionego debiutu.

– Księżna wdowa uznała, że nadszedł czas, abyś znalazła sobie męża.

Ellie wpatrywała się w niego szeroko otwartymi oczami, a na jej policzki z wolna wylał się rumieniec. Zawstydzona? – zastanawiał się Justin. – Złości? A może radości?

Nie znał jej na tyle, by przeniknąć stan ducha, ale jako mężczyzna docenił głębszą teraz zieleń jej oczu i kolor policzków, nie wspominając o przyspieszonym oddechu kołyszącym pełne piersi. Gdyby ta młoda dama nie była protegowaną jego babki, byłaby doskonałą kandydatką na kochankę.

Justin natychmiast zawrócił tok nieposłusznych myśli. Babka wyznaczyła mu rolę opiekuna Eleanor. Gdyby jakiegokolwiek inny mężczyzna miał wobec niej takie fantazje, musiałby się liczyć z jego gniewem.

Ellie wzięła głębszy oddech, bezwiednie podkreślając jeszcze krągłości swojego ciała.

– Troska jej książęcej mości sprawia mi niezwykłą radość...

– Czyżby?

Justin nadal się naigrawał. Choć rzeczywiście była wdzięczna za ratunek, trudno było Ellie przez miniony rok powściągać ostry język i gorący temperament, nieodpowiednie do roli damy do towarzystwa dla starszej pani, a co dopiero księżnej wdowy. Te właśnie przywary dzień w dzień wypominała jej matka, kiedy jeszcze chodziła po tym świecie.

Drwiny księcia wystarczyły jednak, by się zapomniała.

– Cieszy mnie też, że przynajmniej jedna osoba w tym towarzystwie dobrze się bawi. Moim kosztem.

– Babka wreszcie znalazła sobie inne zajęcie od zamartwiania się moim kawalerskim stanem – odrzekł bez skrępowania.

– Nie bardziej niż ciebie interesuje mnie małżeństwo z rozsądku! – złościła się Ellie.

Pierwsze małżeństwo uczyniło z jej matki ubogą wdowę, utrzymującą się z łaskawej pensji rodziny zmarłego męża. Poza tym nikt nie zainteresował się jej losem.

Drugi mąż Muriel był rozpustnikiem, a nieszczęśliwy i pozbawiony miłości związek zapewnił jej i Ellie jedynie dach nad głową.

W efekcie uparła się, że wyjdzie za mąż tylko z miłości. Woląca zostać starą panną, damą do towarzystwa dla księżnej lub innej chlebobdawczyni, niż przeżywać tę samą co matka udramę.

– Niełatwo sprzeciwić się babce – stłumił śmiech książę.

– Tobie się to udaje od wielu lat – wytknęła mu Ellie.

Skinął głową z uznaniem.

– A teraz, moja droga kuzynko, kiedy cała jej uwaga skupiła się na twoich perspektywach

matrymonialnych, zamierzam w pełni korzystać z zasłużonej wolności.

Skrzywiła się.

– Nie mam żadnych perspektyw matrymonialnych.

– Co się wkrótce zmieni, kiedy tylko wyznaczę dla ciebie wysoki posag.

– Wysoki posag! – powtórzyła oszołomiona. – Skąd ten pomysł, panie?

– Chcę uszczęśliwić babkę.

Ellie świdrowała go wzrokiem dłuższą chwilę, tymczasem książkę zdawał się znudzony jak nigdy.

Więc nie tylko bawiła go myśl, że może ją zmusić do małżeństwa, teraz nagle zaczęła go nudzić! – denerwowała się.

A przecież zaledwie przed chwilą zdawało się jej, że jest w nim zakochana. Dręczyła się myślą, że wkrótce ożeni się z piękną, dobrze urodzoną panną – teraz byłoby jej żal wybranki tego impertynenta.

Justin St. Just stał się naraz dręczycielem, knującym intrygę, by wydać ją za mąż wbrew woli – za nieznanego, którego nie mogła pokochać.

Czuła, że musi się temu przeciwstawić!

Odłożyła kieliszek i dla uspokojenia poczęła przechadzać się po bibliotece. Biła się z myślami, jak odmienić bieg wydarzeń i uniknąć aranżowanego, nieszczęśliwego małżeństwa, a zarazem nie urazić dobrej księżnej i jej porywczego wnuka.

Justin dolał sobie brandy i usiadł przy kominku, skąd ze stoickim spokojem przyglądał się Eleanor.

Nie miał wątpliwości, że pomysł nie przypadł jej do gustu. Miał za to możliwość podziwiać jej smukłą, a przy tym kształtną sylwetkę. Skromna brązowa sukienka odsłaniała wszak nie tylko szyję, ale i zarys piersi, a pikanterii dodawały rzucające błyskawice zielone oczy.

Wyobraził ją sobie w jedwabnej zielonej sukni z przylegającym gorsetem, opartą o balustradę, z czerwonymi lokami opadającymi na ramiona... Nie mógł uwierzyć, że jeszcze tego wieczoru usilnie starał się rozproszyć wszechogarniającą nudę przy karcianym stoliku.

Teraz wpatrywał się w przyszłość pełną możliwości i wyzwań, gdyż zamierzał znaleźć odpowiedniego męża dla zaskakująco zadziornej i wyraźnie niechętnej zamężciu panny Eleanor Rosewood.

Przyczyna jej awersji budziła w nim zaciekawienie; większość znanych mu kobiet znalezienie dobrej partii stawiała sobie za jedyny cel w życiu. Czy było możliwe, że Eleanor miała inne potrzeby? Wydało mu się niewyobrażalnym okrucieństwem ze strony matki natury, by taka piękność i ten temperament nie odkryły powołania w łożu pewnego szczęśliwego dżentelmena. W innych okolicznościach sam chętnie uczyniłby z niej swoją kochankę...

Lecz nie mógł o niej tak myśleć, skoro przypadła mu rola opiekuna. Do niej zamierzał się ograniczyć. Choćby nawet najskrytsze myśli nie chciały się tej decyzji podporządkować.

– Czy masz już pomysł, jak pokrzyżować mojej babce plany na najbliższą przyszłość? – zakpił Justin. – Podziel się, proszę, dla naszego obopólnego dobra.

Ellie stanęła jak wryta i rzuciła rozzłoszczone spojrzenie w stronę księcia, który nonszalancko rozsiadł się w fotelu. Jego włosy lśniły w blasku ognia. Przypominał posągowe ucieleśnienie sarkazmu i patrycjuszowskiej arogancji. Jej puls nabrał tempa na przekór woli. Dudnienie serca i przyspieszony oddech przekonały Ellie, że choć może miłośna fantazja się rozwiła, jego fizyczność nie przestała jej pociągać. Justin patrzył na nią z wyższością i drwiną. Pragnęła się temu sprzeciwić, wyładować frustrację, jaką w niej budził. Wzięła głębszy wdech dla uspokojenia nerwów.

– A dlaczego nie miałabym grzecznie, choć stanowczo, powiadomić jej książęcą mość

o moich uczuciach względem kojarzonych małżeństw? Widzisz w tym coś zabawnego?

– Szczerze, to jest to dla mnie po prostu niedorzeczne. – Wyszczerył białe zęby w złośliwym uśmiechu. – Babka, jak pewnie już wiesz, jest subtelna jak taran. A skoro tak, to twoich uczuć w tym względzie nawet nie weźmie pod uwagę. Nic, co możesz powiedzieć, nie zmieni jej niezachwianej pewności, że to ona wie, co dla ciebie najlepsze.

Na ostatnie słowa położył taki nacisk, jakby Ellie zaczęła głośno protestować.

– A może gdybyś i ty... – zaczęła. – Nie, za dobrze się bawisz, żeby mi pomóc.

Popatrzyła na niego z odrazą, gdyż Justin nie przestawał się złośliwie uśmiechać.

– Może gdybyś wyjawiała powody swojej niechęci, miałbym lepsze powody, żeby ci pomóc?

Pokręciła niecierpliwie głową.

– Na pewno to te same, które ciebie powstrzymują przed małżeństwem. Nie mogę wyjść za nikogo, kto nie kochałby mnie całym sercem i kogo ja też bym tak nie kochała.

Całe jego rozbawienie w jednej chwili rozwiało się jak sen.

– Tu się mylisz, moja droga – rzucił lodowato. – Moje uczucia są w tym względzie całkiem przeciwne twoim. Nawet przez myśl nie przeszłoby mi poślubić żadnej, która żywiłaby do mnie głębsze uczucia. Lub ja do niej.

Ellie wierzyła dotąd, że księżę nie poznał zwyczajnie właściwej kobiety. Choć o ślubie w wyższych sferach decydowały zwykle koneksje i majątek, jak było z jej matką, bywało, że małżonkowie uczyli się z czasem szanować, a niekiedy nawet kochać siebie nawzajem.

Niestety nieszczęśliwe małżeństwo matki Eleanor z hazardzistą i kobieciarzem Frederickiem St. Justem wywarło wpływ na jej poglądy. Mimo to świadomy wybór, by nigdy nie pokochać swojej żony, nawet jej wydał się szalony, a wymaganie, by i ona go nie pokochała, cokolwiek wygórowane.

A może – zastanawiała się – jego poglądy mają związek z tym, że tak trudno było go dzisiaj znaleźć? Ellie wiedziała, jak wielu dżentelmenów miało kochanki, których z przyczyn towarzyskich nigdy nie mieli poślubić, ale dla których często żywili więcej uczuć niż dla małżonek. Kto wie, może Justin miał w życiu podobną kobietę? Nisko urodzoną pannę lub żonę innego, którą darzył głęboką miłością?

Być może stąd też wynikała jego potrzeba zawarcia małżeństwa bez miłości.

– Czy to nie jest krzywdzące dla twojej przyszłej żony? – zapytała wyrozumiale.

Spojrzał na nią z góry.

– Nie, jeśli wiedziałyby o tym od początku.

– Ale przecież żadna kobieta nie przyjęłaby tak beznamiętnych oświadczeń!

Uśmiechnął się z politowaniem.

– Przeciwnie, moje doświadczenia wskazują, że większość kobiet, o ile nie wszystkie, posunęłyby się do każdej nikczemności z zabójstwem włącznie, żeby poślubić księcia. A miłość posłałyby do wszystkich diabłów.

– Ale przecież...

– Późna już godzina, Eleanor. Dość wałkowaliśmy ten temat jak na jeden wieczór.

Odstawił gwałtownie kieliszek na gzyms kominka i odwrócił się ostentacyjnie.

– Poślij mi jutro wiadomość o stanie zdrowia babki.

– Oczywiście, wasza książecka mość. – Nagła zmiana tematu całkiem pozbawiła Ellie pewności siebie. – Mam nadzieję, że poinformuję cię, panie, również o zmianie planów co do balu.

– Widzę, że jesteś nie tylko romantyczką, ale i niepoprawną optymistką – odparł.

Ellie zarumieniła się, ale zaraz uniosła dumnie głowę.

– Liczę, że jestem realistką, wasza miłość.
Justin pokręcił z wolną głową.

– Realistka wiedziałaby, kiedy przyznać się do porażki.
– A realista rozumiałby, że nie wystarczy zaproponować posagu. Nigdy nie miałam ambicji należeć do towarzystwa i to się nie zmieni.
– Uważasz, że spełniamy tylko swoje zachcianki i nie mamy żadnych zalet?
Patrzyła na niego uważnie przez dłuższą chwilę, po czym posłała mu wymuszony uśmiech.

– Nie potrafię znaleźć odpowiedzi, która nie będzie mi uwłaczała, a ciebie nie urazi, panie. Zatem pozwolę sobie uchylić się od niej.
Justin musiał przyznać z podziwem, że sprytnie wybrnęła z opresji. Przewrotnie wyraziła jedną z myśli, które pozornie chciała zachować dla siebie.

Ta niespodziewanie elokwentna młoda kobieta ponownie dostarczyła mu rozrywki. Justin przestawał się dziwić, że babka ma o niej tak dobre zdanie. Podobnie jak on, Edith St. Just nie cierpiała nonsensownego trajkotania.

Skłonił się dwornie.

– Cieszę się, że będę twoim opiekunem na balu – rzekł szczerze, ku swojemu zaskoczeniu. Bawiła go jej nieprzewidywalność w słowach i czynach.
Lecz Ellie była wyraźnie wyrażona z równowagi.

– Opiekunem?
Uśmiechnął się rozbrajająco.

– Kolejne życzenie babki.
– Ale przecież nie potrzebuję opieki, skoro już tutaj mieszkam.
– Każdą samotną damę przedstawia w towarzystwie najbliższy krewny, który zarazem bierze na siebie rolę jej opiekuna. Najwyraźniej ten zaszczyt przypadł mnie w udziale.
Ellie patrzyła na niego z przerażeniem w oczach.

– Mam wejść na salę balową pod ramię z księciem Royston? Wszyscy będą się zatrzymywać i gapić, a plotki nigdy się nie skończą!
– O to chyba w tej zabawie chodzi, droga kuzynko.
– Nie! – Eleanor potrząsnęła zdecydowanie głową, a uwolnione kosmyki rudych włosów zatańczyły przy jej skroniach. – Skoro i tak jestem, jak twierdzisz, zmuszona iść na bal, stanowczo odmawiam robienia z siebie widowiska.
Uniósł brwi w ironicznym zaskoczeniu.

– A gdybym ci powiedział, że będziesz pierwszą młodą kobietą, której książe Royston towarzyszył na balu?
Zamarła na moment, ale zaraz oprzytomniała.

– Tym bardziej będę niewzruszona.
Justin tylko się szerzej uśmiechnął.

– Nie sądzę, byś mogła temu w jakikolwiek sposób zapobiec. Może jedynie gdybyś rozmyślnie spadła ze schodów i złamała nogę. – Roześmiał się, widząc, że Eleanor poważnie rozważa tę sugestię. – Czy to naprawdę taka męka wkroczyć ze mną pod ramię na bal, droga kuzynko?

Podszedł i stanął naprzeciwko niej.

– Nie pochlebiasz mi zbyt.

– Nie sądzę, żebyś potrzebował więcej śmiałości – mruknęła, całkiem tracąc kontenans w tak bezpośredniej bliskości. Ciepły oddech Justina poruszył loczki na jej skroniach.

– Na pewno? – Smukłymi palcami założył jej kosmyk za ucho, kojąc chłodnym dotykiem

rozgrzaną skórę.

Uspokoiła oddech, by nadać odpowiedzi pozór obojętności.

– W końcu jesteś nieosiągalnym i upragnionym trofeum w polowaniu na męża.

Poczuła ulgę. Prawie nie dała po sobie poznać, jak bardzo brakło jej tchu. Z przerażeniem spostrzegła jednak, że lada chwila kolana mogą odmówić jej posłuszeństwa.

– Tak byś mnie nazwała? – Uśmiech igrał w kącikach jego wyrazistych ust, a opuszki palców musnęły jej gorący policzek.

Przełknęła z trudem.

– Nieosiągalnym czy upragnionym?

– Wszystko jedno.

Z trudem łapała oddech; Justin prawie dotknął jej ust. Poczuła suchość w gardle i przemożne pragnienie, by dotknąć warg językiem.

– Nasza rozmowa stała się całkiem nedorzeczną, wasza miłość.

– Słyszę, że znów upominasz mnie, używając formalnego tonu – rzekł zachwycony.

– Nic podobnego! – zaprotestowała. Nie było to łatwe, gdyż książę właśnie przesunął czule kciukiem po jej dolnej wardze, ciarki podniecenia rozeszły się ze szczytów jej piersi, a nieznanne dotąd wrażenie ciepła zagościło między udami.

– Wasza książęca mość...

– Justinie – poprawił ją czule. – Albo kuzynie, jeśli wolisz.

– Nie wołę! – odparła stanowczo. Przeczuwała, że jeśli nie przerwie tej gry, już za moment będzie mu jadła z ręki. – Już późno i... zapewne ktoś czeka niecierpliwie na twój powrót.

Popatrzył jej badawczo w oczy.

– Sugerowałaś już dziś coś podobnego.

– Wasza miłość?

– Nietrudno zgadnąć, co ci chodzi po głowie. Podobnie jak babka uważasz, że spóźniłem się, bo niechętnie opuszczałem ramiona kochanki.

Ellie zarumieniła się jeszcze soczyściej. Przemknęła jej myśl, że policzki wyglądają na pewno okropnie przy rudych włosach, a nieznośne piegi ukazały się w pełnej krasie.

– Ani trochę mnie to nie interesuje.

– A ja myślę inaczej, Eleanor – droczył się. – Myślę, że jesteś zainteresowana, i to bardzo. Skrzywiła się. Uznała, że dość już się nacierpiała drwin i przekory jak na jeden wieczór.

– Naprawdę uważasz w swoim zadufaniu, że wszystkie kobiety poddają się natychmiast twojemu urokowi?

– Przeciwnie. Ale cieszę się, że przynajmniej dla ciebie jestem atrakcyjny.

– A ja uważam, wasza miłość, że jesteś nadętym osłem... – zaczęła, ale musiała przerwać, gdyż Justin pochylił się i ugryzł ją delikatnie w dolną wargę.

Zesztywniała, a jej serce zamarło, gdy dotarło do niej, że chłodny i arogancki książę Royston, szydery i nieziemsko przystojny Justin St. Just, przesunął właśnie koniuszkiem wilgotnego języka po jej rozchylonych ustach.

ROZDZIAŁ PIĄTY

Kiedy tylko Justin spróbował zębami jędrnych ust Eleanor i posmakował jej słodkich warg, zrozumiał swój błąd. Błąd, który mógł się okazać dla niego fatalny w skutkach.

Co prawda już wcześniej zauważył ich pełny kształt i medytował nad głębią zmysłowości, którą zdradzały, ale poddanie się impulsowi, gdy dopiero co wziął na siebie obowiązki jej opiekuna, było absolutnie nie do przyjęcia. Zarówno dla niego, jak i dla Eleanor.

Zesztywniała i zdradzała oznaki przerażenia, co potwierdziło jego przypuszczenie.

Odsunął się raptownie i położył ręce na ramionach Ellie, trzymając ją na bezpieczną odległość od siebie. Nie mógł przy tym nie zauważyć nabrzmiałej dolnej wargi, która nosiła ślad jego ugryzienia.

– Proponowałbym ci na przyszłość mnie nie wyzywać – rzucił szorstko, by odwrócić uwagę od karygodnego zachowania.

– Ty... Jak...? – Ellie nie mogła zebrać myśli z oburzenia, że Justin oskarża ją o swoje bezwstydne zachowanie. Wyrwała się z jego rąk. – Jesteś gorszy, niż przypuszczałam, proszę pana! Jest pan zwyczajnym...

– Tak, tak – przerwał znudzonym tonem, przeczuwając dalszy rozwój wypadków. – Na pewno jestem bezwstydnym łajdakiem. W swojej niewinności dostrzegasz we mnie bez wątpienia całą gamę oburzających cech. Będziesz musiała zdobyć się na większą subtelność, żeby unikać niechcianych zalotów, nie obrażając przy tym dżentelmenów z towarzystwa.

– A dlaczego miałabym o nich dbać, jeśli pozwoliliby sobie na taką zuchwałość jak ty przed chwilą?

– Takie są zasady gry, Eleanor – wyjaśnił, licząc na swój dar przekonywania.

Popatrzyła na niego spod półprzymkniętych powiek.

– Gry? Jakiej gry? – zapytała jadowicie.

Skinął nieznacznie głową.

– Jak inaczej mężczyzna miałby się przekonać, czy chce poślubić kobietę albo przynajmniej z nią sypiać, jeśli nie spróbowałby flirtu i nie pozwolił sobie chociaż na odrobinę zuchwałości?

Eleanor oddychała szybko.

– Chcesz mi powiedzieć, że kochałeś się ze mną, żeby mnie przygotować na zaloty innych?

Uniósł brew.

– Posmakowanie twoich ust to jeszcze nie jest uprawianie miłości, Eleanor.

– Natychmiast odpowiedz na moje pytanie!

Wzruszył obojętnie ramionami.

– A jesteś gotowa?

Czy jest gotowa? Nie mogła być przygotowana na emocje, które obudził pocałunkiem. Nie mogła być przygotowana na to, że serce na moment przestanie bić, a jej ciało ogarnie ogień, kolana odmówią posłuszeństwa i krew poniesie żyłami czysty afrodyzjak.

Tymczasem usłyszała od niego, że zrobił to, aby jedynie przygotować ją na awanse innych!

Wyprostowała się i uniosła dumnie głowę.

– Jestem gotowa, żeby wymierzyć kolano w czuły punkt męskiej anatomii, gdyby którykolwiek próbował się tak wobec mnie zachować!

Skrzywił się boleśnie.

– Więc nie całkiem zmarnowaliśmy czas.

Ellie szczerze wątpiła, czy znalazłaby drugiego tak aroganckiego i przykrego w obyciu dżentelmena. Postanowiła, że nie będzie go dłużej tolerować. Cofnęła się o krok i posłała mu lodowate spojrzenie.

– Chyba już czas, żebym sprawdziła, jak się miewa księżna wdowa.

– Odprawiasz mnie, Eleanor? – Księżę nie posiadał się ze zdumienia.

Zasnuowała wargi zdeterminowana, że nie da się zastraszyć.

– A tak to zabrzmiało?

– Tak.

Uśmiechnęła się cierpko.

– Więc najwyraźniej to zrobiłam.

Wybuchnął śmiechem, zarazem przeklinając w duchu, że ta dopiero co poznana kobieta potrafi go tak rozbawić. Pocałunek, który zbył jako lekcję dla Eleanor, mógł się okazać zgubny w skutkach, o ile sam nie wyciągnąłby z niego nauki. Czuł, że pod żadnym pozorem nie powinien tego powtarzać, jeśli chce zachować wewnętrzną równowagę.

– Jestem księciem, Eleanor, a ty moją ubogą przyrodnią kuzynką. To niedopuszczalne, żebyś mnie odprawiała.

Spojrzała na niego z ironią.

– Czyżby kolejna lekcja towarzyskiej etykiety, wasza miłość?

– I najpewniej nie ostatnia – zadrwił ponuro. – Wyraźnie się zaniedbałeś pod tym względem.

Powziął mocne postanowienie, by w przyszłości nie łączyć działalności dydaktycznej z erotyczną.

– Zapewniam, że wobec dam i dżentelmenów umiem się zachować doskonale – zrewanżowała się za przytyk.

– Zatem nie uważasz mnie za dżentelmena?

W głosie Justina pojawiła się nuta groźby. Ellie wspomniła, jak rok temu zmieniło się jej życie, i postanowiła ostudzić emocje.

– Nie to chciałam powiedzieć, wasza miłość. Proszę o wybaczenie.

Ukloniła się i skierowała się do drzwi.

– A jeśli ci nie wybaczę?

Zatrzymała się, a serce załomotało jej w piersi. Cofnęła od klamki nieco drżącą rękę i odwróciła się do Justina.

– Czy chcesz mi coś jeszcze powiedzieć, panie?

Justin chciałby zrobić coś innego. Miał ochotę przełożyć rozwydrzoną młodą damę przez kolano i wymierzyć jej parę klapsów. Odkąd pamiętał, żadna kobieta nie obudziła w nim takiej wściekłości. Ani żądy. A przy tym nawet się o to nie starała!

– Nie zapomnij poinformować mnie o zdrowiu babki – polecił.

– Tak jak obiecałam, wasza miłość. – Skinęła głową. – Czy to wszystko?

Justin zacisnął pięści, tłumiąc nagle pragnienie, by złapać ją za ramiona i potrząsnąć z całej siły. Potem pewnie by ją znowu pocałował. A konsekwencje nie dały się przewidzieć.

– Na razie tak – wydusił przez zaciśnięte zęby.

Eleanor odwróciła się i wymknęła, cicho zamykając drzwi.

Justin został sam i mełł w myślach przykrą świadomość, że dotąd nie zwrócił szczególnej uwagi na opiekunkę babki – nie licząc oceny pełnych ust i piersi, jak na mężczyznę przystało. Teraz oto znał lepiej nie tylko jej fizyczne zalety, ale i ostry języczek, któremu zawdzięczał

nielichą rozrywkę.

– Czy wasza księżęca mość zechce mi wyjaśnić, dlaczego jeżdżę w jego towarzystwie po parku z przyzwoitką, i to w osobie samej pokojowej jej miłości księżnej? – Ellie zerknęła za siebie, gdzie biedna Mary objęła się na wybojach w nie najlepszym z powozów księżnej wdowy.
– Czy nie lepiej bym się jej miłości przysłużyła, pomagając w ostatnich przygotowaniach do balu?

Rzuciła księciu pytające spojrzenie z grzbietu kasztanki, którą kazał dla niej osiodłać. Księżę wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu. Zmrużył błękitne oczy pod bobrową czapką i osadził narowistego ogiera, który miał chętkę wyrwać się przed klacz.

– Spełniasz życzenie mej babki, ściągając na siebie ciekawe spojrzenia, nim rozpocznie się bal.

Uśmiechnęła się na to zagadkowo.

– A twe życzenie, mój panie? Z pewnością wolałbyś uniknąć tej uprzykrzonej przejażdżki po parku?

Justin powstrzymał się od ciętej riposty. Nie winił Eleanor za swój podły nastrój. Ostatnimi dniami ścigał doktora Franklina, by poznać z pierwszej ręki naturę zdrowotnych problemów babki i dowiedzieć się o środkach zaradczych.

Lekarz jednakże stanowczo obstawał za zachowaniem poufności i żadne groźby ni próśby nie odmieniły jego zdania.

„Z każdym dniem wszyscy po trosze umieramy, wasza księżęca mość” – odparł jedynie, gdy zalękniony wnuk pytał, czy babka już puka do nieba bram.

Postawa lekarza byłaby godna wszelkich pochwał, gdyby nie stała w tak rażącej sprzeczności z wyraźnym życzeniem Justina. Osiągnął tyle, że od opuszczenia gabinetu nie posiadał się ze złości – a i tak niczego się nie dowiedział.

Wieczorami jak zawsze przesiadywał w tej czy innej jaskini hazardu i zwykle wracał nad ranem z pełną sakiewką, niezmiennie okupioną wściekłym bólem głowy od tytoniowego dymu i klubowej brandy. Zeszły wieczór nie należał do wyjątków, więc na nogach był zaledwie od kilku godzin. Musiał się wręcz spieszyć z toaletą, by zdążyć na modną do towarzyskich przejażdżek five o'clock – zwyczajową godzinę piątą.

Klął w żywy kamień, że się dał babce przekonać.

– Moje życzenia są obecnie na dalszym planie – odrzekł beznamiętnie.

Eleanor zmierzyła go naburmuszonym spojrzeniem.

– Zdaje mi się, że stan jej miłości poprawił się ostatnio.

– Sugerujesz, że to jedyny powód, dla którego tu jestem?

Wzruszyła szczupłymi ramionami. Wyglądała zachwycająco w zielonej aksamitnej sukni i czepku, spod którego wysunęły się niesforne rude loczki.

– Zdrowie waszej babki leży wam na sercu, panie.

– Lecz nie twoje szczęście, prawda?

Odwróciła wzrok.

– Nikomu nie przyszło do głowy zapytać mnie, czy sobie tego życzę...

– A więc zapytam teraz – odrzekł, rozluźniając sztywną dotąd postawę. – Czy zechce pani przyłączyć się do mnie podczas przejażdżki po parku, panno Rosewood?

Trzy dni Ellie usiłowała odwieść księżną wdowę od swego uczestnictwa w balu Roystonów i tej oto przejażdżki. Nic z tego nie wyszło, a większość tego czasu zmuszona była spędzić na przymiarkach do dwu sukni. Jedną z nich miała właśnie na sobie, druga przeznaczona była na sam bal. Biedna krawcowa długie godziny wysłuchiwała kolejnych poleceń księżnej, aby suknie odpowiadały jej niezwykle drobiazgowym wyobrażeniom.

Przy takim obrocie sprawy Ellie zdecydowanie wolałaby spędzić ostatnie godziny przed balem na przygotowaniu kreacji, a nie tracić w parku czas ze znamienitym i aroganckim księciem Royston. Szczególnie, że i on dawał po sobie poznać niechęć do tego przedsięwzięcia!

– Niestety muszę odmówić – odparła stanowczo.

I znowu Justin nie mógł się nie roześmiać na ten wyraz bezkompromisowości.

– Chociaż powszechnie wiadomo, że nigdy nie towarzyszyłem żadnej młodej damie ani w parku, ani przy innych ogólnie przyjętych okazjach?

– Mimo tego. Nie wiem, jak znosisz te wścibskie spojrzenia i poszeptywania na nasz widok.

Rozejrzał się zdziwiony. Dotąd, zanurzony w myślach ponurych z braku snu i nadmiaru alkoholu, niczego nie zauważył. Napotkawszy jego lodowaty wzrok, ciekawe spojrzenia stały się znacznie bardziej ukradkowe.

– Bierz ze mnie przykład i nie zwracaj na nie uwagi.

– To raczej niewykonalne.

– Może więc odwróci twoją uwagę komplement. Już wcześniej zauważyłem, że istna z ciebie amazonka.

Istotnie, niemrawa szkapa, której dosiadała, nie oddawała sprawiedliwości jej jeździeckiemu kunsztowi. Justin dopiero teraz spostrzegł, że umaszczenie kasztanki, którą sam wybrał, pięknie współgra z kolorem jej włosów.

– Skąd to zaskoczenie? – zakpiła i uśmiechnęła się smutno. – Mój ojczym a twój kuzyn Frederick nie dbał o nasze relacje, ale posiadał wspaniałą stajnię, z której pozwalał mi korzystać.

– Nie dbał o relacje? – powtórzył z wolna. – Czy był surowym opiekunem?

– Bynajmniej. – Pokręciła głową. – Przestał się interesować matką, i mną przy okazji, kiedy już zaspokoił swoje potrzeby w alkwie.

– Eleanor!

Wzruszyła ramionami.

– To chyba nic niezwykłego, że dżentelmeni żenią się z żądzą?

– Nie – przyznał szorstko Justin. – Chcesz mi powiedzieć, że dla Fredericka był to jedyny powód?

Przytaknęła.

– Wyjaśniła mi, kiedy dorosłam do takich zwierzeń. Ożenił się z nią, bo jej pożądał, a ona zgodziła się, by zapewnić nam przyszłość. Kiedy żądza zgasła, bo nie podsycala jej miłość... – skrzywiła się boleśnie – ...małżeństwo straciło jakiegokolwiek pozory szczęśliwego.

Justin pojął ironię losu. Doświadczenia Eleanor napełniły ją lękiem przed brakiem miłości, jego rodzice niewidzący świata poza sobą zniechęcili go do tego uczucia.

Ellie nie była pewna, jakie to myśli ogarnęły księcia, łagodząc szorstkie rysy. Ale już w następnej chwili spoglądał na nią ze zwykłą arogancją.

– A czy twoja matka pojawi się na balu? – zapytała ostrożnie. Nie spotkała dotąd Racheli St. Just.

Justin popatrzył na nią wilkiem.

– Matka nigdy nie opuszcza wiejskiej posiadłości.

– Nigdy?

– Nigdy.

Powiało od niego chłodem. Nie zamierzał rozmawiać o matce. Ellie jednak nie zamierzała pozwolić, by to ją powstrzymało.

– Czy małżeństwo twoich rodziców było nieszczęśliwe?

– Przeciwnie – warknął. – Kochali siebie tak bardzo, że nie było miejsca dla nikogo

więcej.

Nie było dla nikogo miejsca? – zamyśliła się Eleanor. – Może więc stąd jego poglądy na małżeństwo?

– Jak rany, Royston, co za widok! Uświetniasz park swą szlachetną osobą!

Ellie wyrwała się z zadumy i poszukała wzrokiem, któż to powitał księcia z tak fałszywą serdecznością. Dżentelmen ten był może niegdyś przystojny, ale nalana twarz o podkrążonych oczach zdradzała tylko cień dawnej atrakcyjności. Koń z trudem dźwigał ciężką tuszę jeźdźca.

– Równie przyjemnie mi tu widzieć ciebie, Litchfield – nie pozostał mu dłużny Justin. Leniwy ton kazał Ellie uważnie popatrzeć na księcia. Dopiero po chwili odważyła się ponownie zerknąć na tego, którego nazwał Litchfieldem.

Wyczuwając jej zaciekawienie, starszy mężczyzna zlustrował ją od obutych stóp do głowy w czepku i z powrotem, z powolną i rozmyślną poufałością.

– Być może twojej uroczej towarzyszce musimy podziękować za ten zaszczyt? – zasugerował z zadowoleniem znawcy.

Justin wyprostował się sztywno.

– Być może – odparł.

– Nie przedstawiś nas, Royston?

– Nie – uciął książę.

Wyblakłe oczy Litchfielda omiotły raz jeszcze postać Ellie.

– Zdajesz się cokolwiek znajoma, moja droga. Czyśmy się gdzieś nie spotkali?

– Na pewno bym zapamiętała – odrzekła dwuznacznie.

– Prawdziwa ślicznotka, muszę ci to przyznać – podkreślił przeciągle swe uznanie.

Choć Ellie nie poznała dotąd subtelności rozgrywek, jakie prowadzono wśród towarzyskiej śmietanki, nawet ona czuła, że stała się zakładniczką wyzwania rzuconego księciu przez Litchfielda.

– Jest pan doprawdy nazbyt uprzejmy. – Ellie obdarzyła Litchfielda promiennym i pozbawionym jakiegokolwiek wyrazu uśmiechem. – Muszę jednak prosić o wybaczenie, gdyż zamierzaliśmy wracać.

– Istotnie? – Litchfield łypnął na nią okiem, ukazując w karykaturze uśmiechu poczerwiałe zęby. Spod kapelusza wystawały mu rzadkie kępki popielejących z wiekiem włosów i jak łachman zerwanej pajęczyny na wietrze muskały leniwie kołnierzyk koszuli.

– Istotnie – potwierdziła brawurowo.

– Jeśli jednak miałyby pani ochotę na przejażdżkę innego popołudnia, będę niewysłownie zobowiązany, gdyby powierzyła mi pani rozkoszną misję jej eskorty. Wystarczy jedynie posłać liścik na mój adres przy Russell Square. Lord Dryden Litchfield, do usług, pani.

Śmiałość, z jaką się do niej zwrócił, choć nie zostali sobie formalnie przedstawieni – co też zdawało się zabiegiem w pełni ze strony Justina zamierzonym – wykraczała poza wyobrażenia Eleanor o kunsztownie tkanej, uprzejmej konwersacji. Pojęła też bez trudu, że Litchfield nie był w pełni znaczenia dżentelmenem, co nasuwało pytanie, w jakich wspólnych kręgach obracał się z Justinem.

– Wkrótce do ciebie dołączę, Eleanor – rzekł nieco szorstko Justin.

Kiedy zawróciła klacz, ujrzała, że książę mierzy się z natrętem wzrokiem.

– Wasza miłość?

Ellie nie miała wątpliwości, że potyczkę spojrzeń i woli w końcu by wygrał, lecz księżna na pewno nie pochwaliby jej obecności przy tych zmaganiach.

Justin zacisnął pięść na wodzach swego karego wierzchowca i nie odwracając oczu od wyzywającego wzroku Litchfielda, stanowczo rozkazał:

– Zaczekaj na mnie w powozie, Eleanor!
– Ale...
– Bardzo cię proszę. – Nie podniósł głosu, ale powiedział to tak beznamiętnie, że dalszy spór byłby bezprzedmiotowy. Skierowała swojego konia z dala od obu mężczyzn.
– Masz mi coś do powiedzenia, Litchfield? – zapytał Justin z ostantacyjnym spokojem. Ten przybrał najniewinniejszy wyraz twarzy.
– Nie, nic mi nie przychodzi na myśl.
– Więc radzę ci, żebyś trzymał się jak najdalej ode mnie. I od tego, co do mnie należy. Litchfield zerknął w stronę Ellie, która z końskiego grzbietu rozmawiała z pokojówką w powozie.
– Czy ona też należy do ciebie, Royston?
– Całkowicie – potwierdził bez wahania Justin.
– Skoro tak mówisz... – zadrwił.
Justin zacisnął zęby, aż zagrały mięśnie szczęki.
– Tak mówię – warknął.
– Zapewne istotnie tak jest. Na razie.
– Jak dla ciebie, to na zawsze, Litchfield – odparł książę, patrząc na przeciwnika wilkiem.
– A gdyby pani miała inne plany?
Justin wciągnął powietrze przez zęby.
– Pamiętaj, że cię ostrzegłem, Litchfield.
– Szalenie zaborczy jesteś, Royston. – Starszy mężczyzna patrzył z namysłem. – A może to ta sama pani, której liścik oderwał cię od naszej partyjki?
Rzeczywiście Eleanor posłała do niego rzeczony liścik, choć jego treść różniła się istotnie od wyobrażeń Litchfielda.
– A więc ugodziłem w sedno – odparł Litchfield, pusząc się na milczenie Justina. – Jest nadzwyczajną pięknocią...
– ...stworzoną nie dla takich, jak ty – odciął się Justin.
– Czyżby pyszny książę Royston napotkał wreszcie godną przeciwniczkę? Mamy się wkrótce spodziewać publicznych wyznań?
– Masz się spodziewać najsurowszych konsekwencji, jeśli dojdą mnie nawet pogłoski, że choćby wspomniałeś o tej młodej damie. Jest pod moją opieką. – Korciło Justina, żeby złapać impertynenta za gardło i powoli wydusić z niego życie. Ostatecznie zadowoliliby się wysmaganiem go pejcem, po który w tej jakże dogodnej chwili nie musiałby nawet sięgać. Powstrzymał się jedynie przez wzgląd na wrażliwość Eleanor. Uwaga licznych gapiów na pewno by ją onieśmieliła.
Litchfield przyglądał mu się przez chwilę i zaraz wybuchnął szyderczym śmiechem. Zerknął jeszcze na Eleanor, jakby ważył coś w myślach.
– Podopieczna. To bardzo ciekawe...
Zasalutował kpiąco i zawrócił wierzchowca. Przejechał prowokująco blisko powozu Roystonów i uchylił przed Eleanor kapelusza, czym zmusił ją do niechętnego pozdrowienia.
Justin patrzył spode łba na rozwój wydarzeń, wspominając ostrzeżenie Andersona. Wedle jego słów Litchfield był w najlepszym razie brutalnym oprychem, w najgorszym – wyjątkowo groźnym przeciwnikiem. Gdyby nie Eleanor, książę już teraz dałby nauczkę plugawcowi, być może nawet strzelałby się z nim nazajutrz. Ale pojedynkę zaszkodziłby debiutującej Eleanor.
Jutro też jest dzień, pocieszał się na koniec.
– Wyjątkowo nieprzyjemny człowiek. – Ellie aż się wzdrygnęła ze wstrętem, gdy we dwa konie wracali z Justinem do Royston House.

– Bardzo – zgodził się.
– Czy on też będzie na balu?
Księżę prychnął pogardliwie.
– Babka nie pozwoliłaby nawet, żeby przestąpił próg domu.
– I pomimo tego należy do twoich znajomych? – zapytała niewinnie, obserwując jego reakcję.
– Siedzieliśmy parę razy przy jednym stoliku karcianym. Ani razu nie wygrał. – Justin wzruszył z lekceważeniem ramionami. – Ciągnie się za nim taka reputacja, że większość towarzystwa omija go szerokim łukiem. Zakazuję ci kiedykolwiek się choćby z nim witać, gdybyś go fatalnym zrządzeniem losu spotkała.
– Zakazujesz mi? – Ellie aż zatkało z oburzenia.
Księżę był jednak niczym niewzruszony.
– Tak, zakazuję. A może jesteś gotowa przyjąć awanse Litchfielda?
Dreszcz ją przebiegł.
– W żadnym razie!
– A zatem... – zawiesił głos.
– Uznaję, że jesteśmy daleko spowinowaceni, kuzynie. – Beznamiętny ton Ellie nie zdradzał nawet cienia złości, jaką Justin wywołał swoimi wielkopańskimi uwagami. – Jesteś też wnukiem mojej chlebodawczyni.
– I wyznaczonym opiekunem.
– Być może.
– Tu nie ma żadnego „może”!
– Ale i tak nie mogę ci pozwolić, żebyś zakazywał lub nakazywał mi cokolwiek – pouczyła go z naciskiem, wspominając ciągle połajanki, na jakie przez ostatnie lata życia matka narażona była ze strony Fredericka.
Justin pochwyił wodze jej klaczy, nim zdążyła poderwać ją do galopu.
– W tym wypadku muszę nalegać, żebyś mi była posłuszna.
– Możesz nalegać do woli, wasza miłość. Nie dam się zastraszyć żadnemu mężczyźnie! – wykrzyknęła, ledwie widząc przez łzy wściekłości.
Wyrwała wodze z jego rąk. Justin patrzył za nią cały w nerwach.
Przeklęty Litchfield – klął w duchu. – A niech go piekło pochłonie!

ROZDZIAŁ SZÓSTY

– Jeśli nie przestaniesz się krzywić, Royston, powaga pełnionych przez ciebie obowiązków opiekuna odstraszy wszystkich prócz ostatecznie zdesperowanych kawalerów!

Babka podeszła do Justina, stojącego na skraju tłumnej sali balowej. Popatrzył na nią karcąco. Nadal była dość blada i poruszała się z niezwykłą ostrożnością, ale pomimo próśb podjęła obowiązki gospodyni balu Roystonów.

Humor Justinowi nie wrócił, odkąd rozstał się chłodno z Eleanor po powrocie do rezydencji. Czuł, że postąpił niewłaściwie, bo zakaz wobec tak upartej kobiety łatwo mógł wywołać przeciwny skutek. Gdyby jednak wspomniał o tym Eleanor, dowiedziałby się pewnie, że kocioł przygania garnkowi. Nie wierzył oczywiście, że mogłaby przyjąć zaloty Litchfielda, ale był pewien, że kuzynka znajdzie sposób, by odplacić mu za despotyzm.

Kiedy schodziła po schodach na salę balową, dostrzegł buntowniczy błysk w szmaragdowym oku i dumnie uniesiony podbródek – widome znaki, że rewanz szykował się już tego wieczoru.

W pierwszej chwili zaskoczył go babciny wybór kreacji dla Eleanor. Im dłużej jednak na nią patrzył, tym bardziej dziwił się sprytowi starszej damy. W tym sezonie królowały jaskrawe jedwabie i fryzury przybrane krzykliwymi piórami i wstążkami do kompletu.

Dla odróżnienia suknia Eleanor była w najdelikatniejszej z bladych zieleni, podobnie jak długie, sięgające sporo nad łokieć koronkowe rękawiczki. Przy tym jej upięte wysoko, cudownie kręcone włosy opadały swobodną kaskadą na smukły kark. Nagi kark.

Inaczej niż wszystkie damy, które uwielbiały dosłownie obnosić się ze swoim złotem, obwieszając biżuterią szyje i nadgarstki, Eleanor nie miała na sobie ani jednego świecidełka. Szyja i dekolt, nadgarstki, włosy, płatki uszu ukazywały wyłącznie swoje własne piękno.

W efekcie, jak zauważył Justin, elegancja wyróżniała ją spośród tłumu jak szlachetną synogarlicę między stroszącymi pióra pawiami. Była czystym brylantem pomiędzy nieumiejętnie szlifowanymi, pstrymi szafirami, szmaragdami i rubinami.

Jak się można było spodziewać, na sali zapadła cisza, kiedy Stanhope ogłosił ich wejście. Tym razem dzielił ciężar wścibskiej uwagi arystokratycznej tłuszczy z pełną wdzięku, wytworną młodą damą, pewnie stąpającą u jego boku. Jedyne ledwie wyczuwalne drżenie delikatnej dłoni na jego ramieniu świadczyło o skrywanym napięciu; dla wszystkich oczu Eleanor Rosewood stanowiła obraz godności i elegancji. Natychmiast też, zgodnie z wolą babki, rozpoznano w niej tajemniczą damę, którą widziano przy nim podczas popołudnia w parku.

Panie, jak przypuszczała Eleanor, patrzyły na nią z krytyczną uwagą, wachlując się nerwowo. Ale ku radości Justina żadna nie zdradziła, że w tej szlachetnej damie rozpoznaje niepozorną Ellie, towarzyszkę księżnej wdowy. Panowie przeciwnie, drażnili go niepomiernie, bo żaden się nie krył ze swoim podziwem.

Uznanie dla jej uroku znalazło wyraz już z chwilą, kiedy zakończyła się oficjalna prezentacja panny Rosewood szlachetnej gospodyni i jej najbliższym przyjaciółkom, lady Cicely Hawthorne oraz hrabinie wdowie Chambourne. Natychmiast przybyłą parę otoczył najmniej tuzin dżentelmenów, z których każdy domagał się przedstawienia zjawiskowej niewieście i honoru zajęcia miejsca na jej bileciku.

Pierwszy taniec przypadał bowiem z racji pełnionej funkcji jej opiekunowi, który nie wymówił się od zaszczytu, budząc tym większe zaciekawienie. Wszak młody książę Royston nigdy przy podobnej okazji nie stanął dotychczas na parkiecie! Ten nadzwyczajny obrót

wydarzeń miał zapewnić Eleanor jeszcze wyższy pułap debiutu, zgodnie z zamierzeniem księżnej.

Wirując po sali w pierwszym tańcu, nie zamienili nawet jednego słowa. Eleanor zachowywała wyniosły dystans posągowej piękności. Przyglądając się jej spod półprzymkniętych powiek, Justin wbrew sobie przyznał, że kuzynka porusza się z wyjątkową gracją. Istotnie, umiała się wobec dam i dżentelmenów zachować.

Dżentelmeni zaś, ku tym większej frustracji księcia, na wyścigi rzucili się jeden przez drugiego domagać wpisania na jej kartę taneczną. Na jego oczach Eleanor rozkwitała. Zaciśnięła usta, gdy roześmiała się perliście w walcu na jakąś uwagę obecnego partnera.

– Lord Braxton raczej nie spełnia odpowiednich warunków – zauważył, zwracając się niepostrzeżenie do babki.

– Bzdury! – Ucięła Edith, uśmiechając się błogo w stronę swojej podopiecznej. – Jeremy Caulfield jest wdowcem, a przy tym hrabią!

Skrzywił się.

– A przy tym jest od niej dwa razy starszy i szuka pewnie macochy dla zgrai bachorów, które ukrywa za kratami sierocińca przy Caulfield Park.

Babka skarciła go wzrokiem.

– Ma zaledwie trójkę: pierworodnego, młodszego na zapas i dziewczynkę. Poza tym widać, że przy Ellie od razu zapomniał o swoich dzieciach.

Justin nie wątpił, że Jeremy Caulfield jest szczerze zauroczony jego kuzynką. Patrzył maślanym wzrokiem i czule trzymał w tańcu jej dłoń. A ona odwzajemniała mu się sympatią, bo postawę miała swobodną, uśmiechała się i prowadziła niewymuszoną, lekką rozmowę. Mimo oporów księżę musiał przed samym sobą przyznać, że hrabia byłby świetną partią, gdyby zauroczony zdobył się na propozycję małżeństwa.

W ten sposób szybko skończyłyby się też niechętnie przez niego sprawowane obowiązki opiekuna.

Ta perspektywa wydała mu się zaskakująco nieprzyjemna.

– Niestety obiecałam już księżnej, że będę jej towarzyszyła przy kolacji obok lady Hawthorne i hrabiny Ambridge, panie. – Ellie była taktownie speszona, gdy odrzucała zaproszenie. Opuszczała właśnie parkiet taneczny pod ramię z przystojnym i wpatrzonym w nią lordem Jeremym Caulfieldem, hrabią Braxton.

Roztrzęsiona po okropnej przejażdżce z Justinem po parku, Ellie z trwogą myślała o ich wspólnym balu. Jakież było jej zdziwienie, kiedy okazało się, że na przyjęciu bawi się doskonale. Zawdzięczała to głównie mężczyznom zabiegającym tłumnie o jej względy i była tego świadoma. Lecz na widok ponurej postaci księcia jej uśmiech przygasał; on jeden nie starał się uprzyjemnić jej wieczoru. Od powrotu nie zamienili trzech słów, a koniec dzielonego z nim tańca przyjęła z westchnieniem ulgi. Na nic zdały się tu wysiłki promieniejącej wprost księżnej St. Just, która z całych sił dodawała jej otuchy.

Za jedyne wytłumaczenie jego zachowania miała niechęć księcia do podejmowanych przez księżną wysiłków na rzecz jej przyszłości. Tym bardziej więc nie chciał brać w nich udziału – rozumowała. Przyznawał otwarcie, że nigdy by się tego zadania nie podjął, gdyby nie najgłębszy szacunek dla księżnej, która podupadła ostatnio na zdrowiu.

Szczęśliwie księżna wdowa wyglądała ostatnio nieco lepiej i, choć blada, zdawała się doskonale bawić. Lecz Ellie poznała już Edith St. Just na tyle dobrze, by wiedzieć, że księżna nawet kosztem zdrowia gotowa się wywiązać z wymogów gościnności.

Hrabia Braxton był głęboko zawiedziony odmową Eleanor.

– Może księżna będzie na moją prośbę łaskawa zwolnić panią z zobowiązania?

– Panna Rosewood jest moją podopieczną i ja jeden mogę udzielić jej pozwolenia – dobiegł ich zimny głos Justina St. Justa.

Hrabia odwrócił się do niego z przyjaznym uśmiechem.

– Czy mogę więc liczyć na twoje pozwolenie, bym mógł odprowadzić pannę Rosewood na kolację, Royston?

– Niestety nie, Braxton – odmówił księżę, spoglądając na hrabiego wyniośle.

– Czy jednak...

– Niestety nie, Eleanor – powtórzył stanowczo, kiedy próbowała protestować. Zwrócił się ponownie do hrabiego.

– W imieniu mojej podopiecznej proszę cię o wybaczenie, Braxton. Eleanor jest zaledwie debutantką i nie rozumie, jaką uwagę ściąga na siebie prostoduszną kokieterią.

Ellie osłupiała. Rzeczywiście nie opuściła ani jednego tańca, ale wierzyła, że jest towarzyską ciekawostką, a nawet dziwadłem. Nie zabiegała o zainteresowanie ani też z nikim nie flirtowała.

– Muszę cię przeprosić, Braxton – dodał Justin i nie czekając na odpowiedź, pochwycił mocno ramię Ellie.

– Justinie... – próbowała zaprotestować Edith.

– Zaczekamy w sali jadalnej, babko – odparł Justin z nieprzystępnym wyrazem twarzy i ruszył tam, gdzie podawano kolację, niemalże ciągnąc Ellie za sobą.

– I kto teraz ściąga na siebie uwagę? I na mnie przy okazji? – syknęła Eleanor z przyklejonym uśmiechem, usiłując nadążyć za wyciągającym nogi księciem.

Justin prawie zgrzytał zębami i rzucał piorunujące spojrzenia wszystkim, którzy śmieli choćby zerknąć w ich stronę. Nikt nie wytrzymał naporu jego wzroku.

– Wasza miłość...

– Nie próbuj mnie tu częstować formułkami. A udawanie karcącego tonu babki nie wychodzi ci najlepiej! – zwrócił się do niej ostro, popatrzył na nią i głos uwiązał mu w gardle. Na pobludłych policzkach wyraźniej było widać piegi, a w szmaragdowych oczach błyszcząły łzy, kiedy podniosła na niego z wyrzutem wzrok.

Nim ponownie się odezwał, zwolnił kroku i rozluźnił chwyt na jej ramieniu.

– Może ci się wydawać inaczej, ale naprawdę działałam tu w twoim najlepiej pojętym interesie. – Pracował nad złagodzeniem szorstkiego tonu. – Przyjęcie jego zaproszenia zostałoby odebrane jako deklaracja.

Zamrugła zdziwiona, pozbywając się łez.

– Deklaracja? – zapytała. – Czego, mianowicie?

– Że jesteś gotowa przyjąć jego propozycję małżeństwa, gdyby planował ją złożyć.

– To istne szaleństwo! Dopiero się poznaliśmy!

Twarz Ellie przybrała jeszcze bielszy odcień białości.

Justin pokiwał głową.

– Jako nowicjuszka w towarzystwie nie znasz jeszcze wszystkich niuansów.

Pokręciła głową, burząc kaskadę czerwonych pukli na alabastrowej szyi.

– Byłam przekonana, że hrabia nie ma na myśli niczego podobnego. Pragnął jedynie dokończyć naszą rozmowę i poznać moją opinię o zatrudnieniu guwernantki dla jego pięcioletniej córki.

– Rozmawiał z tobą o przyszłości córki?

– Tak... – Z jego oczu Ellie bezbłędnie wyczytała, że znów zrobiła coś nie tak. – To przecież całkiem niewinny temat, prawda?

Rzucił jej spojrzenie pełne politowania.

– Taki temat wybrałby mężczyzna w rozmowie z kobietą, którą chciałby widzieć w roli drugiej matki swoich dzieci.

Ellie miała oczy jak spodki.

– Nie możesz mówić poważnie. Ledwie go znam!

Zbył ją pogardliwym prychnięciem.

– Nie jesteś chyba tak naiwna, Eleanor? Bo jeśli jesteś całkiem szczerą, to moja babka powinna była uzbroić się w cierpliwość przed twoim debiutem.

– Nie sędzę...

– Po południu omal nie oświadczyła ci się jedna z największych kanalii Londynu, a wieczorem popełniłaś nietakt, rozmawiając z mężczyzną o pokoju dzieciennym.

Policzki płonęły Ellie z upokorzenia, ale była zdecydowana, żeby się nie poddać bez walki.

– Czy mam ci przypomnieć, że nigdy bym słowa z tą kanalią nie zamieniła, gdyby nie należał on do twoich znajomych? I naprawdę uważam, że hrabia prowadził ze mną zwyczajną rozmowę.

Księżę popatrzył na nią z niedowierzaniem.

– I wybrał niezobowiązujący temat przyszłości swojej osieroconej przez matkę córki?

Skrzywiła się boleśnie.

– Tak...

Biła się z myślą, że okazała się skrajnie naiwna, biorąc rozmowę z hrabią za dobrą monetę. Justin na pewno lepiej znał swoje środowisko. Mimo to rozmowa wydawała się niewinna, a hrabia nie miał pojęcia, jak mógłby sam wychować córeczkę.

– Chyba całkiem zepsułam swój wieczór – przyznała. Miała ochotę raczej się rozplakać niż skosztować pyszności, które czekały na talerzu.

Justin uśmiechnął się niewesoło.

– Nie zdręczaj się tak, Eleanor. Jedna niezręcznie poprowadzona z dżentelmenem rozmowa to jeszcze nie wyrok na resztę dni. Nawet gdyby złożył propozycję małżeństwa, musiałbym ją odrzucić. A babka zapewne właśnie tłumaczy Braxtonowi twoje zachowanie, powołując się na twój brak doświadczenia.

– I dzięki temu mam się lepiej poczuć? – wypaliła, tracąc resztki nadwątlonego rozmową poczucia sukcesu.

Jeszcze do niedawna wierzyła, że zachowuje się z polotem i polorem przystającym protegowanej księcia. Zamiast tego okazało się, że pozwoliła hrabiemu Braxton wierzyć w swoją przychylność i nieświadomie zachęcała go do wzmożenia wysiłków.

– Jak tobie udawało się tak długo unikać matrymonialnych pułapek, wasza miłość?

W jednej chwili ponury nastrój Justina ulotnił się; księżę stłumił śmiech i odsunął dla Eleanor krzesło.

– Sędzę, że sukces zawdzięczam po równi ostrożności i sprytowi.

Ellie wydeła usta, zasiadając przy stole.

– Czy byłbyś łaskaw mnie tego nauczyć? Obawiam się, że jestem w opresji.

Przyjrzał się jej uważnie, siadając obok, lecz z odpowiedzią zaczekał, aż lokaje skończą serwować łakocie.

– Nie byłabyś szczęśliwa jako hrabina Braxton?

Pokręciła głową przecząco.

– Hrabia jest bardzo przyjemnym mężczyzną, ale pragnę wyjść za kogoś, kogo będę kochała całym sercem i kto mnie też tak pokocha.

– Z powodu nieszczęsnych okoliczności małżeństwa twojej matki z Frederickiem?

– Nie wyobrażam sobie gorszego losu.

Justin podziwiał siłę jej przekonań, choć skrajnie różnych od jego własnych poglądów.

Dla niego ważne było pochodzenie wybranki i zdolność do uzyskania zdrowego potomstwa.

– A co myślisz o dzieciach, Eleanor? Myślałaś już, czy pragnęłabyś mieć syna lub córkę?

Zamrugła z przekornym błyskiem w oku i rozejrzała znacząco po sali, do której z wolna ściągali pozostali goście w poszukiwaniu przekąsek i napojów.

– A czy przypadkiem nasza rozmowa nie stanie się zaraz równie naganna towarzysko, jak moja niedawna konwersacja z lordem Caulfieldem? – zapytała cicho i pochyliła się, żeby nabić na widelczyk część ananasa, którą uniosła do ust.

– Niekoniecznie – mruknął Justin zapatrzony w jej pełne wargi, gdy zamknęły się na soczystym owocu.

W zamyśleniu połknęła ananasa, po czym niewinnie oblizała z soku usta.

– W takim razie chciałabym mieć dzieci w swoim czasie, i to co najmniej chłopczyka i dziewczynkę, ale tylko pod warunkiem...

– ...że miałabyś je z mężczyzną, który kochałby cię całym sercem – dokończył sarkastycznie.

Ellie odpowiedziała uśmiechem.

– Dlaczego jesteś tak cyniczny, gdy chodzi o miłość, wasza książęca mość? – zapytała, a on znowu się roześmiał.

– Czy nie wydaje ci się absurdalne, że zadajesz mi osobiste pytanie, tak mnie tytułując, Eleanor?

– Niekoniecznie – odparła, rumieniąc się z lekka.

– Niekoniecznie, Justinie – naciskał.

Ellie miała przemożne wrażenie, że w ich rozmowę wniknął nieujawniony podtekst, choć dlaczego i jak brzmiał, nie miała pojęcia.

– Może nazywanie cię Roystonem, tak jak babka, byłoby bardziej na miejscu?

– Zbyt napuszone – zbył mrukiwie jej propozycję.

Spuściła wzrok.

– Nie jestem pewna, czy księżna wdowa zaaprobowałaby...

– Czego by nie zaaprobowała? – wciąła się Edith, przyłączając się do nich razem z lady Cicely i lady Jocelyn.

Wnuk podniósł się uprzejmie i pomógł damom usadowić się wygodnie przy stole, zanim powrócił na swoje miejsce u boku Ellie.

– Staralem się właśnie nakłonić Eleanor, żeby mówiła mi po imieniu, kiedy jesteśmy sami lub w towarzystwie bliskiej rodziny i przyjaciół. – Ukłonił się do lady Cicely i lady Jocelyn.

Lady Cicely wydawała się zmieszana.

– Nie jestem pewna... – zaczęła, zerkając ostrożnie na księżną.

– Czy to aby wypada? – dorzuciła swoje wątpliwości lady Jocelyn, kierując pytanie do Edith St. Just.

Ta, nim odpowiedziała, przyjrzała się bacznie wnukowi.

– Nie widzę przeciwwskazań. W końcu są spowinowaceni.

– Jednakowoż...

– Wcale nie jestem przekonana...

– Dostyć szorstko odniosłeś się do Braxtona, Royston – ucięła dyskusję księżna, zwracając się do wnuka.

– Doprawdy? – zapytał Justin obojętnie.

– Świetnie wiesz, że tak – skarciła go babka.

– Nie będzie długo chował urazy – mruknął pojednawczo. Wyciągnął rękę po kawałek owocu, który uniósł kusząco blisko ust Eleanor.

Nawet naiwna i niedoświadczona Ellie była przekonana o niestosowności takiego zachowania. Nie spodobało się jej też, że Justin wpija wzrok w jej rozchylone usta.

Naraz zrozumiała, że właśnie to zmieniło się między nimi. W jednej chwili Justin rugał ją za flirt i zachęcanie hrabiego do zalotów, w następnej sam z nią bezwstydnie flirtował.

Nie rozumiała, co zamierzał. Może była to następna lekcja, a może chciał sprawdzić, czy wyciągnęła wnioski?

Jakiegokolwiek by były powody jego zachowania, na pewno ściągnęło ono na nich niepożądaną uwagę. Rozglądając się dyskretnie, Ellie zauważyła, że kilka bliżej siedzących matron daje wyraz zgorzeniu w obliczu tak intymnego zachowania na widoku publicznym. Zarówno lady Cicely, jak i lady Jocelyn wstrzymały oddech, czekając na jej reakcję, gdy Justin uniósł skrawek ananasa na widelcu do jej ust. Niestety, Edith była równie nieprzenikniona jak jej wnuk.

Eleanor uśmiechnęła się chłodno i wyprostowała w krzesle, nie opierając się jednak na oparciu krzesła, jak dawnymi laty nauczyła ją matka.

– Straciłam chęć na ananasa, wasza miłość – skomentowała cierpko. – Może sam go skosztujesz? Zapewniam, że jest wyjątkowo smaczny.

Teraz i ona musiała wstrzymać oddech, czekając w napięciu na reakcję Justina.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

To zakrawało na istne szaleństwo!

Trudno byłoby znaleźć inny powód, dla którego Justin zachowywał się jak ostatni głupiec, podsuwając ukochanej kaski soczystych owoców.

Justin nie uważał się za głupca, a Eleanor nie była w żadnym razie jego ukochaną – ani też nie mogła nią się nigdy stać. Jedynym zaś owocem, który chciałby dzielić z kobietą, był zakazany owoc miłości uprawianej w zaciszu alkowy.

Zaglądał w jej szmaragdowe oczy i widział w nich, że beznamiętna odmowa, którą go poczęstowała, służyła jedynie nakarmieniu wygłodniałej publiki upragnionymi pozorami. Rozszerzone źrenice Eleanor, jej rozchylone usta mówiły coś zgoła innego.

Nigdy nie miał trudności z rozpoznaniem tych emocji. Ellie czuła narastające podniecenie.

Pomimo buntu, jaki budził w niej, występując w roli opiekuna, i wbrew oporowi wobec wszelkich ograniczeń, jakie starał się jej narzucić, Ellie nie umiała bowiem ukryć, że Justin bardzo ją pociągał. A przecież właśnie pożądanie stało się załączkiem cierpienia matki w małżeństwie z Frederickiem, na które wciąż się powoływała!

Na tę myśl Justin uśmiechnął się ukontentowany i wyprostował.

– Dużo lepiej, Eleanor – rzekł przeciągle, odkładając widelec z owocem na swój talerz, po czym zwrócił się do trzech starszych dam naprzeciwko. – Podjąłem się, na jej wyraźne życzenie, nauczania Eleanor taktownego odrzucania awansów nadmiernie rozochoconych dżentelmenów.

Pomimo wyjaśnienia lady Cicely i lady Jocelyn nie otrząsnęły się jeszcze z szoku. Szczęśliwie spojrzenie babki nie wyrażało jednoznacznego potępienia.

– Twoje metody wyraźnie zdają egzamin – skomentowała z nutą irytacji. – Ale w oczach towarzystwa wydały się cokolwiek niejednoznaczne.

Justin roześmiał się serdecznie.

– Dzięki temu zyska popularność wśród dżentelmenów, jedynie kosztem sympatii dam.

– To wcale nie jest zabawne, Royston.

– Przeciwnie, babciu. – Justin przybrał swobodniejszą pozę. – Wszelkie wątpliwości zostaną w końcu rozwiane, skoro wszyscy doskonale wiemy, że nie mam romantycznych zamiarów względem drogiej Eleanor.

– Pragnę ci podziękować za ostatnią lekcję, wasza miłość – wtrąciła Ellie. Miała po dziurki w nosie opinii księcia Royston. W jej przekonaniu był najbardziej nieznośnym, aroganckim i zgryźliwym dżentelmenem, jakiego ziemia miała nieszczęście nosić.

Na jej własne nieszczęście książę okazał się ambitnym partnerem w dyskusji, niebezpiecznie przystojnym i ekscytującym mężczyzną; podejrzewała wręcz, że może być w nim zakochana, pomimo że z całych sił starała się podobne względem niego uczucia stłumić.

Wystarczyło, że na niego popatrzyła, przebywała w jego towarzystwie czy wymieniała cięte riposty w rozmowie, a już jej puls przyspieszał, oddech skracał się, a wszystkie nerwy jej ciała uwrażliwiały na jego obecność. Kiedy kusił ją smakowitym i soczystym kaskiem, o mało nie poddała się jego urokowi i sugestyjności gestu.

Stanowił pokusę tak nieodpartą, że cały świat zdawał się ograniczać do ich dwojga, postronne rozmowy oddalały się i milkły, a ona nie umiała oderwać wzroku od jego szafirowych, przenikliwych oczu.

Przypominała, ku swojej narastającej frustracji, motyla przesytego szpilką kolekcjonera.

Pewien spokój czerpała z obserwacji, że Justin zdawał się całkiem nieświadomy wrażenia, jakie w niej wywołuje. Potwierdzała to jego uwaga o udzielaniu nauki, którą podsumował swoje niestosowne zachowanie.

– Proszę o wybaczenie, chciałabym uładzić kreację, nim na nowo rozpocznie się bal.

Ellie złożyła serwetkę i podniosła się od stołu.

– Odprowadzę cię – zaproponował uprzejmie Justin, natychmiast wstając.

Uniosła brew w udanej karykaturze kpiny księcia.

– Do damskiego pokoju toaletowego, panie?

– Oczywiście zaczekam w holu – odparł, walcząc z uśmiechem.

Ellie zmrużyła ze złością oczy.

– Jestem przekonana, że nie ma takiej konieczności.

– Śmiesz się nie zgodzić. Chyba że umówiłaś się już na słodkie tête-à-tête z Braxtonem w jednym z wolnych pokojów?

– W żadnym razie! – odparła oburzona.

Wyprostował się godnie.

– Pozwolę sobie zatem ci towarzyszyć, byś nie została po drodze uprowadzona. Drogie panie. – Dodał głośniejszym głosem, skłonił się grzecznie trzem damom po drugiej stronie stołu i podał Ellie ramię, nie pozostawiając jej wyboru. Powierzyła mu dłoń i ruszyła sztywnym krokiem z dumnie nieobecny wejrzeniem, podczas gdy on pozdrawiał licznych znajomych, gdy przedzierali się przez tłoczną i gwarną salę.

Mimo pozornej obojętności w duszy, Eleanor aż się skręcała z poczucia upokorzenia.

Wyrwała rękę natychmiast, kiedy znaleźli się w prawie opustoszałej sali balowej.

– Jak śmiesz! Nie masz prawa zawstydząć mnie przy wszystkich, jawnie sugerując, że umówiłam się na schadzki z lordem Caulfieldem! Za kogo się uważasz?

Justin zlustrował ją zimno, z ulgą odzyskując pełną kontrolę nad sytuacją... i nad samym sobą. Ponieważ pod płaszczykiem perfekcyjnie wystudiowanego zblazowania emocje, jakie wywołał u Eleanor, nie spłynęły po nim bez śladu.

Wbrew woli odpowiedział takim podnieceniem, że musiał ochłonąć, by uniknąć niebezpieczeństwa zwrócenia na siebie uwagi.

Co tym bardziej go poirytowało.

Jako protegowana babki i jego własna podopieczna, Eleanor Rosewood, była ze wszech miar nieodpowiednia do pełnienia roli kochanki. Na dokładkę nie spełniała wygórowanych wymagań, jakie stawiałyby przed nią rola przyszłej księżnej. Zgodnie z powyższym w jego uporządkowanym koniecznością życia mogła Justinowi przypaść jedynie rola wiecznie poirytowanego opiekuna. Nie wszystko jednak było stracone; wiele z obecnych tu kobiet mogło służyć zaspokojeniu jego fizycznych żądań, jak wiele z nich już nieraz czyniło.

– Za kogo się uważam? – powtórzył spokojnym nagle głosem. – Na tę chwilę uważam się za twój opiekun i obrońcę... I wcale ci się to nie musi podobać – dodał, gdy próbowała protestować. – Do mnie należy zapobieżenie temu, byś pogrążona w otchłani swojej ignorancji zawstydziła moją babkę i mnie niestosownym do okazji zachowaniem.

Ellie rzuciła mu wyzwanie gorącym spojrzeniem.

– Jesteś najbardziej nieznośnym mężczyzną, jakiego w życiu spotkałam.

– Chyba już mi to mówiłaś.

– Więc pewnie tak właśnie myślę!

Uśmiechnął się z teatralnym znużeniem.

– Mam przy tym to szczęście, że twoja opinia na mój temat jest mi kompletnie obojętna. Doświadczenie Ellie potwierdzało jego słowa. Ona sama miała dla niego znaczenie

wyłącznie przez życzenie księżnej, jako jedynej kobiety, o której uczucia Justin dbał. Nawet gdy wspominał o matce, jego słowa były zimne jak lód.

Niestety! Nawet pogrążona w tych myślach musiała zacisnąć pięść, do bólu wbijając w dłoń paznokcie, bo inaczej nie powstrzymałaby się przed spoliczkowaniem księcia, żeby zetrzeć arogancki uśmiešek z jego rzeźbionych ust.

Wciągnęła mocno powietrze, by pozbyć się napięcia.

– Czy zatem dziwi cię, że chętniej wybieram towarzystwo uprzejmych dżentelmenów, takich jak hrabia Braxton?

Wbił w nią zagniewane spojrzenie.

– Ostrzegam cię, Eleanor. Nie chcesz mieć we mnie wroga.

Ellie zaschło ze zdenerwowania w ustach. Znowu narosło między nimi napięcie, którego charakteru nie umiałaby nazwać.

Była jedynie świadoma ekscytującego wrażenia w brzuchu poniżej piersi, swoich dłoni zwilgotniałych w koronkowych rękawiczkach i palącej na policzkach czerwieni.

Odetchnęła raz jeszcze.

– Nie chciałam nic złego zasugerować.

– Nie?

– Nie – potwierdziła z przekonaniem.

Zacisnął zęby.

– Uważam inaczej.

– Masz do tego oczywiście prawo... Co robisz? – pisnęła cicho, kiedy księżę chwycił ją za ramię i pociągnął w ciemny korytarz prowadzący z dala od gości, do prywatnych pokoiów rodowej siedziby.

– Justinie? – syknęła ostro, gdy otworzył gwałtownie drzwi biblioteki i niemalże cisnął ją do wnętrza.

Zarygłował drzwi.

– Akurat teraz nadszedł według ciebie moment, żeby zawołać mnie po imieniu? – Rozległ się w ciemności jego gardłowy szept. – Tym bardziej uważam, że rzucasz mi wyzwanie, Eleanor.

Mroczną postacią górował nad nią w ciemności. W padającym przez okno blasku księżycy długie włosy księcia lśniły srebrem, jego oczy zdawały się bledsze, a rysy twarzy jeszcze bardziej niż zwykle ostre i groźne.

Wszystko to jednak nie miało znaczenia wobec wagi skandalu, jaki wywołałoby, gdyby ktokolwiek odkrył ich razem w bibliotece.

– Nie powinno nas tu być, wasza książęca mość!

– Tak, jestem pewien, że się ze mną drażnisz – rzucił z przyganą. – Czy nikt ci nie mówił, że niebezpiecznie jest budzić śpiącego tygrysa?

– Porównujesz się do tygrysa? – spytała z niedowierzaniem.

– A teraz próbujesz sobie ze mnie drwić.

Postąpił krok do przodu, a ona cofnęła się i z przerażeniem odkryła, że opiera się plecami o zamknięte drzwi. Jej oczy zrobiły się bardzo duże, kiedy położył dłonie po obu stronach jej głowy.

Justin był tak blisko niej, że przez cienki jedwab sukni czuła jego ciepło, a oddychała czystym, męskim zapachem, przytłoczona siłą bijącą od jego potężnego ciała. Wszystkie jej zmysły zatracaly się w sobie nawzajem. Doszedł ją aromat wody toaletowej, jej piersi ujędrniały, sutki wyprężyły się niemal boleśnie, zwilgotniała pomiędzy udami, a nogi prawie odmówiły jej posłuszeństwa.

Musiała przyznać, że uczucia do tego mężczyzny nie zgasły w niej zupełnie.

Gorący oddech posłał ciarki wzdłuż pleców, gdy księżę pochylił się i szepnął jej do ucha:
– Małe dziewczynki, które rozmyślnie budzą tygrysa, zasługują, żeby im dać nauczkę...
żeby je delikatnie ukarać, zgodzisz się ze mną?

Zadrżała jak osika na wietrze, z trudem łapiąc oddech. W głowie się jej zakręciło, ledwie trzymała równowagę.

– Proszę... – szepnęła i w obronnym geście położyła ręce na jego piersi. Tak bardzo pragnęła go odepchnąć... Brakło jej siły, ale rąk nie zdołała opuścić. Jakby z własnej woli rozłożyła dłonie, by chłonąć nimi ciepło bijące od szerokiej piersi.

– Czego sobie życzysz, Eleanor?

Zwilżyła nagle spierzchnięte wargi językiem.

– Powinam już iść...

– Rzeczywiście powinnaś. – Skinął powoli głową, przysuwając się zarazem do niej, aż jedynie jedwab jej sukni i jego ubranie rozdzielały ich ciała. – Pytanie tylko, co zrobisz.

Podniosła oczy do jego twarzy, ale nie mogła przebić wzrokiem zasłony mroku, skrywającej jego rysy. Pomimo tego miała pewność, że wyrażają twardą determinację, a nie czułość kochanka.

– Myślę, że rozgrywasz ze mną kolejną gierkę, wasza miłość – odparła oskarżycielsko.

– Jesteś tego pewna?

– Tak!

– Czy to też udaję? – zapytał i przylgnął do niej swoim muskularnym ciałem, aż na miękkim wzniesieniu swojego łona poczuła jego twarde podbrzusze.

Rozwarła z przestachu powieki. Była może naiwna i niedoświadczona, za jaką Justin ją uważał, ale dostatecznie dobrze zdawała sobie sprawę, co znaczy ta pulsująca twardość.

Jak wcześniej przyznała, bardzo dużo czasu spędziła w wyśmienitej stajni swojego ojczyńca podczas dziesięciu lat trwania małżeństwa jej matki. Poznała widok ogiera szykującego się, by dosiąść klacz. Justin był jak ogier.

Jeśli jego wcześniejsze zachowanie zakrawało na istne szaleństwo, teraz był to już czysty obłąd. Był kompletnie obłąkany! – pomyślał. Powinien zachowywać dystans, jak ognia unikać nawet przebywania z nią sam na sam, a co dopiero mówić o dotyku jej miękkiego ciała!

Nie mógł nawet rzucić winy na nadmierne pobłażanie sobie w trunkach, bo przyglądając się Eleanor tańczącej ze zdawałoby się legionem dżentelmenów, nie miał nawet czasu zwilżyć ust choćby kropelką odprężającej brandy.

Tego wieczoru był pijany samą Eleanor, wyzwaniem rzucanym mu w każdym jej słowie. Wystarczyło mu patrzeć, jak rozgryza kawałek owocu i oblizuje usta z soku, żeby zapragnął sam poczuć te pełne wargi, przypomnieć sobie ich smak. Od tamtej pory pragnienie to nie dało mu nawet chwili wytchnienia.

– Wygląda ci to na gierkę? – zapytał znowu, nie doczekawszy się odpowiedzi.

Przeciągnęła po wargach koniuszkiem różowego języczka.

– Nigdy w podobną nie grałam – odparła wśród szmeru pospiesznego tchu.

– Doskonale. – Justin uśmiechnął się szorstkim, pewnym siebie uśmiechem. – Chciałabys wiedzieć, jak dalej się toczy... podobna rozgrywka?

– Wasza miłość!

– Na imię mi Justin, do ciężkiej cholery! – Wbił w nią wzrok i przywarł do niej, wydając niski i bolesny jęk, gdy rozkosz wzięła nad nim górę.

Ellie wpatrywała się w niego przerażona.

– Justinie, czy coś cię boli?

– Nie obawiaj się – odparł ze sztywnym uśmiechem. – Może na to nie wygląda, ale

możesz mi wierzyć, że to przyjemność, a nie ból.

– Przyjemność? – zapytała niepewnie.

Niełatwo jej było uwierzyć, bo kiedy oglądała z ukrycia ogiera z klaczą na padoku, ten wydawał się w wielkim cierpieniu, zarzucał głową z dzikim błyskiem w oku, rżał, parskął i bębnił kopytami w glinę, za wszelką cenę próbując osiąść swojej zdobyczy.

Struchlała klacz też nie czuła się najlepiej, stała niespokojnie pośród szaleństwa bijących kopyt, gryziona w jedwabistą szyję przez ogiera. Próbowwała się wydostać spod niego z kwikiem, gdy potężny członek raz po raz zanurzał się w jej ciele, bez końca, jak zdawało się małej Ellie. Wreszcie nie mogła już dłużej znieść tego straszego widoku i z płaczem pobiegła do mamy.

Muriel otarła jej łzy i ukoila w strachu. Wytłumaczyła spokojnie, że klacz nie cierpiała i że w ten sposób powstają małe koniki, a klacz będzie szczęśliwa, kiedy na wiosnę źrebię przyjdzie na świat.

Właśnie podczas tej rozmowy Ellie dodała aneks do swojej wcześniejszej przysięgi, że za mąż wyjdzie tylko z odwzajemnionej miłości. Zbliżenie było aktem tak intymnej bliskości, dzięki i nieokielzanej, że nie brała nawet pod uwagę tego, że dopuściłaby do siebie mężczyznę, którego zaledwie lubiła.

Rysy Justina złagodniały. Musiał wyczuć jej niepewność.

– Nie wierzysz mi?

– Nie wiem, co mam myśleć, jak odpowiedzieć...

Pokręciła z wahaniem głową.

Justin pokazał w uśmiechu zęby.

– A to ci nowina!

– Śmiejesz się znowu ze mnie.

Oprzytomniał i spojrzał jej prosto w pobladłą twarz.

– Powiedz, czego w tej chwili pragniesz. Co chciałabyś, żebym zrobił?

Na kilka sekund zagryzła dolną wargę między perłowymi ząbkami, potem jednak uniosła głowę. Podjęła decyzję.

– Chciałabym, żebyś przestał mnie traktować jak dziecko.

– Zapewniam cię, Eleanor, że w tej chwili jest ci w moich oczach bardzo daleko do małej dziewczynki.

Skinęła poważnie głową.

– Zatem powiedz mi, jaki jest następny ruch w tej grze.

Justin zaczerpnął powietrza.

– W takich chwilach dżentelmen zwykle przyciska usta do szyi damy. W ten sposób – dodał, wcielając słowa w czyn i chłonąc zapach jej skóry i perfum oraz delikatny dotyk na swoich wargach.

Westchnęła cicho, przechylając głowę, by tym łatwiej mógł pieścić jej szyję.

– A później?

– Teraz może ośmielić się zejść nieco niżej – mruknął Justin, nie przestając jej całować.

– Niżej? – oddech uwiązał jej w gardle, a piersi uniosły się w dekolcie sukni.

– Właśnie tutaj – rzekł Justin, składając pocałunki na tych wzniesieniach z gorącego, podatnego białego marmuru. Jego podniecenie zdawało się wzrastać bez końca, gdy zanurzył się między piersi, całując, smakując językiem i grzejąc je gorącym oddechem, podsycanym wonią jej perfum.

Uszu Ellie dobiegł kolejny drżący i bolesny jęk. Tym razem wyrwał się on z jej gardła, lecz dotyk języka Justina na gorącej skórze i rytmiczny nacisk, jaki wywierał między udami, dawały przyjemność, która rozlewała się po całym ciele. W jej ogniu różowe sutki nabrzmiwały

bardziej jeszcze i wilgotniało łono.

– Och! – wyrwało się jej zdławione westchnienie.

– Spodobało ci się, co, skarbie? – mruknął, nie przerywając całowania i nadal poruszając biodrami.

Wzięła ostry wdech.

– Nie... wiem...

Wrażenia przepełniające jej ciało były dla niej doznaniem nowym i niepojętym, choć wcale nie przykrym.

– Nie będę przestawał, aż się dowiesz – szepnęła i ze smakiem chwycił zębami tuż nad dekoltem jej nabrzmiały biust, cały czas nieśpiesznie poruszając biodrami.

Za każdym razem Ellie czuła tę samą przyjemność i teraz sama podchwyciła rytm, przyłączyła się do niespokojnych poszukiwań, lecz czego, nie wiedziała. Stała się samym pragnieniem, nieświadoma nawet, czego tak bezgranicznie pragnie!

Wzięła w dłonie jego szerokie ramiona, ścisnęła z całych sił dla oparcia i wygięła ciało, przywierając do niego udami, oddając mu każde pchnięcie w ochrypłym jęku przemieszanych oddechów.

– Proszę! O Justinie, nie dręcz mnie już więcej...

Cierpienie w jej drżącym głosie przywróciło mu ostatnie rezerwy świadomości. Szkliste spojrzenie i wypieki na policzkach zdradziły mu, że Eleanor jest już u samego szczytu. Lecz pojmował, że na to w swojej niewinności nie mogła być gotowa.

Sama niewinność też znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie.

Potrzebował całej siły woli, by odsunąć się od niej. Poczul się jak ostatni łajdak, kiedy napotkał jej skonsternowane spojrzenie.

– Właśnie z tego powodu, moja droga Eleanor – rzekł, siląc się na niefrasobliwy ton – nie powinnaś nigdy zgodzić się na spotkanie sam na sam z takimi dżentelmenami jak hrabia Braxton.

ROZDZIAŁ ÓSMY

Ellie zamrugała, nic nie rozumiejąc, i otoczyła się ramionami, bo nagle owiał ją niespodziewany chłód. Justin odsunął się od niej, a chłód z jej skóry przeniknął w tętnice i samo serce. Z wyniosłego i pogardliwego spojrzenia wyczytała, że padła ofiarą kolejnej z lekcji Justina o tym, jak nie należy się zachowywać w towarzystwie.

Był fizycznie podniecony, ale w pełni się kontrolował i jego zachowanie w niczym nie mogło przypominać zmysłowego zatracenia się, jakiego ofiarą padła Ellie, gdy całował ją i pieścił. Nawet dowód jego podniecenia wydawał się manipulacją, która miała na celu wytknięcie jej niewiedzy o mężczyznach i łatwości, z jaką jej ciało się poddawało, gdy on pozostawał absolutnie niewzruszony jej wdziękami.

Opuściła ręce wzdłuż boków z żelazną determinacją, by nie dać po sobie poznać upokorzenia po tym, gdy poddała się umyślnie czułym pieszczotom nieprzejednanego księcia.

– I oto znowu mam powód, by ci dziękować, wasza miłość – rzekła z chłodnym uśmiechem. – Teraz będę już wiedziała, jak postąpić z dżentelmenem, który pozwoli sobie wobec mnie na podobną zuchwałość.

– Tak?

– Jak najbardziej – uśmiechnęła się cukierkowo i nagle wymierzyła mu siarczysty policzek.

– Powiedz mi, proszę – podjęła, kiedy pozbiierał się już z zaskoczenia – czy to odpowiednia kara za taką poufałość?

Patrzył na nią z podziwem, rozcierając piekącą skórę.

– Bez wątplenia – odparł wreszcie szorstko.

– Wspaniale. – Odsunęła się od drzwi, by poprawić suknię. – Chyba już najwyższy czas, żebym dołączyła do księżnej wdowy w sali balowej.

Popatrzyła znacząco na zamknięte drzwi.

Zachwyciło go jej opanowanie – choć policzek nie przestawał go palić. Kiedy go mijała, gdy przepuszczał ją we drzwiach, w swojej królewskiej pogardzie przypominała jego babkę w chwilach największego oburzenia.

Zatrzymała się jeszcze w korytarzu.

– Ufam, że nie masz już więcej dla mnie lekcji na dzisiejszy wieczór, wasza miłość? – zwróciła się do niego wyniośle.

– Nie mam – zgodził się. Doszedł do wniosku, że już dość długo zabawił na rodzinnym balu. A nawet zbyt długo, jeśli wziąć pod uwagę, że nie dalej jak pięć minut temuomalże nie kochał się z Eleanor Rosewood w bibliotece babki.

Żar nie zdążył całkiem wygasnąć, a wyniosła Eleanor wydała mu się jeszcze bardziej pociągająca, bardziej prowokacyjna, niż gdy beczelnie z niego drwiła. Nie mógł jednak i nie śmiał podjąć wyzwania, pomimo że nie całe jego ciało zgodziłoby się z tą decyzją.

Znał inne, znacznie łatwiejsze rozwiązanie swojego problemu. Wystarczyło udać się do jednego z licznych znanych mu domów dekadencji i zaspokoić potrzeby z pomocą jakiejś ładnej i chętnej kobiety z półświatka, bez jakichkolwiek innych oczekiwań żadnej ze stron. Bez komplikacji.

Stawało się bowiem jasne, że fascynacja Eleanor może okazać się dla jego życia komplikacją niesłychanie poważną.

– Royston?

Justin zwrócił się już do Stanhope'a o kapelusz i płaszcz. Zamierzał opuścić dom Roystonów po w konsekwencji przykrym incydencie z Eleanor. Zamknął na moment oczy i odwrócił się do dżentelmena, który zatrzymał go przed wyjściem.

– Richmond – poznał go. – Wybacz, nie wiedziałem nawet, że przybyłeś na bal.

– Twoja babka była łaskawa mnie zaprosić. – Starszy mężczyzna skinął głową i dołączył do Justina pod drzwiami. – Rzadko bywam, ale nie odrzuca się zaproszenia od księżnej wdowy Royston.

– Racja – przyznał Justin bardziej surowo, niż zamierzał. Jego myśli krążyły wokół niefortunnego życzenia babki odnośnie do uczestnictwa w balu Eleanor Rosewood.

– Właśnie wychodziłeś – dodał niepotrzebnie Richmond.

Justin przywołał wyraz znudzenia.

– Dość mam już gderających matron i rozchichotanych pannać jak na jeden wieczór – odrzekł ze znużonym uśmiechem. – Nawet schlebianie babce ma swoje granice.

Bryan Anderson pozostał poważny.

– Jedna z młodych dam, z którą tańczyłeś, szczególnie zwróciła moją uwagę.

– Doprawdy? – Justin często wykorzystywał to pytanie, kiedy nie był pewien, czego się spodziewać. Bo choć lubił Andersona, tańczył dziś tylko z Eleanor, a brakło mu już cierpliwości dla podstarzałych jegomościów, którzy uderzali do niej w zaloty. – Zapewne masz na myśli moją podopieczną, pannę Eleanor Rosewood.

– W istocie. – Richmond przecesał dłonią przedwcześnie posiwiąłą czuprynę. – Czy nie poczytasz mi tego za nietakt, jeśli zapytam o jej wiek?

– Poczytam – odparł bez ogródek. Eleanor była dla niego zdecydowanie za młoda.

Zaskoczony hrabia po chwili bardzo się zmieszał, gdy pojął, jak Justin musiał go zrozumieć.

– Ależ nie, Royston, panna Rosewood jest zdecydowanie za młoda, gdyby chodziło mi o żeniączkę – zapewnił pospiesznie. – Jeśli więc nie jej wiek, to zdradz mi chociaż, jak brzmi nazwisko jej matki.

– Brzmiało – poprawił go Justin. Nie umiał sobie wyobrazić, czym powodowane jest zainteresowanie hrabiego, skoro pobudki matrymonialne nie wchodziły w rachubę. Hrabia był jednak niezwykle przejęty, więc Justin miał powody przypuszczać, że zanosz się na kolejną komplikację.

– Matka Eleanor wyszła za mojego kuzyna Fredericka. O ile pamiętasz, oboje zginęli rok temu w wypadku.

Hrabia zamyślił się ponuro.

– Żona Fredericka nosiła nazwisko Rosewood?

– Chyba właśnie to powiedziałem.

– Nie miałem pojęcia... Oczywiście od lat nie udzielam się towarzysko, ale nie zdawałem sobie sprawy... – Zamilkł, kręcąc siwą głową.

– Posłuchaj, Richmond...

– Czy mógłbym ci towarzyszyć, gdziekolwiek byś szedł? – Hrabia wznosił błagalne spojrzenie. – Bardzo mi zależy, żeby pociągnąć ten temat dalej, ale to nie czas i miejsce.

Obrzucił przesywającym spojrzeniem uważnego jak zawsze Stanhope'a i skrzywił się nagle, kiedy z bawialni wypadło kilku hałaśliwych młodych dandysów, chlując szampanem z kieliszków.

Cała grupka w jednej chwili zaniemówiła, ujrawszy wyraz dezaprobaty na twarzy księcia.

– Racja, Richmond, powinniśmy poruszyć tę kwestię innym razem – zwrócił się do hrabiego. – Dziś już... jestem umówiony, więc może spotkamy się jutro? Najchętniej bym cię widział po południu.

Myślami był już w towarzystwie namiętnej i chętnej kobiety, z którą zamierzał całą noc nurzać się w rozpuście. Nad ranem zaś, już we własnym łóżku, zamierzał odespać resztę emocji tego wieczoru.

Hrabia odetchnął z westchnieniem.

– Mogę chyba zaczekać do jutra...

– A więc jesteśmy umówieni – podsumował Justin. – Może zjemy razem obiad u White'a?

– Tę sprawę wolałbym poruszyć z tobą na osobności. Co powiesz na trzecią, w twoich apartamentach?

Justin był wyraźnie zbity z tropu.

– Posłuchaj, Richmond...

– Czy Litchfield naprzykrzał ci się jeszcze? – wszedł mu w słowo hrabia.

Nawet w najlepszym nastroju Justin nie był zbyt spokojny – a mijający dzień nie mógł go dobrze nastroić. Tymczasem Richmond uznał, że najwyraźniej może się podzielić jeszcze kilkoma niejasnościami. Cierpliwość Justina była już na wyczerpaniu.

– Tak się składa, że spotkaliśmy go z Eleanor podczas przejażdżki w parku.

– Z Eleanor? Panna Rosewood była z tobą? – dopytywał się hrabia niecierpliwie.

– A jakie to ma dla ciebie znaczenie? – odciął się Justin.

– Ogromne! Albo żadne – rzekł mgliście hrabia. – Czyżby Litchfield poznał pannę Rosewood?

– Nie przedstawiłem ich sobie, jeśli o to pytasz!

Richmond odetchnął z ulgą.

– Zawsze to coś.

– A co, u licha, przejażdżka z Eleanor ma wspólnego z moim zatargiem z Litchfieldem?

– Nie będę znał odpowiedzi na to pytanie, póki nie omówimy jutro sprawy.

Wraz z cierpliwością rozwiewało się też marzenie Justina o nocy z żarliwą kochanką.

– Mówisz niezwykle zagadkowo, Richmond.

– Wybacz, nie zamierzałem. – Poblady hrabia westchnął głęboko. – Kiedy zobaczyłem pannę Rosewood... tym bardziej jako twoją podopieczną...

Przejechał nerwowo siwe włosy.

– Nie lekceważ Litchfielda, Royston. – Oczy mu błyszczały. – Jest niebezpiecznym i brutalnym przeciwnikiem. Musimy jak najszybciej pomówić.

– Dobrze więc – zgodził się Justin. – W moich pokojach przy Curzon Street, jutro, o trzeciej po południu.

– Dziękuję. – Richmond nieco się uspokoił.

Justin uniósł swą złowieszczą brew.

– Czy dajesz mi słowo, że nie będziesz próbował rozmawiać z moją podopieczną o tej sprawie, póki jej w cztery oczy nie omówimy?

– Dobry Boże, oczywiście! – Hrabia zdawał się zaszokowany sugestią. – Nigdy bym o tym z nią nie rozmawiał!

– Uwierzyłbym ci i bez tej emfazy. – Justin nie powstrzymał się od docinka. Odwrócił się, by nareszcie dać sobie narzucić na ramiona płaszcz. Nałożył też kapelusz.

– Do jutra więc – rzucił na odchodnym.

– Do jutra – odparł hrabia.

Schodząc do powozu, Justin miał nastrój ponury jak nigdy. W głowie kłębiły mu się pytania o jutrzejszą rozmowę z Richmondem. Dlaczego hrabia chciał rozmawiać z nim akurat o Eleanor? Jaka kwestia mogła być aż tak niecierpiąca zwłoki i emocjonująca? Co to wszystko miało wspólnego z Litchfieldem? Jakikolwiek temat Richmond chciał poruszyć, Justin już teraz był zaniepokojony.

Zaczynał nawet mieć wątpliwości, czy powinien był rozmowę odkładać do jutra. Uparł się na to, bo funkcja opiekuna Eleanor dość mu już napsuła krwi, choć minęły zaledwie cztery dni, odkąd przystał na zdawało się przekłętą prośbę babki. Był zdeterminowany, by nie dać jej sobie zepsuć planów na ten wieczór.

– Dokąd, wasza miłość? – zapytał stangret, otwierając przed Justinem drzwiczki książęcego powozu.

Justin wspiął się po schodkach, pochylił głowę i opadł na pluszowe siedzenie.

– Na Curzon Street – odrzekł zrezygnowanym głosem. – Wież mnie na Curzon Street, Billsbury.

Nie było już sensu, by jechał gdziekolwiek i próbował obudzić w sobie pożądanie. Rozmowa z Richmondem pozbawiła go zainteresowania podobną zabawą tego wieczoru.

Niechby szlag trafił prośbę babki i enigmatyczność Richmonda! – kłął w duchu. – Niechby cholera wzięła emocje, jakie budziła w nim Eleanor Rosewood!

– Taki piękny dzień na przejażdżkę po parku! – Ellie uśmiechnęła się, rozglądając wokoło. Jechała powozem w towarzystwie Edith St. Just o modnej porze między piątą a szóstą po południu. – To takie miłe, że tylu wczorajszych gości odwiedziło cię, żeby złożyć wyrazy uszanowania i wdzięczności za wspaniały wieczór!

– Ja bym się raczej dziwiła, gdyby się nie pojawili. – Księżna skinęła głową kolejnej grupce dam w mijanym powozie. – Lord Endicott musiał się bawić szczególnie wyśmienicie, jeśliby sądzić po entuzjazmie, jaki dzisiaj zdradzał.

Ellie zapiekły policzki, ale zauważyła psotny błysk w oczach księżnej wdowy i odetchnęła z ulgą, po czym się roześmiała.

– Nie mógł się nachwalić twojej gościnności – przypomniała. Lord Endicott, który zjawił się zaledwie kilka minut przed ich wyjściem, bez końca sypał komplementami pod adresem Ellie.

– Nie mógł się nachwalić twojego charme’u, dziecko – odparła Edith. – Nie on jeden. Kiedy weszłam do salonu, zdawało mi się, że przez pomyłkę trafiłam do kwaciarni.

Ellie zarumieniła się mocniej, z czym było jej do twarzy w kanarkowym czepku z bursztynową wstążką, kanarkowej sukni z wysokim stanem i bursztynową szarfą pod biustem.

– Nigdy nie widziałam tylu kwiatów naraz, a wasza miłość?

Oczy Edith zdradzały rozbawienie.

– Może w młodości, raz czy dwa, ale na pewno nie aż tyle.

Ellie poznała, że księżna się z nią droczy.

– Jestem tego pewna – odrzekła. – Tylko że ja nigdy dotąd nie dostałam od żadnego dżentelmena choćby bukietu polnych kwiatów, a co dopiero mówić o tylu pięknych kompozycjach...

Prywatny salon księżnej wdowy tonął w kwiatach, które zaczęły przybywać bukietami nazajutrz po balu Roystonów. Jakies pół tuzina przysłały księżnej inne szacowne matrony w wyrazie uznania za udany bal, lecz pozostały tuzin był dla samej Ellie.

Przy czym książę Royston nie podarował jej nawet jednej stokrotki. Miała wrażenie, że wyniosły arystokrata nie niżyłby się nigdy do takiego ckliwego banału, jak posłanie kobiecie kwiatów – nawet gdy chodziło o uczczenie wejścia do towarzystwa jego własnej podopiecznej.

– Nie mówiłam poważnie, dziecko. – Edith uśmiechnęła się pokrzepiająco. – Bardzo się

cieszę z twojego sukcesu.

Ellie odpowiedziała uśmiechem.

– Nie czujesz się zmęczona po balu? – zapytała księżną. Doktor Franklyn znowu odwiedził Edith, ale i tym razem jej dama do towarzystwa została wyproszona z pokoju. Chociaż księżna nie sprawiała wrażenia wyczerpanej, kiedy jadły wspólnie lunch, Ellie sama wpadła na pomysł spędzenia popołudnia w parku.

Pomimo wcześniejszych wydarzeń dotrzymała też obietnicy i poinformowała Justina o wizycie doktora Franklina.

– Nie bardziej niż zwykle – odrzekła Edith.

– Myślisz, że wnuk odwiedzi cię dzisiaj? – zapytała Ellie bardzo naturalnie, w świetle okoliczności ich rozstania poprzedniego wieczoru.

Nie żałowała, że spoliczkowała impertynenta, bo zasłużył sobie na to. Pomijając jej własne uczucia, Justin St. Just działał jej na nerwy bez wątpienia najbardziej ze wszystkich dżentelmenów, jakich w życiu spotkała. W niczym nie przypominał czarujących fircyków, którzy roili się wokół niej, kiedy zabrakło na balu jej opiekuna.

Ona sama nie potrafiła jasno określić swoich uczuć, kiedy dowiedziała się, że zniknął. Po części odczuła ulgę, że nie napotka ponurego spojrzenia za każdym razem, kiedy popatrzy w jego kierunku. Z drugiej jednak strony resztę wieczoru spędziła w mdłym poczuciu odgrywania roli, jakiej po niej oczekiwano: czarującej i pogodnej panny Eleanor Rosewood, podopiecznej księcia Royston i protegowanej księżnej wdowy.

W pewnym stopniu ten konflikt emocji wytrącał ją z równowagi. Chowiała do Justina ogromną urazę za jego słowa. Złościła się na drwiny. Pomimo tego, kiedy opuścił dom, a nawet gdy wychodził z sali balowej, czuła, że wieczór traci dla niej sens. A przecież nie wiedziała nawet, jaki bal miałyby mieć inny sens oprócz tańca i flirtu, w których po jego odejściu całkiem się zatraciła.

Nawet kiedy wyszli ostatni goście, nie poczuła się lepiej. Umknęła na górę do swojej sypialni, ale poduszki okazały się wyjątkowo niewygodne, a w pościeli było jej za gorąco, to znowu zbyt zimno. Nie mogła zasnąć, więc nie udało się jej też odpędzić wspomnień chwil spędzonych razem z Justinem w bibliotece.

W głębi serca musiała przed samą sobą przyznać, że było to najbardziej podniecające i nieokielznane zmysłowo doświadczenie jej życia. Lecz ponieważ tylko z Justinem dzieliła dotąd takie przeżycie, nie uznawała tego za dowód głębszego uczucia.

Ta myśl przyniosła jej pewien spokój. Nie porównała go z innym mężczyzną, zatem jej reakcja mogła się okazać całkiem zwyczajna. Być może z każdym dżentelmenem jej nogi zmieniałyby się w watę, serce biłoby jak szalone, piersi mrowiły i czułaby ciepłą wilgoć pomiędzy udami? Miała nadzieję, że tak właśnie by było, pomyślała.

– Royston raczej się nie pofatyguje – odparła księżna wdowa bez emocji. – Na pewno udał się gdzieś zeszłej nocy i dopiero nad ranem trafił do własnej sypialni.

Ellie wiedziała, że Justin od początku niechętnie się odnosił do swojej obecności na balu. Mogła więc przypuszczać, że ruszył później na poszukiwanie rozrywek bardziej odpowiadających jego wybrednym zmysłom. Tym bardziej że podobne podejrzenia zastrzeżenia zasłyszała przy niejednej rozmowie na balu, kiedy wyszedł.

– Znając mojego wnuka...

– Miłego popołudnia, szanowne panie!

Ellie już po sztywnej postawie i urażonej minie Edith poznała, że pozdrowił je ktoś, kogo księżna nie uznawała nawet za pełnoprawnego członka towarzystwa, nie mówiąc o podobnym statusie społecznym. Jeden rzut oka wystarczył, żeby pojąć dlaczego.

Lord Dryden Litchfield zdawał się nie zauważać dezaprobaty księżnej wdowy ani poważnej miny Ellie. Uniósł uprzejmie kapelusz.

– Wasza miłość. Panno Rosewood – dodał najśłodszym tonem. – Jakże się cieszę, że tak prędko znowu panią widzę.

Nie miała pojęcia, jak się zachować w obliczu takiej śmiałości. Nie czuła sympatii do tego mężczyzny i dobrze wiedziała, że zarówno księżę, jak i księżna wdowa go nie cenili, ale lekceważenie lorda byłoby z jej strony zapewne grubym nietaktem.

– Nie sądziłam, że poznałeś już podopieczną mojego wnuka, lordzie Litchfield – wybawiła ją z kłopotu księżna. Przeszyła Litchfielda wzrokiem jak sople lodu.

Dryden Litchfield ukazał w uśmiechu poczerwiałe zęby.

– Royston przedstawił nas sobie wczoraj.

Ellie stłumiła okrzyk, słysząc tak bezczelne kłamstwo. Miała wrażenie, że księżę dołożył wszelkich wysiłków, żeby uniknąć poznania jej z tym łotrem. Zgodnie z towarzyskimi zasadami bez takiego wstępu lord Litchfield nie miał prawa nawet odezwać się do niej.

– Istotnie? – Księżna popatrzyła na Ellie z uwagą i namysłem, po czym odparła: – Proszę o wybaczenie, lordzie Litchfield, ale obawiam się, że musimy się z panną Rosewood oddalić. Mamy umówione spotkanie.

Skinęła głową, pozwalając mu odejść.

– Ależ oczywiście – rzekł z jawnie udawaną grzecnością. – Być może będzie mi wolno odwiedzić pannę Rosewood w Royston House?

Ellie jęknęła przerażona, a Edith ściągnęła usta na tak rażący nietakt.

– Uważam... – chciała zaprotestować.

– Terminarz panny Rosewood jest pełen przynajmniej do końca przyszłego tygodnia – wciął się ostry ton znajomego wszystkim głosu. Justin podjechał właśnie i wziął na siebie cały ciężar odmowy.

Ellie popatrzyła na niego i zaraz skuliła się w sobie, gdy omiótł ją pogardliwym spojrzeniem, nim zwrócił się znowu do Litchfielda.

– Zatem może w kolejnym tygodniu? – nalegał prowokacyjnie lord.

– Wtedy też nie – odparł zimno księżę. – Wybacz, ale już czas, żebyśmy wracali do Royston House.

– Ależ oczywiście. Drogie panie! – Lord Litchfield uchylił znowu kapelusza w karykaturze uprzejmości i zawrócił konia, oddalając się nieśpiesznym stępem.

– Cóż za niezwykle okropny człowiek – mruknęła Edith z niesmakiem.

– Istotnie – zgodził się z nią wnuk.

– Dzięki niebiosom, żeś się zjawił, Royston.

– Bez wątpienia zgromiłabyś natręta i bez mojej pomocy, babciu – odparł z uśmieszkiem. – Jak tylko opanowałabyś oburzenie, że w ogóle śmiał się do ciebie odezwać.

– Bez wątpienia. Ale i tak dziękuję ci za interwencję, Royston – odrzekła księżna.

– Być może twoja wdzięczność należy się Stanhope'owi. Zajrzałem wcześniej do Royston House – wyjaśnił – i to on mi wskazał, dokąd się udałyście.

– Nie mogę pojąć, co też sobie Litchfield wyobrażał, nachodząc nas podczas przejażdżki.

– Edith prychnęła pogardliwie.

– Może chciał się znowu widzieć z panną Rosewood?

Księżna rzuciła wnukowi ostre spojrzenie.

– Chyba nie sugerujesz, Royston, że Ellie zachęcałaby tak ohydnygo człowieka do odwiedzin?

Ellie sama się nad tym zastanawiała. Zmagała się z podejrzeniem, że Justin tak właśnie

uważa. Jeden rzut oka spod opuszczonych rzęs ukazał jej postać księcia o zimnym wejrzeniu i zaciśniętych wargach, zgrzytającego zębami. Nie pozostawiał złudzeń co do swojego stanu. Był w furii.

Odpowiedzi wymagało jeszcze jedno ważne dla Ellie pytanie: czy kierował gniew przeciwko niej, a jeśli tak, to czym mu zawiniła.

Powrót do Royston House przebiegł w milczeniu. Wściekłość księcia przez całą drogę nie zmaląła. Jechał obok powozu na swoim wspaniałym karym ogierze i piorunował spojrzeniem każdego, kto mógłby próbować się zbliżyć. Na szczęście nikt się nie ośmielił.

Ellie nie rozumiała, dlaczego bierze gniew Justina tak bardzo do siebie. Choć mógł on podejrzewać, co mu się żywnie podobało – nie zrobiła nic, żeby rozzuchwalić lorda Litchfielda.

Pomimo tego miała wrażenie, że cały wulkan emocji kryjących się za kamienną fasadą księcia jest wymierzony w nią; a była tam irytacja, gniew i z niewiadomego powodu uraza.

Dlaczego on miałby czuć się urażony? – złościła się. To uczucie należało się jej, bo to ona została ośmieszona ostatniego wieczoru, gdy poddała się władzy tego niezdolnego mężczyzny. Miała wszelkie prawo czuć się urażona!

Justin wręczył Stanhope'owi kapelusz i płaszcz. Wiedział, że gdyby nie towarzystwo dwóch dam, byłby się nie powstrzymał przed publicznym skandalem i walnął Drydena Litchfielda w nalany od pijaństwa nos.

Ale oczywiście gdyby nie ich obecność, a Eleanor w szczególności, do konfrontacji najpewniej w ogóle by nie doszło.

Pomimo tego ostateczne starcie pozostawało kwestią czasu. Po rewelacjach, jakimi podzielił się z nim tego popołudnia Richmond, Justin wyczekiwał tego dnia z utęsknieniem.

Na ten czas jednak zamierzał zająć się przede wszystkim opieką nad niczego nieświadomą Eleanor.

- Może wypijemy razem herbatę w twoim salonie, babciu?
- Herbatę, Royston? – Edith St. Just była wstrząśnięta przejawem oglady u swojego wnuka. – Nigdy cię nie miałam za amatora herbaty, kochanie.
- Zatem brandy – zgodził się cierpko.
- Zajmij się tym, Stanhope, z łaski swojej – poleciła Edith, wchodząc po schodach.
- W tej chwili, wasza miłość. – Kamerdyner skierował się do pomieszczeń służby, tym samym tylko Justin i Eleanor zostali w holu.

Księżę doskonale zdawał sobie sprawę, że po raz pierwszy od pamiętnego zeszłego wieczoru są ze sobą sam na sam. Lecz zdawało się, że minęły całe dni, tak wiele się od tamtej pory zmieniło.

Zazwyczaj Justin spał jak niemowlę, lecz ostatniej nocy sen bardzo długo do niego nie przychodził. Oczywiście frustracja niezaspokojenia też dawała o sobie znać, ale przede wszystkim był na siebie wściekły, że znowu pocałował Eleanor. Zamartwiał się też, czym chciał się z nim podzielić Richmond.

Nigdy jednak nie odgadłby ani nie mógł sobie wyobrazić całej grozy relacji, jaką zdał mu hrabia.

Chmurzył się, patrząc na jej pochyloną, niewinną główkę. Jeśli podejrzenia Richmonda okazałyby się słuszne, nie wiedział, czy znalazłby sposób, aby przekazać jej prawdę, nie dusząc zarazem tak podziwianego charakteru i nie druzgocząc na zawsze niepewnego statusu Eleanor.

Eleanor na pewno nie przejęłaby się zbyt utratą towarzystwa, które dopiero co zagościło w jej życiu. Justin nie mógł jednak znieść myśli, że utraciłaby niezależność, a żywy błysk jej spojrzenia, który poznał podczas licznych utarczek słownych, gasłby stopniowo.

Postanowił na razie nic nie mówić. Zamierzał dowiedzieć się więcej, przynajmniej

poczynić pierwsze kroki w celu potwierdzenia lub rozwiania obaw Richmonda, nim choćby napomknąłby jej o tej kwestii. Obawy te, które podsyciała niepewność babki, musiał bowiem Justin brać śmiertelnie poważnie.

Która szanująca się młoda kobieta, szczególnie piękna i debiutująca, chciałaby bowiem nieść brzemie wiedzy, że jej ojcem, prawdziwym ojcem, może okazać się nie kto inny, tylko lord Dryden Litchfield, łajdak i szuler, którego całe szanujące się towarzystwo unikało?

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Ellie była boleśnie świadoma, jak wspaniale prezentuje się stojący przy niej Justin, ubrany w szafirową kamizelkę, płowe bryczesy i brązowe jeździeckie buty. Narastająca między nimi cisza zmusiła ją do nawiązania jakiegokolwiek rozmowy.

Odwróciła się do niego. Żeby popatrzeć mu w oczy, musiała wysoko zadrzeć głowę.

– Ależ ty jesteś niewiarygodnie wysoki! – wyrwało się jej.

Zaskoczony otworzył na moment szerzej oczy, a po chwili wykrzywił usta w niewesołym uśmiechu.

– A ty, smarkulo, jesteś niewiarygodnie opryskliwa. Nie umiesz się odezwać do dżentelmena jak przystało na dobrze wychowaną pannę?

– Być może za często przebywam w twoim towarzystwie – odcięła się.

– Możliwe – przyznał. – Pozwolisz?

Zaoferował jej ramię.

– Chyba że wolisz, aby moja babka się po nas osobiście pofatygowała – dodał. – Co niechybnie nastąpi, jeśli się zaraz nie zjawimy w jej salonie.

Ellie nie chciała angażować księżnej wdowy w sprzeczki, które wybuchały między nimi przy lada okazji. Jej wahanie miało zupełnie inne podłoże. Teraz, kiedy poznała Justina znacznie lepiej, niż przystało, wołała już unikać wszelkiego dotyku. Gdyby poczuła jego ciepło pod swoimi palcami, znajomy zapach wody kolońskiej i męskiego ciała, mogłaby się nie oprzeć pokusie następnego pocałunku. Zbyt go pragnęła, chciała, żeby jej dotykał i znowu ją kochał.

Wyprostowała się nagle, by powstrzymać zalew emocji, i rozmyślnie położyła dłoń pod książęcym ramieniem.

– Za nic w świecie nie chciałabym sprawiać księżnej takiego kłopotu.

– A jak się dziś babka miewa, w twojej opinii? – zapytał, gdy wchodzili po schodach na górę.

– Chcesz znać moją opinię? – zdumiała się Ellie.

Skinął głową.

– Otrzymałem od ciebie wiadomość o porannej wizycie doktora Franklina. A że on sam woli zachować swoją zawodową opinię dla siebie... – Justin skrzywił się z dezaprobatą – ...nie mam innego wyboru, jak zasięgnąć opinii tej osoby, która przebywa z babką najczęściej.

W natłoku wrażeń z kwiatami, które otrzymywała od rana, w czasie przejażdżki po parku i przykrego spotkania z lordem Litchfieldem oraz odkąd nieoczekiwanie zjawił się Justin, Ellie całkiem zapomniała o wiadomości, którą księciu posłała.

Musiała się przyznać do niechętnego podziwu dla doktora, który z tak nieustępliwym przekonaniem bronił prywatności swojej pacjentki, pomimo oczywistej irytacji groźnego księcia.

Uśmiechnęła się powściągliwie.

– Uważam, że miewa się dobrze, zważywszy na to, że przez cały wieczór przyjmowała gości oraz tak późno położyła się spać – odrzekła Ellie. – Może wizyta doktora Franklina miała charakter kontrolny i nie była koniecznością?

– Być może.

W uszach Ellie nie zabrzmiało to, jakby był przekonany.

– Księżna zamówiła śniadanie do swoich pokojów, co zdarzało się rzadko. Tymczasem lunch zjadłyśmy jak zwykle razem. Co więcej, to ona wysunęła propozycję wspólnej przejażdżki.

Justin spoważniał na wspomnienie, kogo jeszcze zastał w parku, kiedy w końcu odnalazł

babkę i Eleanor.

– O ile pamiętam ostrzegałem cię o niestosowności spoufalania się z lordem Litchfieldem.

– Ostrzegałeś.

– A więc? – zawiesił głos.

Ellie aż się zarumieniła ze złości. Zatrzymała się przed drzwiami do pokoiów księżnej.

– A więc, o ile mnie pamięć nie myli, twoja babka wyjaśniła ci już, że lord Litchfield uznał za stosowne narzucić się nam pomimo braku jakiegokolwiek zachęty ze strony którejkolwiek z nas!

– Nie potrafię wyrazić, jak bardzo mi zależy, abyś unikała towarzystwa tego mężczyzny – rzekł spokojnie, ale jego oczy ciskały gromy.

– A ja nie potrafię wyrazić, jak bardzo nie podoba mi się już druga z kolei aluzja, że dałam temu straszному człowiekowi pretekst, żeby do nas podszedł – odparła z równą złością.

Justin powstrzymał się od ciętej riposty i wziął głęboki wdech dla uspokojenia nerwów. Wiedział, że gniew jest wyrazem lęku, obawy o jej bezpieczeństwo i przyszłość.

Litchfield zaczynał powoli nabierać cech nemezis Justina. Pojawiał się złowrogo wszędzie tam, gdzie książę. A po tym, czego się o nim dowiedział, Justin chciał za wszelką cenę uniemożliwić, by choćby zbliżył się do Eleanor. A także tego, żeby Eleanor zbliżyła się do niego.

Zmusił się do przybrania bardziej rozluźnionej postawy.

– Mam wrażenie, że za wszelką cenę starasz się mnie źle rozumieć – zauważył.

– Jesteście wreszcie? Royston, Eleanor! – zawołała niecierpliwie babka zza drzwi, słysząc ich głosy.

Justin przełknął własne zniecierpliwienie i zniżył głos, by tylko Ellie mogła go słyszeć.

– Wrócimy do tego tematu! – syknął.

– Śmiem wątpić, wasza miłość – odcięła się. Nie czekając, aż otworzy przed nią drzwi, sama chwyciła klamkę i weszła do środka.

– W co wątpisz, kochanie? – zapytała księżna, której słuch wyjątkowo dopisał.

Justin poszedł w ślady Eleanor.

– Jestem tego pewien... Tu jest naprawdę jak w kwaciarni – zmienił płynnie temat Justin.

W salonie panował obezwładniający zapach, a widok był oszałamiający: wazony z wielkimi bukietami zajmowały niemal każdy skrawek powierzchni. – Nie wiem, jak tu możesz oddychać, babciu!

Przeszedł przez pokój i otworzył szeroko okno.

– Nowy wystrój zawdzięczamy pewnie twojemu wczorajszemu sukcesowi? – rzucił Eleanor surowe spojrzenie.

– Royston! – upomniała go ostro Edith.

– Oznajmiłem chyba rzecz oczywistą – nie rezygnował książę.

– Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla dręczenia Ellie. – Księżna podniosła się, podeszła do Eleanor i położyła jej uspokajająco rękę na ramieniu.

– Na pewno Royston nie chciał ci dopiec – dodała łagodnie, widząc, że Ellie bliska jest łez.

Przeciwnie – zdał sobie sprawę Justin, czując do siebie wstręt. Właśnie to chciał osiągnąć. Zrozumiał też, że przyczyny należało szukać właśnie w dowodach jej wczorajszego powodzenia, które wywoływały u niego niezrozumiałą zupełnie złość. Na dokładkę uprzytomnił sobie, że nawet mu do głowy nie przyszło samemu posłać bukiet.

Dlaczego jednak był tym zaniepokojony? Wszak inne kobiety, z którymi poczynił sobie dowolnie długo i śmiało, nie otrzymywały od niego kwiatów. Zdarzało mu się podarować na rozstanie upominek w postaci cennej biżuterii, ale nigdy bukiet. Kwiaty uważał za podarunek

bardziej osobisty, dyktowany uczuciem, przeciwnie do bibelotów cieszących oko, ale ocenianych bardziej wartością rynkową.

A Eleanor otrzymała dziesiątki dowodów admiracji, zapewne od każdego kawalera z otaczającego ją tłumu chłystków!

Wciąż jednak Justin nie rozumiał, dlaczego miałyby go to dotyczyć. Skoro każdy z tych idiotów chce się wygłupiać z powodu nowej twarzyczki w towarzystwie, nie było to jego zmartwienie.

Stał samotnie, wyprostowany i dumny.

– Zaskoczył mnie jedynie...

– ...tak ostentacyjny pokaz – dokończyła za niego Ellie. Wyprostowała się, rezygnując z dobrodusznego wsparcia księżnej, i uniosła dumnie czoło. Łzy w jej oczach nagle przeistoczyły się w iskry gniewu, gdy patrzyła na księcia. – Wybaczcie mi, proszę, ale muszę się przygotować do kolacji.

Ukloniła się oszczędnie i opuściła pośpiesznie salon, szeleszcząc halkami.

– Wytłumacz mi się natychmiast, Royston! – zażądała babka.

Justin zacisnął na moment powieki i popatrzył w jej stronę z głębokim westchnieniem.

– Życzysz sobie pewnie, żebym wyszedł za nią i przeprosił za prostackie zachowanie?

– Tylko, jeśli masz takie życzenie – odrzekła.

Czy mógł sobie na to pozwolić? Postawić się w sytuacji, w której mierzyłby się z pokusą pocałowania jej znowu, kochania się z nią?

– Najwyraźniej nie – zawyrokowała babka surowo na jego milczenie. – A oto i Stanhope.

Z ciepłym uśmiechem powitała kamerdynera, który przyniósł serwis z herbatą oraz brandy i kieliszek dla Justina.

– Zanieś, proszę, jedną pannie Rosewood, do jej pokoju.

Nachyliła się, żeby napełnić dwie porcelanowe filiżanki naparem z imbryka.

Justin toczył ze sobą w milczeniu wewnętrzną walkę. Wiedział, że zachował się karygodnie wobec Eleanor i był jej winien co najmniej przeprosiny, jeśli nie wyjaśnienie. Nie chciał jednak przyznać się przed nikim, nawet przed sobą samym, co do natury uczucia, jakie zawładnęło nim na widok tych wszystkich kwiatów, na widok dowodu uwielbienia ze strony tak wielu mężczyzn.

Ogarnęła go bowiem zazdrość.

Cóż za nieznośny, okrutny i pozbawiony serca mężczyzna! Arogancki, nienawistny człowiek!

Ellie naprawdę go w tej chwili nienawdziła. Nienawdziła jego cynizmu, sarkazmu, drwin i wyniosłości.

– Przyniosłem ci filiżankę herbaty – dobiegły ją słowa.

Odwróciła się energicznie na łóżku i ujrzała we drzwiach Justina. Była zaczerwieniona na twarzy i miała napuchnięte oczy od łez, które płynęły nieprzerwanie, odkąd przestąpiła próg swojej sypialni.

Były to łzy urazy i bezsilnej złości na jego bezpodstawne oskarżenia; łzy upokorzenia z powodu kwiatów, które przyniosły jej wcześniej tyle radości.

Łzy, o których Justin miał się nigdy nie dowiedzieć!

Usiadła na posłaniu i próbowała ukryć ich ślady, ocierając oczy koronkową chusteczką.

– Jesteś pewien, że powinienes tu być?

W odpowiedzi postąpił krok do środka.

– Przyniosłem ci filiżankę herbaty – powtórzył. – Chętnie ci ją podam, jeśli tylko obiecasz nie rzucić nią we mnie natychmiast, kiedy ją dostaniesz.

Ellie schowała chusteczkę z powrotem do kieszeni.

– Jesteś bardzo okrutnym człowiekiem.

– Tak.

– Nieznośnym człowiekiem.

– Tak.

Zmarszczyła brwi.

– Nawet nienawistnym.

– Tak.

Zamrugła, zaskoczona jego pokorą.

– Dlaczego się nie bronisz?

Westchnął ciężko.

– Może dlatego, że tym razem masz rację. Jestem właśnie taki, jak powiedziałaś.

Obserwowała go ostrożnie, szukając oznak sarkazmu czy cynizmu, o które oskarżała go w duchu zaledwie chwilę temu. Odpowiedział jej spokojnym spojrzeniem, nie ironicznym, a jedynie zrezygnowanym.

– Nie rozumiem...

– Po prostu się z tobą zgadzam, Eleanor.

Podszedł do niej z wolna z filiżanką na spodku, które w jego smukłych dłoniach wyglądały absurdalnie i nie na swoim miejscu.

Wzięła od niego herbatę.

– Tego właśnie nie rozumiem.

Popatrzył na nią spod półprzymkniętych powiek i wzruszył szerokimi ramionami.

– Nie mam żadnej obrony, skoro jestem dokładnie taki, jak mówisz.

– I tak brzmią twoje przeprosiny za to nieznośne zachowanie?

– Nie – odparł z niewesołym uśmiechem.

– Bo nie przychodzisz z przeprosinami, tylko z herbatą – zrozumiała.

– Czy herbata nie jest lekarstwem na wszystkie zgryzoty? – zapytał, gdy wzięła kilka małych łyżek gorącego naparu.

– Przeprosiny bardziej by mi smakowały.

– Doprawdy? – zapytał niejasno.

Gdzie się podziała cała złość na niego? – pytała siebie w duchu, sącząc herbatę. Musiała przyznać, że nie chciało się jej już płakać. Miała ochotę się raczej uśmiechnąć, a nawet roześmiać na widok chłopięcego wstydu na twarzy, którą dotąd zawsze postrzegала jako uosobienie arogancji. Było to tym bardziej nierozsądne, że zaledwie przed paroma minutami jego sarkazm sprawił jej wiele cierpienia.

Pomijając jednak ten idiotyczny wyraz, Ellie szczerze wątpiła, że Justin choć raz w całym swoim życiu przyniósł kobiecie herbatę. To, że zrobił to teraz, samo w sobie stanowiło przeprosiny. Może nie uniżonym, teatralnym gestem, jakiego mogłaby się spodziewać po kimś innym. Ale ze strony aroganckiego księcia był to gest równie wyraźny, jak błaganie o przebaczenie na kolanach.

Postawiła pustą filiżankę na stoliku nocnym.

– Dziękuję. Już mi trochę lepiej.

– Świetnie – odparł i usiadł obok niej na łóżku, biorąc w ręce jej drobną dłoń. – Szczerze żałuję swojego karygodnego zachowania, Eleanor.

Już sam jego dotyk wystarczył, żeby ją zaniepokoić. Teraz patrzyła na niego całkiem oszołomiona.

– Naprawdę?

Przytaknął.

– Zachowałem się jak prostak, łagodnie mówiąc. Byłem zdenerwowany, widząc Litchfielda przy powozie mojej babki. Przyznaję, że nie powinienem czynić ci żadnych wymówek.

Odkąd usiadł obok Ellie, jej serce biło jak szalone. Czowała rumieńce na policzkach, oddychała płytko i była przekonana, że Justin wyczuwa drżenie ręki.

– Chyba nie powinieneś tu zbyt długo bawić. Księżna wdowa...

– ...zaledwie przed chwilą wyjaśniła mi, że uważa mnie za twojego wuja i nikogo więcej, co pozwala mi sądzić, że nie miałyby nic przeciwko – odparł sucho, a miał przy tym wyraz takiej odrazy, że znowu miała ochotę się roześmiać. A przecież zaledwie chwilę temu myślała, że już nigdy więcej się nie roześmieje!

Próbowała najpierw powstrzymać uśmiech, po chwili jednak nawet musiała tłumić śmiech. Justin był na to całkiem nieprzygotowany.

– Nie pojmuję, co cię tak bawi.

– Może to, że... – Przerwała i pokręciła głową, opanowując śmiech. – ...że dobroduszość wobec jakiegokolwiek młodej kobiety wydaje się w twoim wykonaniu absurdalna.

– Całkowicie się z tobą zgadzam – odparł surowo.

Jej oczy nie przestawały się uśmiechać.

– Twoja reputacja rozpustnika byłaby w towarzystwie na zawsze zrujnowana, gdyby ktokolwiek się o tym dowiedział!

Znieruchomiał.

– Mam w towarzystwie opinię rozpustnika?

– O, tak! – pokiwała gorliwie głową.

– A czy ty też tak o mnie myślisz? – Patrzył na nią wilkiem. – Uważasz, że dniami i nocami nic innego nie robię, tylko szukam okazji, żeby spółkować z każdą napotkaną młodą panną?

– No, może nie nic innego... – przyznała psotnie. – Musisz znajdować też trochę czasu na wywiązywanie się z książęcych obowiązków. I doszły mi wczoraj na balu słuchy, że nie wszystkie te kobiety były takie znowu młode. I nie wszystkie były pannami...

– Oskarża się mnie już o uwodzenie mężatek?

Zdziwiła się jego wybuchowi.

– Wydajesz się zaskoczony, że twoje romanse są tak szeroko dyskutowane.

– Jestem zaskoczony, że musiałaś słuchać podobnych banialuk! – Puścił jej rękę i wstał wzburzony. – Kto miał czelność rzucać te obelgi?

– Nie jestem pewna, że sobie dobrze przypominam... – odparła ostrożnie.

– Spróbuj! – uciął niecierpliwie.

Ellie pokręciła głową.

– Nie mówiono do mnie, ja tylko zasłyszałam, jak parę osób zastanawiało się, która jest twoją obecną kochanką i komu ostatniej nocy przyprowałeś rogi...

– Wierz mi... – Justin podniósł głos i umilkł. Znowu ogarnęła go wściekłość. Dotąd nie dbał o opinię towarzystwa, ale owe oskarżenia zupełnie inaczej zabrzmiały w ustach Eleanor. – Chcę, żebyś wiedziała, że bardzo szanuję małżeństwo i nigdy nie starałem się uwieść żadnej zamężnej kobiety. Ani też nie mam żadnej „obecnej kochanki”.

Ellie widziała wyraźnie, że powtarzając te plotki, jakimś cudem poruszyła czułą strunę duszy Justina.

– Nie chciałam cię w niczym urazić, wasza miłość – rzekła pojednawczo.

– A ja nie czuję się w niczym urażony – odparł.

– Odniosłam inne wrażenie.

Jego rysy złagodniały.

– Nie czuję się osobiście dotknięty tym, co ty osobiście o mnie powiedziałaś. Jestem wściekły na tych, którzy najwyraźniej nie mają nic innego do roboty jak rozpowszechniać haniebne i niczym nieoparte plotki!

Ostatnie słowa wypowiedział bardzo szorstko.

Naraz Ellie uświadomiła sobie, że Justin był szczerze wyprowadzony z równowagi niepochlebłą opinią, jaką miało o nim towarzystwo.

A wysłuchiwanie tych pogłosek było również dla Ellie wyjątkowo bolesne. Podejrzenie, że po intymnym spotkaniu w bibliotece Justin opuścił bal i udał się do swojej kochanki, długo nie pozwalało jej zasnąć.

Teraz zaś Justin zaciekle się bronił przed tymi oskarżeniami. Ellie przeszło przez myśl, że może nawet zbyt zaciekle.

Trudno jej było mimo wszystko uwierzyć tej myśli. Justin bywał taki, jakim go niedawno opisała – czasami okrutny, nieznośny i nienawistny – ale zarazem był szczerzy i prawdomówny. Po prawdzie właśnie jego szczerota i bezpośredniość odpowiadały za inne, już znacznie mniej pozytywne przymioty.

Jeśli więc powiedział, że nie ma obecnie żadnej kochanki, zamężnej czy nie, Ellie musiała mu uwierzyć.

Kiedy podjęła tę decyzję, z jej serca spadł ogromny ciężar. I dopiero kiedy odczuła ulgę, uświadomiła sobie, że go dźwigała. Zarazem wróciło do niej pytanie o uczucia, jakie żywiła do tego wyniosłego księcia. A kiedy je sobie zadała, zrozumiała, że lęka się odpowiedzi.

Podniosła się z łóżka.

– Jestem przekonana, że księżna wdowa była niezmiernie łaskawa, ale może już czas, abyś dotrzymał jej towarzystwa? – Złożyła przed sobą ręce. – Naprawdę muszę się przebrać, nim nadejdzie pora obiadu.

– Nie powiedziałaś jeszcze, czy mi wierzysz.

Wzruszyła ramionami.

– A czy ma to jakiegokolwiek znaczenie?

Justin zmrużył oczy, widząc w oczach i dumnej postawie Eleanor rzucone mu wyzwanie.

Natychmiast zmienił podejście. Uznał, że dotychczasowa obronna postawa była chybnym pomysłem i nie powinien się zbyt przejmować zdaniem młodej podopiecznej.

– Najmniejszego – odparł.

– Tak myślałam. – Ellie spuściła wzrok.

Justin uklonił się krótko i skierował do drzwi.

– Do zobaczenia przy kolacji.

– Słucham?

Justin znieruchomiał z ręką na klamce.

– Powiedziałem, że zobaczymy się przy kolacji – powtórzył.

Ellie zamrugła nieprzytomnie.

– Nie miałam pojęcia, że jej miłość zaprosiła cię na kolację.

Uśmiechnął się.

– Oczywiście. Nie było cię przy dalszej części mojej rozmowy z babką. – Justin skrzyżował ramiona. – Inaczej wiedziałabyś, że będę wieształ tu w przyszłości praktycznie codziennie. Jak również jadał śniadania, o ile podniosę się na tyle wcześnie. Mogę być nieobecny podczas obiadu, bo, jak sama zauważyłaś, mam też pewne książęce obowiązki.

– Nie rozumiem... – Ellie prawie zaniemówiła.

Uśmiechnął się szerzej.

– To naprawdę proste, Eleanor. Po latach ciągłego zrządzenia... chciałem powiedzieć: niezwykle pomocnych sugestii ze strony mojej babki... postanowiłem wprowadzić się ponownie do rodowej siedziby. Zgodnie z tą decyzją moja osoba, moja służba oraz osobiste rzeczy jutrzejszego ranka na stałe przybędą do Royston House.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

– Tak cię dziwi moja decyzja, Eleanor? – zapytał Justin, bo od dłuższej chwili Ellie wpatrywała się w niego bez słowa z szeroko otwartymi oczami i ustami. – Przecież sama poinformowałaś mnie dziś rano o kolejnej wizycie doktora Franklina.

To akurat była prawda, lecz Ellie nigdy by nie przypuszczała, że doprowadzi w ten sposób do jego przeprowadzki!

Bez wątpienia księżna wdowa nie posiadała się z radości, ale perspektywa znoszenia towarzystwa nieznośnego księcia całymi dniami była dla Ellie zupełnie nie do pomyślenia.

Poczuła nagłą suchość w ustach.

– Tak, to prawda, ale nie miałam zamiaru... nie sądziłam...

– ...że z tego powodu będziesz musiała znosić mieszkanie ze mną pod jednym dachem? – podsunął sarkastycznie.

Nie było sensu zaprzeczać, bo jeszcze przed momentem wlepiała w niego wzrok jak durne dziewczątko, ze skrajnym przerażeniem malującym się na twarzy.

– Czy nie jest to w oczach księżnej niezwykły obrót wydarzeń, skoro całymi latami nie dawałaś się przekonać jej naleganiom?

Księżę spojrzał na nią lekceważąco.

– Moja babka nie nalega. Wyraża sugestie albo instruuje. Nie pojmuję, dlaczego moja decyzja aż tak cię zdumiewa.

Ellie przygryzła dolną wargę.

– Księżna łatwo się domyśli, że ktoś musiał ci powiedzieć o porannej wizycie doktora Franklina.

– Tylko, jeśli jedno z nas jej o tym powie. – Uniósł ironicznie brew. – Zamierzasz jej powiedzieć?

– Oczywiście, że nie! – Opanowanie Justina działało Ellie na nerwy. – Jak na razie księżna na pewno za bardzo się cieszy z twojej decyzji, żeby się nad nią zastanawiać. Wkrótce jednak na pewno ochłonie. Jaki zamierzasz podać wtedy powód zmiany swojego zdania?

– Dlaczego miałbym podawać jakikolwiek powód? – zapytał z wyższością. – To oficjalna siedziba księcia Royston w Londynie. Jeśli nawet dotąd uznawałem za stosowne mieszkać w innym miejscu, mam pełne prawo ją zajmować.

Nie była to dla Ellie żadna nowość. Zdawała sobie jednak doskonale sprawę, że księżna jest osobą dociekliwą i obdarzoną inteligencją. Kiedy więc znajdzie czas, by pomyśleć przez chwilę, zada sobie pytanie, dlaczego Justin postanowił się wprowadzić w tym akurat momencie.

Poinformowała go o wizycie lekarza tylko dlatego, że wyraźnie o to poprosił, ale przez myśl jej nie przeszło, że z tego powodu będzie musiała całymi dniami znosić jego obecność. Chociaż jemu wydawało się to najwyraźniej bardzo zabawne, przy delikatnej naturze ich wzajemnych relacji jej wydało się to istnym koszmarem.

Justin z łatwością odczytywał emocje na twarzy Eleanor. Ale jedna z nich irytowała go szczególnie. Wyraz przerażenia na myśl o jego przeprowadzce. Szczególnie, że prawdziwą przyczyną była rozmowa, jaką odbył z Richmondem, i obawa o jej bezpieczeństwo, a nie troska o zdrowie babki. Gdyby nie to, ani nocy by tu nie spędził.

Była to doprawdy w tych okolicznościach wielka obelga. Z najwyższym trudem znosił dąsy Eleanor. Musiał jednak zdzierżyć, chyba że miałby zdradzić jej treść rozmowy z Richmondem. A na razie nie miał takiego zamiaru.

Zdecydowanie lepszym wyjściem było trzymanie się wcześniejszego planu i przeprowadzenie wstępnego dochodzenia. Dopiero potem w ogóle mógłby się zastanowić, czy podzielić się z Eleanor zdobytymi informacjami.

Na razie nie musiała wiedzieć o skandalu, jaki miał miejsce w Indiach, wywołanym oskarżeniem Litchfielda o gwałt na wdowie po niedawno zmarłym oficerze. Ujrawszy podobieństwo Eleanor do Muriel Rosewood i jej rude włosy – a właśnie rude miał dawniej włosy Litchfield – Richmond nabrał podejrzeń, że w tym właśnie gwałcie poczęła się Eleanor. Muriel Rosewood nie była brzemienna, kiedy odszedł jej mąż, nie było też wiadomo o jej stanie, gdy opuściła Indie. Czas tych wydarzeń potwierdzałby jednak hipotezę, że Eleanor jest córką tego nikkczemnika.

Justin nie śmiałyby obciążać jej tą wiedzą, póki nie nabrałyby absolutnej pewności, że jej ojcem jest lord Dryden Litchfield. A być może nawet mając tę pewność...

Wyprostował się godnie.

– Decyzja zapadła. Z samego ranka zamieszkam w Royston House – rzekł stanowczo. – Wkrótce zobaczymy się przy kolacji.

– Och! Oczywiście, wasza książęca mość!

– Wielokrotnie już sprzeciwiałem się, byś mnie tak tytułowała – warknął.

Skryła wstydliwie oczy za zasłoną długich rzęs.

– Mam cię nazywać wujem Justinem? – zapytała przebiegle.

– Ty mała niewdzięcznico!

Z wściekłością ruszył w jej stronę. Ellie za późno zrozumiała swój błąd. Widząc jego gniew, podniosła ręce w obronnym geście.

– Wasza miłość... sir... Justinie!

– Czas na to już minął, Eleanor! – Objął ją w talii i przycisnął do siebie, a jej ręce znalazły się między piersiami a jego muskularnym torsem. – Chyba nie muszę ci przypominać, że wywołujesz we mnie emocje o wiele gorętsze od rodzinnego przywiązania.

Nie mogła przeoczyć twardego dowodu, który wbijał się jej właśnie w podbrzusze.

Miała wypieki i nogi jak z waty. W oczach Justina dojrzała tę samą żądzę. Patrzył na nią z góry.

– Przygniatasz mnie, wasza... Justinie – zaprotestowała i bezskutecznie próbowała go odepchnąć.

Obnażył zęby w drapieżnym uśmiechu.

– I oto właśnie, zbyt późno na swoje nieszczęście, dowiadujesz się, że drażnienie tygrysa jest nawet groźniejsze od obudzenia go.

Zamrugła przestraszona.

– Ja tylko... nie chciałam...

– Dobrze wiem, co zrobiłaś. A tak wygląda moja odpowiedź! – Pochylił się i wycisnął na jej ustach gorący pocałunek. Następnie zrobił krok do przodu, unosząc Ellie ze sobą.

Cofając się, natrafiła na łóżko, jęknęła i straciła równowagę, a Justin skorzystał z rozchylnych warg, żeby pogłębić pocałunek. Położył dłoń na jej policzku i opadł na łóżko razem z nią, przyciskając ją do materaca całym ciężarem ciała.

Oszołomiona jego bliskością przestała mu się opierać. Położyła ręce na jego ramionach, wplotła palce we włosy nad jego karkiem i odwzajemniła pełen pasji pocałunek. Nie zauważyła nawet, kiedy wymierzana kara zmieniła się w nagrodę.

Całował ją teraz delikatniej i pozwalał na więcej. Zmienił pozycję i wziął w ciepłą dłoń miękką kształt piersi.

Nic innego nie miało już dla Ellie znaczenia, kiedy żar drżącego podniecenia popłynął jej

ciałem. Pod ciepłym dotykiem jego dłoni jej pierś nabrzmiała, a Justin znalazł kciukiem zgrubienie sutka pod materiałem.

Nie przestawał jej całować, pieścić, aż wygięła się pod nim w rytmie wspólnej żądy. Zwilgotniała, a on przycisnął delikatnie udo do najczulszego miejsca, dalej rozgrzewając kciukiem wrażliwy i stwardniały sutek.

– Justinie! – wykrzyknęła.

– Tak. Justin – mruknął. – Powtórz! Powtórz, Eleanor!

– Justinie! – poddała się. – O, tak! Justinie! Justinie...

Jęknęła, kiedy oderwał usta od pulsującego sutka nagiej piersi. Nie pamiętała, żeby ją obnażył, wiedziała tylko, że doświadcza rozkoszy przekraczającej jej najśmielsze wyobrażenia.

Położył rękę na drugiej piersi, oderwał usta od pierwszej i popatrzył zadowolony na gorący, różowy od jego pieszczot sutek. Zaczął delikatnie dmuchać i unióś pierś, aż znowu musnęła jego wargi. Podniósł wzrok ku jej twarzy, a Ellie odpowiedziała spojrzeniem gorączkowym od narastającej ekstazy.

Patrzył na nią z podziwem. Piękniała z każdą chwilą. Czuł, że powinien przestać, zatrzymać się, nim nie było za późno.

– Justinie? – westchnęła i przegięła się, przyciskając pierś do jego ust. Wszelki rozsądek opuścił go w jednej chwili. Masował językiem szczyt jej piersi, przygryzał delikatnie, jego ręka znalazła drogę pod fałdy spódnicy i dotknęła nagiej skóry. Przesunął ją w górę i musnął palcami utęsknione dotyku, wilgotne miejsce u szczytu jej ud.

Ellie nie śniła nawet o takiej rozkoszy. Obezwładniona pozwalała, aby kolejne fale niebiańskiego uczucia przelewały się przez nią; nieświadoma upływu czasu, poddana bezwarunkowo jego zabiegom.

W końcu słodki rytm pieszczot zwolnił, Justin oderwał język od jej piersi i oparł się na łokciu.

– Nie sprawiłem ci przykrości, prawda? – zapytał.

Na niski, ochryply głos Ellie przebiegł słodki dreszcz, ale zarazem poczuła się wolna od jego zakłęcia. Z przerażeniem uświadomiła sobie, na co właśnie mu pozwoliła.

Księżę Royston kochał się z nią, dotykał jej tak, jak jeszcze nie śmiał żaden mężczyzna. Tak powinien jako pierwszy dotykać jej w noc poślubną mąż!

Poświęciła to dla cynicznego i wyniosłego Justina St. Justa, który nawet nie chciałby kochać swojej wybranki! A swoją łatwą kapitulacją nakarmiła zapewne jego pychę jeszcze bardziej.

Usiadła z trudem i podciągnęła w obronnym geście nogi. Zarumieniona próbowała zebrać wymiętą suknię, ukryć obolałe piersi. W przeciwieństwie do niej Justin był całkiem ubrany, nawet krawat mu się nie przekrzywił, miał zapiętą kamizelkę i jedynie lekko zmierzwione włosy. Wyglądał na całkiem niewzruszonego.

Wzięła niepewny wdech.

– Prosiłam cię już, żebyś sobie poszedł.

– Eleanor...

– Wyjdz! – zażądała, unikając jego wzroku. Była pewna, że znajdzie tam tylko lekceważenie. A może czekało ją nawet spojrzenie pełne triumfu albo współczucia. Żadnej z tych emocji nie mogłaby w tym stanie wytrzymać.

Kochała go. I obiecała sobie, że Justin nigdy się o tym nie dowie. Czuła, że to by ją zgubiło.

– Cokolwiek sobie myślisz, Eleanor, przestań natychmiast, choć na chwilę.

W jej oczach błyszczały łzy.

– Nie możesz mi mówić, co mam myśleć – wybuchła, poddając się gniewowi.
– Przestałbym, nawet chciałem, ale nie byłabyś mi za to wdzięczna...
– Teraz też nie jestem!
– Nie – przyznał z ciężkim westchnieniem, spoglądając na nią posępnie. – Eleanor...
– Przestałbyś? Chciałeś? – wykrzyknęła prawie, kiedy zrozumiała, co mogły znaczyć jego słowa. Ona sama nie byłaby w stanie się zatrzymać ani nawet przez chwilę pomyśleć. On mógł. Przez cały czas nad sobą panował, gdy tymczasem ona rozplynęła się w jego objęciach, bo go kochała.

– Mówiłam, żebyś wyszedł – powtórzyła jak automat.
– Posłuchaj mnie, Eleanor, do diaska! – zawołał sfrustrowany. – Gdybym przestał, miałabyś do mnie pretensję, że opuściłem cię niezaspokojoną, i nie dałoby ci to spokoju...
– Więc uznałeś, że lepiej dla mnie będzie, jeśli poddam się nieodpartemu urokowi księcia Royston!

Odetchnął głęboko.
– Nie pozwolę ci się urazić. Rozumiem, że jesteś... zdenerwowana.
Przejechał dłonią włosy, które natychmiast ułożyły się w swój zwykły, perfekcyjny nieład. Na pewno doskonale wie, co robi – pomyślała Ellie. – Przeciwiczył ten efekt tysiące razy. Pewnie przy okazji uprawiania miłości z tysiącem różnych kobiet!

Świadomość, że może jest dla niego tylko kolejną na długiej liście podbojów, doprowadzała ją do furii.

– Ależ bardzo proszę, możesz się czuć urażony do woli – zaproponowała zjadliwie. – Zapewniam cię, że nie jestem taka zdenerwowana, żeby nie wiedzieć, co mówię. A chcę ci powiedzieć tylko jedno: nigdy więcej mnie nie dotykaj!

– Pomówimy o tym, kiedy się już uspokoisz.

– Nie ma o czym – odparła stanowczo.

Zbyt późno Justin zrozumiał, jak wielki popełnił błąd. Słyszał ze swojego opanowania. Nic nie było w stanie go wyprowadzić z równowagi. A nauczył się tego poprzez długie miesiące samotnego dzieciństwa, gdy jedynie chłód mógł go wybawić od rozpacz. Ale pomimo tej sztuki zawsze przeczuwał, że jest w nim ukryta głęboka namietność, która nie dawała się w żaden sposób kontrolować. A Ellie obudziła właśnie tę część jego duszy, część, o której istnieniu już niemal całkiem zapomniał.

Tego wieczoru cała jego sławna samokontrola rozwiała się jak dym. Był do tego stopnia zanurzony w przeżyciu chwili, że choć się zarzekał, nie mógłby tego przerwać. Nie mógłby przestać całować Eleanor, pieścić ją i kochać, choćby nawet stał nad nim sam diabeł. Pragnął dawać rozkosz, przyglądać się jej ekstazie, bo był jej przyczyną.

Westchnął.

– Nie uważasz, że to naiwne przekonanie? Że nigdy nie wrócimy do tej rozmowy? – roześmiał się gorzko.

– Dzięki tobie nie jestem już ani trochę naiwna.

– Jesteś, Eleanor, w każdym istotnym sensie. Nie zrobiliśmy niczego, co naraziłoby twoją niewinność na szwank. Ani też twoją pozycję społeczną.

Milczała przez dłuższą chwilę, nim zrezygnowana pokręciła głową.

– Mało dbam o swoją pozycję społeczną, ale moja niewinność na pewno jest już wątpliwa.

– Ależ nie...

– Tak! – syknęła. – Chyba wiesz, jak niewielkie miałam dotąd pojęcie...

Zamilkła, by zebrać myśli.

– Może moje dziewictwo pozostało nienaruszone – podjęła – ale niewinność już nie.
Proszę, zostaw mnie już samą.
Głos się jej załamał, a w oczach znowu pojawiły się łzy.
Justin wiedział, że nie chciałyby płakać przy nim.
– Rozumiesz chyba, dlaczego nie mogę w żadnym razie wyjaśnić babce powodu mojej
przepraszki do Royston House?
Eleanor wyprostowała się dumnie.
– Rozumiem. I jestem pewna, że jesteśmy oboje na tyle kulturalni, żeby nie dać po sobie
niczego w towarzystwie poznać przez wzgląd na księżną, którą oboje bardzo szanujemy. Szkoda
tylko, że podobnym szacunkiem nie darzymy siebie nawzajem.
Najwyraźniej Ellie nie zamierzała być wobec niego grzeczna, kiedy nikogo przy nich nie
będzie.
– Trzeba było mnie słuchać, kiedy ostrzegałem, żebyś nie drażniła tygrysa...
– Czyżbyś w swojej łaskawości udzielił mi właśnie kolejnej lekcji?
Justin był zbity z tropu.
– Nic podobnego, Eleanor, chciałem tylko... Eleanor, natychmiast odłóż tę filiżankę! –
zawołał, kiedy chwyciła porcelanę. – Eleanor!
Nawet się nie zawahała. Cisnęła filiżankę prosto w jego arogancką twarz. Zaraz jednak
zdeenerwowała się jeszcze bardziej, kiedy Justin uchylił się w ostatniej chwili, a naczynie
roztrzaskało się na drzwiach.
Wyprostował się w gniewie.
– Moja babka bardzo lubi ten serwis!
Ellie nie dała się zbić z tropu i od razu złapała spodek. Tym razem ugodziła go celnie
w głowę, burząc misterny układ włosów, który niedawno tak ją zdeenerwował.
– Lata gry z dziećmi w krykieta na coś się wreszcie przydały! – uśmiechnęła się
zadowolona.
– Przeklęta diablica! – Justin dotknął ostrożnie miejsca trafienia. – Klnę się na wszystkie
świętości, że należałoby przetrzepać ci skórę!
– Jeśli wasza miłość dotknie mnie choć małym paluszkiem, będę wrzeszczała tak długo,
aż zlecą się wszyscy domownicy!
Chłodna duma Ellie nie pozostawiała wątpliwości co do szczerości groźby. Uczucia do
tego mężczyzny nieraz już ją zwiodyły, więc postanowiła nigdy mu ich nie wyjawiać.
– To jeszcze nie koniec, Eleanor! – zagroził.
– Ależ tak – odparła. – Nie będzie już więcej lekcji, ani teraz, ani nigdy.
Odwróciła głowę na znak, że rozmowę uznała za zakończoną. Jej serce biło jak szalone,
kiedy czekała, czy spełni jej milczące życzenie. Nie miała pojęcia, jak się zachowa, jeśli
odmówił.
Cisza trwała kilka chwil, następnie usłyszała odgłos cichego otwierania i zamykania
drzwi.
Wtedy przestała powstrzymywać łzy. Płakała, jakby serce miało jej zaraz pęknąć.

ROZDZIAŁ JEDENASTY

– Wybrałem zły moment, Royston?

Justin podniósł leniwie wzrok. Na widok lorda Adama Hawthorne'a, wnuka jednej z najdroższych przyjaciółek swojej babki, wyprostował się nieco w klubowym fotelu u White'a.

Od trzech dni prawie się do nikogo nie odezwał. Trwał w odrętwieniu, odkąd kochał się z Eleanor, a ona wyprosiła go ze swojej sypialni. Przez cały ten czas, zgodnie z obietnicą, zachowywała się z nienaganną, choć nieco sztywną uprzejmością, kiedykolwiek byli razem w towarzystwie babki.

Gdy tylko znikła z oczu przenikliwej księżnej, na całe dni zaszywała się w najdalszej od Justina części domu. Jediną rozrywką były przejażdżki w towarzystwie pokojówki lub samej Edith St. Just. Towarzyszyła jej zawsze opieka wybranego przez księcia służącego, który nie spuszczał jej z oczu na wypadek powrotu Litchfielda.

Justin nie mógł winić Eleanor za tę sytuację. Pomimo guza, który nabiła mu filizanką, i późniejszego bólu głowy, Justin wiedział, że cała odpowiedzialność obciąża jego sumienie. Zasłużył na jej złość. Przekroczył granicę, której nie powinien przekraczać. Choć był od niej o dziewięć lat starszy, nie miał pojęcia, jak się zrehabilitować. Na przebaczenie z jej strony nie miał co liczyć, bo dawała wyraźnie do zrozumienia, że umywa ręce od znajomości.

Większość tego czasu Justin poświęcił na zbieranie i porządkowanie wiadomości o życiu jej matki po powrocie do Anglii. Nie mając do dyspozycji świadectwa samej Muriel, napotkał niemało niewiadomych. Wielu z żołnierzy służących w Indiach w tym samym czasie, co Litchfield, zginęło podczas wojen z Napoleonem. Nielicznych ocalałych oraz wdów po poległych musiałby szukać po całym kraju.

Wysłanie listu do rodziny Rosewoodów z pytaniami o przeszłość Muriel okazało się całkiem chybionym pomysłem. Nie posiadali żadnej informacji o wdowie po Henrym, a gdy wyszła za Fredericka, wraz z pensją urwał się też jakikolwiek jej kontakt z rodziną pierwszego męża.

Pozostawała tylko Eleanor, o której też nie posiadali żadnej wiedzy. Justin uznał to za poszlakę, która mogła wskazywać na jej niejasne pochodzenie.

Miał już tylko jeden pewny sposób, aby dowiedzieć się o życiu Muriel po powrocie z Indii. Musiał poznać wspomnienia Eleanor z wczesnego dzieciństwa, zanim jej matka wyszła za Fredericka.

Z dwóch powodów jeszcze z nią nie rozmawiał. Po pierwsze, Eleanor go unikała. Po wtóre, pytania mogły wzbudzić jej podejrzenia, a Justin wolałby się nie zdradzić ze swoim zainteresowaniem. Mogło się jednak okazać, że podejrzenia Richmonda są całkiem nietrafione.

Troska hrabiego, pytania babki, brak zainteresowania Rosewoodów, wszystko to wskazywało, że się jednak nie mylił.

– Najwyraźniej tak – podjął Hawthorne, nie doczekawszy się odpowiedzi. – Wybacz, że zakłóciłem ci zadumę.

Odwrócił się.

– Nie! Nie, naprawdę, Thorne – zatrzymał go Justin. – Wybacz moją nieuprzejmość. Proszę, usiądź.

Wskazał sąsiednie miejsce przy kominku.

Z Adamem Hawthorne'em, choć był jego rówieśnikiem i wnukiem dobrej przyjaciółki babki, nigdy nie łączyła Justina szczególna zażyłość. Przed paroma tygodniami jednak obaj

czynili wysiłki na rzecz pomyślnego rozwiązania niezmiernie ważnej osobistej sprawy Hawthorne'a. Dzięki tym staraniom Hawthorne był już szczęśliwie zaręczony.

Justin zaczekał, aż gość zajmie miejsce.

– Czy przychodzisz do mnie w konkretnej sprawie? – zapytał.

– Tak się składa. – Hawthorne był znany ze swojej małomówności i skłonności do gniewu, ale teraz uśmiechnął się niewinnie. – Na pewno wiesz już o moich nadchodzących zaślubinach?

– Naturalnie. – Justin przewrócił oczami. Kiedy wiadomość o ślubie Hawthorne'a doszła do uszu babki, zdwoiła wysiłki, by i jego przekonać do ożenku.

Hawthorne uśmiechnął się ze współczuciem.

– Księżna nie daje za wygraną?

– Twój ślub bynajmniej nie ułatwił mi beztroskiego, kawalerskiego życia – przyznał

Justin.

– Domyślam się. – Hawthorne roześmiał się serdecznie. – Słyszałem za to, że postanowiłeś znowu zamieszkać w rodowej siedzibie.

– To prawda. – Nie musiał pytać, skąd Hawthorne o tym wie. Księżna wdowa, lady Cicely i lady Jocelyn Ambrose znały się jak łyse konie.

– Babka nie mogła się nachwalić, jak bardzo uszczęśliwiłeś tym księżną wdowę. – Hawthorne potwierdził przypuszczenia Justina.

Księżna była więcej niż szczęśliwa, chodziła cała w skowronkach. Jej radość była tak wszechogarniająca, a dotąd podupadłe zdrowie wróciło jej tak bardzo, że doktor Franklyn całkiem przestał się u niej pojawiać.

Justina oczywiście cieszyło to niezmiernie, choć nie mógł się całkiem pozbyć podejrzeń co do tego nagłego ozdrowienia. Można by mu było zarzucić cynizm, ale zastanawiał się, czy babcina choroba nie była po prostu kolejną próbą przekonania go do stanu małżeńskiego. A skoro udało się babce wpłynąć na jego powrót do domu, uznała, że osiągnęła, przynajmniej częściowo, cel usatkwania krnąbrnego wnuka.

Byłby oczywiście zadowolony, że babka nie cierpi na zdrowiu, ale nie cieszyłby się, że padł ofiarą jej przebiegłych machinacji.

Oczywiście przeprowadzka Justina nie była podyktowana jedynie troską o babkę. W większej mierze chodziło o bezpieczeństwo Eleanor, ona jednak nie pozwalała mu na otwartość. Znanej już Justinowi bezwzględności Litchfielda mogła paść ofiarą nie tylko Ellie, ale też jego babka.

– Royston?

Justin otrząsnął się z tych rozważań.

– Wspomniałeś o swoim ślubie? – zapytał.

– Zrobiłeś wielkie wrażenie na mojej ukochanej Magdalenie – odrzekł Hawthorne.

– Doprawdy? – Justin przyjrzał się uważnie swojemu rozmówcy.

Panna Matthews była piękną i uroczą młodą kobietą i Justin z radością pomógł wyzwolić ją od szubrawca, który za wszelką cenę usiłował zrujnować jej życie. Jeśli jednak Hawthorne sądził, że Justin jest bardziej zainteresowany młodą damą...

– Do tego stopnia, że upiera się, abyś został świadkiem na naszym ślubie.

– Ja? – Justin nie byłby bardziej zdumiony, gdyby Hawthorne poprosił go, by zatańczył nago kadryla w klubie.

Hawthorne wydawał się rozbawiony.

– Rozumiem, jak nieprzyjemne to zadanie dla kogoś tak przeciwnego instytucji małżeństwa, ale Magdalena nalega. – Pomimo wyrozumiałości był niewątpliwie do tego stopnia

zakochany, że nie zamierzał odmawiać jej najbardziej szalonym kaprysom.

Pomimo że taka odmiana usposobienia zwykle napawałaby Justina odrazą, odkrył, że odczuwa przede wszystkim ciekawość.

Pierwsze nieszczeńliwe małżeństwo sprawiło, że Hawthorne był zdecydowany nie powtarzać tego doświadczenia. Wytrwał w swoim postanowieniu do czasu, aż spotkał Magdelenę Matthews. I najwyraźniej ani przez chwilę tego nie żałował. Justin nie widział nigdy równie szczęśliwego człowieka.

Gdzie się podziały jego wątpliwości, sprzeciw wobec rezygnacji z osobistej wolności? – zastanawiał się Justin. Czy naprawdę chciał być do końca życia wodzony za nos? Nie dręczyła go myśl, że do końca życia będzie sypiał z jedną tylko kobietą, o ile nie sprawi sobie kochanki? I jak zamierza pogodzić drugie małżeństwo z wychowaniem córki z pierwszego? Czy w ogóle pomyślał o jej dobru?

– Magdalena i twoja podopieczna, panna Rosewood, stały się sobie bardzo bliskie, choć znają się tak krótko.

Justin zdał sobie sprawę, że znowu zagłębił się we własnych myślach i nie zważał na słowa Hawthorne'a.

– Mówisz, że panna Matthews i Eleanor są przyjaciółkami?

– Od balu Roystonów są prawie nierozłączne.

To wyjaśniało, dlaczego Eleanor tak chętnie towarzyszy księżnej wdowie podczas wizyt u lady Cicely, skoro to u niej zatrzymała się do dnia ślubu panna Matthews.

– Nawet w tej chwili, w towarzystwie obu naszych babek, zastanawiają się nad wyborem materiału na ślubną suknię!

Niech to szlag! – zaklął w duchu Justin. Wyglądało na to, że Hawthorne lepiej zna poczynania panny Rosewood od niego. Co prawda mógłby się tego spodziewać, skoro Eleanor ze wszystkich sił go unikała, ale i tak była to dla niego przykra konstatacja.

– Moja córeczka Amanda też jest z nimi. Ma być druhną. – Hawthorne usiadł wygodniej.

– To wielkie wyrzeczenie, wierz mi, że wołałaby być w stajni ze swoim kucykiem. Dała się przekonać tylko dzięki wielkiej sympatii, jaką darzy Magdelenę – dodam, że z wzajemnością. Być może pomogła też trochę obietnica lodów u Guntera, kiedy przykre zadanie przymierzania sukni dobiegnie końca!

Wyglądało na to, że córka Hawthorne'a bynajmniej nie była wykluczona ze szczęścia swojego ojca, a przyszła macocha nie szczędziła jej czasu ani uczuć, co dla Justina było niemalym zaskoczeniem.

Hawthorne popatrzył na niego z ukosa.

– Dlaczego mi się tak dziwnie przyglądasz?

Justin zacisnął zęby. Nie zdał sobie sprawy, że aż tak zdradza się z uczuciami.

– Zdajesz się... – Przerwał, machnął ręką i spróbował jeszcze raz: – Wygląda na to, że naprawdę jesteś szczęśliwy na myśl o ponownym ożenku...

Hawthorne uśmiechnął się szeroko.

– Prawda, że to niezwykle, kiedy wspomnimy naszą rozmowę zaledwie na kilka tygodni przed moimi zaręczynami z Magdeleną?

We wspomnianej rozmowie obaj wyrazili swoją nieustającą awersję do wstąpienia w stan małżeński. Hawthorne nie chciał nawet myśleć o ponownym ślubie, Justin odkładał go na jak najdalszą przyszłość, kiedy już nie będzie mógł odmówić obowiązku zapewnienia ciągłości rodu. Obaj zaś utyskiwali na swoje babki, które uciekając się do najpodlejszych praktyk, usiłowały zmusić ich do przyjęcia nieszczęsnego stanu.

– Może wkrótce czekają nas wieści o jeszcze jednym ślubie? – podsunął Hawthorne.

Justin momentalnie zeszytywniał.

– Co to ma znaczyć? – odparł szorstko. Jakkolwiek bliska byłaby świeżo nawiązana znajomość Eleanor i panny Matthews, nie wyobrażał sobie, żeby zdradziła intymne szczegóły ich relacji. A nawet gdyby się na to poważyła, nie uwierzyłby, że po tym wszystkim chciałaby w nim widzieć przyszłego męża. Wyobrażał sobie, że byłby ostatni na liście jej kandydatów.

– Mówię o Endicocie i panie Rosewood – wyjaśnił Hawthorne, przyglądając mu się z ciekawością.

Lord Charles Endicott i Rosewood? – nie posiadał się z oburzenia Justin. – Ten szczeniak i Eleanor? Co się tu, u diabła, wyrabia!

Z wściekłościomalże zatracił zdolność logicznego rozumowania.

– Trzeba przyznać, że to dobra partia dla twojej podopiecznej – ciągnął tonem pogawędki Hawthorne. Wyglądało, jakby nie dostrzegł niemego wybuchu emocji Justina. – Endicott jest bogaty, do tego drugi w sukcesji do tytułu książęcego.

Justin musiał przyznać, że Endicott stanowił dobrą partię. Oprócz zalet wymienionych przez Hawthorne'a był też młody – miał dwadzieścia dwa lata – i powszechnie uznawano go za czarującego młodzieńca. Chyba każda matrona z towarzystwa liczyła, że upodoba sobie jej córkę i zostanie wymarzonym, doskonale sytuowanym i zamożnym zięciem. Lecz Justin wiedział, że Eleanor rozmawiała z nim jeden jedyny raz na balu Roystonów podczas krótkiego tańca. Co prawda Justin podejrzewał, że jeden z tuzina bukietów przesłanych po balu Eleanor był opatrzony liścikiem od niego, ale nawet to nie wydało mu się wystarczającym powodem do przyjęcia oświadczeń.

Zaprzeczył zdecydowanym ruchem głowy.

– Wybacz, Hawthorne. Nie mam pojęcia, skąd wzięła się ta pogłoska, ale zapewniam cię, że panna Eleanor nie ma podobnych ambicji względem Endicotta.

– Doprawdy? – Hawthorne był szczerze zaskoczony. – W tej sytuacji wypadaloby chyba, aby zniechęcała go do dalszych przejawów uwagi zamiast dawać złudne nadzieje doskonale udawaną radością.

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz! – wycedził Justin, ledwie nad sobą panując.

Hawthorne przyjrzał mu się z namysłem.

– Rzeczywiście wygląda na to, że nie masz.

– Zgodzisz się, Ellie? – zapytała panna Magdelena, gdy cała gromadka zatrzymała się przed cukiernią Guntera na Berkeley Square. – Czyż nie były to najcudowniejsze lody, jakich kiedykolwiek skosztowałaś?

– Na pewno – odrzekła z uśmiechem Eleanor. Nigdy wcześniej nie jadła lodów.

W dzieciństwie nie było ich nigdy stać na podobne ekstrawagancje, a kiedy matka poślubiła Fredericka St. Justa, Ellie nie bywała już w Londynie. Jako dama do towarzystwa księżnej wdowy nie miała ani pieniędzy, ani czasu, by poddawać się takim kaprysom.

Miała jednak nadzieję i dokładała wszelkich starań, żeby wyrazić, jak dobrze się bawi. Jadła ze smakiem i uśmiechem, tak jak pozostałe damy. Nie było przy tym cienia wątpliwości, że delicje najbardziej przypadły do gustu czarującej panie Amandzie Hawthorne.

Wyglądało na to, że wysiłki Ellie się opłaciły, bowiem żadna z jej towarzyszek nie przeniknęła jej radosnej maski. Pod powierzchnią pozoru jednak serce Ellie było jak najdalsze od stanu błogości.

Minęły trzy dni od pamiętnego wieczoru, gdy kochała się z Justinem i zdała sobie sprawę, że darzy go uczuciem pomimo jego haniebnego zachowania. Ten czas był dla niej najstraszliwszą z prób, gdyż zamieszkała z nim pod jednym dachem.

Jak było umówione, Justin zjawił się następnego ranka o dziesiątej w towarzystwie lokaja

i sekretarza. Większość jego rzeczy osobistych zjechała już poprzedniego wieczoru. Justin zajął frontowe książęce pokoje, które szczęśliwie dla Ellie znajdowały się dość daleko od jej sypialni i komnat księżnej na tyłach. Sekretarz przejął na swoje potrzeby jeden z gabinetów oraz bibliotekę.

Co było do przewidzenia, księżna wdowa nie posiadała się ze szczęścia na taki obrót wypadków. Uradowana zajęła się od razu nową organizacją gospodarstwa domowego, by lepiej odpowiadała rozkładowi dnia jej wnuka.

Ellie przeciwnie, daleko było do szczęścia. Liczyła, że znalazłszy odrobinę czasu do namysłu, książę wykaże się delikatnością i odłoży swoją przeprowadzkę w nieokreśloną przyszłość.

Rzeczywistość kazała jej zdać sobie sprawę, że postawiła zdecydowanie zbyt wysokie wymagania mężczyźnie, który dbał jedynie o komfort babki – i o swój własny, oczywiście.

W tej sytuacji znalazła jedyne dla siebie rozwiązanie w częstym opuszczaniu domu, co okazało się wyjątkowo proste. Po sukcesie na balu została zalana falą zaproszeń do opery, na tańce i wieczorki oraz posiłki na świeżym powietrzu. Szczególnie służyła jej nowa znajomość z panną Magdaleną Matthews. Podczas gdy na spacerach księżna wdowa gawędziła ze swoją drogą lady Cecily, Ellie miała okazję lepiej poznać pannę Matthews i ku swemu zdziwieniu stwierdziła, że mają ze sobą bardzo dużo wspólnego.

Gdyby nie ponura obecność Justina, Ellie bardzo cieszyłaby się takim obrotem spraw. Z wielką determinacją starała się, aby tamte sprawy nie odebrały jej całej radości tak innego od znanego jej życia.

Z uśmiechem zwróciła się do młodego i przystojnego dżentelmena u swojego boku.

– Czyż to nie wyjątkowo szczęśliwy zbieg okoliczności, że się tu spotkaliśmy, panie?

Lord Charles Endicott odpowiedział jej chłopięcym uśmiechem.

– Nie tak bardzo, jeśli wziąć pod uwagę, że zasłyszałem, jak układałyście plany na dzisiejszy dzień z panną Matthews, kiedy przypadkiem spotkałem was w parku.

– Cóż za zuchwałość! – Roześmiała się Ellie.

Endicott nie krył podziwu dla urody Eleanor, która na ten dzień wybrała bladozieloną suknię i podobny czepek.

– Mężczyzna nie dba o reputację, gdy w grę wchodzi zdobycie kobiety.

– Usiłujesz mnie zdobyć, panie? – zapytała z nutką przekory.

– Staram się pokazać od jak najgorszej strony – odparł. Miał zaledwie dwadzieścia parę lat, modnie przystrzyżone ciemne włosy, uwodzicielskie brązowe oczy i chłopięcą urodę. – Proszę wybaczyć moją szczerłość.

– Twoja uwaga była dla mnie zbyt pochlebna, żebym mogła się czuć urażona – zapewniła go, tłumiąc śmiech. Lord Endicott był może dandysem, za czym Ellie nie przepadała, ale w jego towarzystwie czuła się swobodnie i lekko, co uznała za cudowną odmianę po innym znanym jej dżentelmenie.

– Czy zamierzasz uświetnić swoją osobą wieczorek muzyczny u lady Littleton? Bo jeśli tak, to będę zaszczycony...

– Moja podopieczna zamierza dzisiejszy wieczór spędzić w domu, Endicott – wdarł się do ich rozmowy lodowaty głos.

Ellie rozpoznała go bez trudu.

Nie tylko ona, bo wszystkie głowy obróciły się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Księżna wdowa zdradzała pewne zaskoczenie, u lady Cicely i panny Matthews przeważało jednak zaciekawienie.

Eleanor wyprostowała ramiona i zebrała się w sobie, choć z góry już wiedziała, że żadne

przygotowania nie uodpornią jej na zimny i przenikliwy wzrok księcia. Odwróciła się i dreszcz ją przeszedł, choć spojrzenie błękitnych oczu ledwie przemknęło po niej i zatrzymało się na nieszczęsnym lordzie Charlesie Endicotcie, który z miejsca uklonił się starszemu dżentelmenowi.

Lord Endicott był obrazem wymuszkanej elegancji. Ubrany w błękitną marynarkę i pastelowo różową kamizelkę, miał koszulę o tak wysokim kołnierzu, że wyglądał na umęczonego od ciągłego wyciągania szyi. Do tego zawiązał wzorzysty fular, co zestawione z surową elegancją Justina nadawało mu wygląd nastroszonego pawia.

Chociaż dzieliło ich nie więcej niż sześć lat życia, różnili się jak dzień i noc, jeden w feerii barw, drugi jako studium cieni.

Na widok pogardliwego skrzywienia twarzy Justina Ellie natychmiast przybrała postawę obronną. Księżę z rozbawieniem oglądał kolorowy strój młodszego mężczyzny.

– Obawiam się, że jesteś w błędzie, wasza księżęca mość – odparła Ellie, a nawet jeden nerw nie drgnął na jej twarzy, kiedy Justin uniósł ze zdziwieniem brew. – Jej miłość potwierdzi, że przyjęliśmy już zaproszenie na dzisiejszy wieczorek u lady Littleton.

– W takim razie przynajmniej ty będziesz musiała odwołać swoje przybycie – pouczył ją beznamiętnie Justin.

– A dlaczego bym miała to zrobić? – zapytała oszołomiona.

Spojrzał na nią wyniośle.

– Wyglądasz na zmęczoną, zapewne od ciągłego włóczenia się po mieście. Wieczór w domu wyjdzie ci na zdrowie.

Uwaga ta dotknęła Ellie bardziej dobitnie, niż gdyby powiedział wprost, że pomimo wszelkich wysiłków, by wyglądać na szczęśliwą, i umyślnie wybranej radosnej tonacji sukni nie wygląda wcale dobrze!

Tak jakby sama nie zdawała sobie z tego sprawy, jakby nie wiedziała, u czyich obutych stóp złożyć winę za swoje upodlane samopoczucie!

Ostatni czas spędzała za dnia w kołowrocie wydarzeń, by uciec od myśli i z Royston House. Noce jej były zaś niespokojne, bo zamiast snu pogrążała się w sprzecznych uczuciach, raz żalując wszystkiego, do czego doszło pomiędzy nią a Justinem, a za chwilę marząc o nim w nieukojonym uczuciu i tęsknocie.

Tym bardziej więc nie przyjęła dobrze jego uwagi o zmęczeniu.

– Nie mam najmniejszego zamiaru odwoływać wizyty u lady Littleton! – odparła nieprzejednanie.

– A ja jestem przekonany, że to zrobisz – rzekł księżę aksamitnie łagodnym, najgroźniejszym głosem. Ich spojrzenia się spotkały: arogancja i wyzwanie wobec nieprzejednanej hardości.

– Nie.

– Tak!

– Royston? – przerwała im księżna wdowa.

Justin nie zamierzał wcale zatrzymać się po drodze do domu. Poleciał stangretowi jechać przez Berkeley Square. Jeden rzut oka w stronę zakładu Guntera wystarczył, żeby rozpoznał Ellie w towarzystwie swojej babki oraz niemal całej rodziny Hawthorne'ów.

A także Endicotta, na którego widok krew zagotowała mu się w żyłach.

Bez namysłu kazał się słudze zatrzymać i nie czekając, aż powóz przystanie, wyskoczył na bruk i pomaszerował w stronę wesołej gromadki.

Okazało się, że w samą porę, żeby zapobiec następnemu wieczornemu spotkaniu Eleanor z Endicottem.

ROZDZIAŁ DWUNASTY

– Mam nadzieję, że nie będziecie miały mi za złe tego najścia, drogie panie – zwrócił się Justin do zebranych dam z czarującym uśmiechem, omijając jedynie płonące od złości spojrzenie Eleanor.

Babka odpowiedziała przyganą, lady Cicely i panna Matthews nadal przyglądały mu się zaciekawione, a panienska Amanda Hawthorne, blond aniołek, uśmiechała się do niego radośnie umazana lodami na buzi.

– Akurat mijalem w powozie plac – kontynuował uprzejmie Justin – kiedy miałem szczęście was zauważyć. Czułbym się skrępowany, gdybym popełnił nietakt i nie złożył swojego uszanowania.

Złożył szarmancki ukłon, który jego babka skwitowała bezceremonialnym prychnięciem.

– Wszystko to pięknie, Royston, ale z jakiej przyczyny odmawiasz drogiej Ellie – Eleanor – przyjemności uczestniczenia w muzycznym wieczorku u lady Littleton?

Z doświadczenia Justina podobne wieczorki były w najwyższym stopniu nużące i skrajnie odległe od każdej wyobrażalnej przyjemności.

– Jak już mówiłem – odparł nadal w tonie wyszukanej uprzejmości – Eleanor wygląda na trochę zmęczoną, więc dla zdrowia uznałem za słuszne zalecić jej wieczór pozbawiony wrażeń.

– Chciałabym...

– Wybacz mi, drogie dziecko – weszła Eleanor w gniewne słowo księżna – ale Royston ma najpewniej słuszność. Istotnie wyglądasz nieco blado tego popołudnia.

– Sama widzisz – Justin zwrócił się do Eleanor ze zwycięskim błyskiem w oku. – Przecież oboje z księżną nie możemy się mylić...

Ellie wpatrywała się w swojego oprawcę jak wilczyca we wnykach. Pragnęłaby w tej chwili być z nim sama w domowym zaciszu, żeby rzucić mu w głowę kolejnym spodkiem, a może ciężką księgą lub czymś nawet groźniejszym! Nie wierzyła w jedno jego słowo. Ani w rzekomo przypadkowe spotkanie, ani obłudną troskę o jej zdrowie.

Przy tylu możliwych zajęciach i niezliczonych ulicach wielkiego miasta wydawało się że wszech miar nieprawdopodobne, by książę mijął Guntera akurat w odpowiedniej chwili. A swoje zdrowie uważała za ostatnie zmartwienie księcia.

Uśmiechnęła się do niego fałszywie słodkim, jadowitym uśmiechem, aż bezwiednie zmrużył oczy w skupionym oczekiwaniu na atak.

– Przyznaję, że księżna wdowa nigdy się nie myli – rzekła, sugerując zarazem przeciwne zdanie o nim – tym razem jednak została wprowadzona w błąd. Czuję się doskonale i wręcz się nie mogę doczekać spotkania u lady Littleton!

– Wołałbym, żebyś zrezygnowała.

– Jestem niezmiernie wdzięczna waszej miłości za troskę. – Eleanor ukłoniła się z gracją.

– Ale śmiesz się nie zgodzić?

– Tak – zgodziła się Ellie.

Walka, jaką ze sobą prowadzili, dotyczyła wyłącznie ich dwojga. Justin zdawał sobie z tego doskonale sprawę.

– Może powinniśmy dokończyć naszą rozmowę na osobności? Pozwólmy naszym drogim paniom cieszyć się dalej z zakupów – wycedził.

Ellie uniosła dumnie głowę.

– Zakończyliśmy już zakupy i udajemy się właśnie na herbatę do lady Cicely.

– Idziemy, Eleanor! – rzucił już jawnie zdenerwowany.

– A ja...

– Chcesz coś powiedzieć, Endicott? – Justin przeszył morderczym spojrzeniem młodszego dżentelmena.

Ellie zrobiło się żal Charlesa, który najpierw poczerwieniał upokorzony ze wstydu, a po chwili pobladł jak kreda, mierzony z wysoka władcym spojrzeniem potężnego księcia Royston. Ellie miała wrażenie, jakby była świadkiem spotkania puchatego pieska salonowego z krwiożerczym wilczarzem. Nie zdziwiłaby się nawet, gdyby Justin obnażył zęby i zawarczał gardłowo.

– Jeśli sobie życzysz, Eleanor, możesz wrócić z Roystonem. – Księżna wdowa uśmiechnęła się pojednawczo, by uniknąć publicznego przedstawienia. – Lady Cicely na pewno doskonale o mnie zadba.

Ellie gotowała się ze złości na despotyczność Justina. Niewiele brakowało, a dałaby mu bezpośrednio do zrozumienia, co może zrobić ze swoją propozycją. Zarazem wiedziała, że nigdy nie zrobi niczego, co mogłoby urazić księżną, której tak wiele zawdzięczała – łącznie z sukienką, którą miała na sobie!

– Cieszę się, że doszliśmy wszyscy do porozumienia. – Księżę bezceremonialnie chwycił ramię Ellie. – Drogie panie...

Pożegnał się uprzejmym ukłonem i rzucił lekceważące spojrzenie na młodego lorda.

– Endicott – dodał niechętnie.

Endicott spuścił wzrok.

– Wasza miłość – odrzekł, po czym jego lico rozjaśniło się, gdy zwrócił się do Ellie. – Skoro nie będzie cię, pani, u lady Littleton, może odwiedzę cię jutro...

– Moja podopieczna ma jutro inne plany – uciął Justin. – Pojutrze zresztą też – dodał dla pewności.

Młodzieniec spochmurniał.

– Ale przecież...

– Chodź, Eleanor. – Księżę nie czekał na jej zgodę. Zdążyła się tylko uklonić, nim porwał ją w stronę powozu.

Ellie nigdy nie czuła się równie upokorzona i sponiewierana, jak w tej chwili. A dopuścił się tego nikt inny, tylko Justin St. Just.

Ale któż inny śmiałby traktować kogokolwiek z taką butą, jeśli nie przesławny księżę Royston?

– Możesz już dać upust swoim uczuciom, Ellie. Jesteśmy sami.

Czerwona kotara gniewu uniosła się sprzed jej oczu. Sarkastyczna uwaga pozwoliła jej uświadomić sobie, że odurzona burzliwymi myślami dała się zaprowadzić do powozu, usadzić na siedzeniu i nawet zamknąć za sobą drzwi.

Po raz pierwszy była z nim sam na sam od „tamtej nocy”, jak oględnie nazywała wspomnienie sprzed trzech dni. Naraz uświadomiła sobie w pełni jego bliską obecność. Złote włosy, błękitne oczy, szorstkie rysy i szerokie ramiona przy smukłych biodrach, mocne i długie nogi w szarych spodniach i czarnych wysokich butach.

I znowu pojawiło się znajome uczucie, dreszcz wrażeń zaczął krążyć po jej ciele, piersi stały się wrażliwsze, a między udami zagościło ciepło, którego naturę zdążyła już lepiej poznać.

Wszystko to pogłębiło jeszcze złość, jaką do niego czuła.

Justin nie musiał nawet patrzeć jej w oczy, żeby zdawać sobie sprawę z jej wściekłości. Niemal fizycznie odczuwał ostre spojrzenie. Wiedział, że sobie na to zasłużył. Zachował się niedopuszczalnie zarówno wobec niej, jak i młodego Endicotta. Babka na pewno mu to

zapamięta i wypomni przy pierwszej okazji.

Wbrew konsekwencjom nie żałował jednak swojego zachowania choćby przez jedną chwilę. Gdy tylko zobaczył, że strojniś dołączył do towarzystwa babki, zapłonął gniewem. Na dodatek akurat w tym momencie Eleanor, zwiewna i piękna jak motyl, roześmiała się ze słów mydłka.

Ogarniała go biała gorączka, kiedy zdał sobie sprawę, ile musiał przez minione dni wycierpieć nieprzychylnych lub wręcz ignorujących go spojrzeń.

– Jeśli masz coś do powiedzenia, wyduś to wreszcie i miejmy sprawę za sobą!

– Jeśli? – wykrztusiła. – Ty... masz, proszę pana, maniery ulicznika!

– Tak, dzisiaj mi się wyraźnie udzieliły. – Uśmiechnął się niewesoło i bez skruchy. –

Więc jeśli chcesz mnie obrazić, będziesz się musiała bardziej postarać, Eleanor.

– Jesteś najbardziej nieznośnym i ohydny tyranem, jakiego miałam nieszczęście spotkać! – syknęła, nabierając tempa i przekonania. Policzki jej płonęły, a zielone oczy błyszczały jak para nieskazitelnych szmaragdów.

Zacisnęła usta.

– Bo oszczędziłem ci zażenowania?

Ellie oniemiała.

– Ty oszczędziłeś mi zażenowania? W którym momencie? – wykrzyknęła, kiedy odzyskała już mowę.

– Kiedy zakończyłem twój flirt z Endicottem.

– Co takiego?

– Przecież to oczywiste. – Skubnął palcami nieistniejącą nitkę na pole marynarki. – A że nigdy nie dostaniesz ode mnie pozwolenia na ślub z tym ptaszkiem, uznałem, że w zasadzie uprzejmiej będzie już teraz odebrać mu nadzieję, niżbyś go miała dalej zwodzić.

– Wcale go nie zwodziłam!

– Mam odmienne zdanie – skwitował szorstko. – Co więcej, nie tylko ja tak myślę. Wieść niesie, że przed końcem sezonu zgodzicie się co do zaręczyn.

– Słucham? – przestraszyła się Ellie.

Justin wzruszył ramionami.

– Jesteście obecnie jednym z gorących tematów w towarzystwie.

– Ale ja przecież tylko przy trzech okazjach rozmawiałam z lordem Endicottem. Raz podczas balu, drugi przedwczoraj na proszonym obiedzie i ostatnio wczoraj, kiedy towarzyszyłam panie Matthews na przejażdżce w parku.

– I czwarty raz przed chwilą – wypomniał jej. – A to już się składa na cztery spotkania w ciągu czterech dni.

– Cóż... tak, ale nie miałam nawet pojęcia, że się z nim będę dzisiaj widziała!

Dla Justina był to przynajmniej jeden dobry znak. Był dotąd przekonany, że spotkanie zostało umówione.

– Wątpię, żeby obecność Endicotta u Guntera była taka niewinna.

Zaczerwieniła się.

– Wspominał coś o tym, że zasłyszał nasze plany w parku. Naprawdę uważasz, że lord Endicott ma wobec mnie poważne plany?

– Tak.

Prosta reakcja całkiem ją zaskoczyła.

– Och – padła jedyna odpowiedź, na jaką umiała się zdobyć.

Kącik jego ust zadrgał nerwowo.

– W rzeczy samej.

– Ale pomimo tego towarzystwo nie mogło chyba wydać takiego osądu na podstawie kilkudniowej znajomości?

Na widok pobladłej i poważnej twarzy Eleanor Justina ogarnęły wyrzuty sumienia. Zareagował tak ostro, bo poczuł się urażony, że nazwała go tyranem. Nawet jeśli w tym konkretnym przypadku w pełni sobie na to zasłużył. Był jednak pewny, że zachował się tak dla jej dobra. Skoro Hawthorne, który za nic miał sobie krążące w towarzystwie plotki, uznał, że Eleanor była zainteresowana Endicottem, reszta londyńskiej śmietanki musiała być o tym święcie przekonana.

Pochylił się do przodu i wziął rękę Eleanor w swoje dłonie.

– Zapewniam cię, że socjeta wyciągała już poważniejsze wnioski z wątlejszych przesłanek – dodał uspokajająco.

– Mówisz, jakbyś sam padł tego ofiarą – zauważyła ciekawie.

– Jak sama zdążyłaś zauważyć, moja reputacja jest już całkiem zrujnowana. Obecnie musimy zadbać o twoją.

Ellie się zamyśliła. Panowie albo podziwiali, albo lękali się księcia Royston. Panie, zamężne czy nie, pragnęły go. Młodziutkie debiutantki miały go za zdobycz sezonu – i tak już dziesiąty sezon z rzędu. Matki tych panienek albo wskazywały im księcia Royston, albo przestrzegały przed nim córki, bo chociaż każda byłaby szczęśliwa, mając go za zięcia, wszystkie wiedziały, że dotąd nie znalazły się na niego sidła. Chętnie by się nim chełpiły, ale cena mogła się okazać wysoka, jeśli zamiast ożenku zaproponowałyby ich córce alkowę.

Nie mogła też pojąć, kto był na tyle śmiały, że doniósł mu o krążących plotkach o niej i lordzie Endicottcie. Młodzieniec był dla niej niczym więcej jak uroczym szczeniędem. Oczywiście był na swój chłopięcy sposób przystojny i przyjemny w obyciu – pomijając okropny gust do ubrań – ale jej uczucia dla Roystona nie pozostawiały wątpliwości, że nie mógł być dla Ellie nikim więcej, jak przyjacielem. Myśl, że poślubiłaby tego firecyka, wydała się jej skrajnie niedorzeczna.

A że Justin sam dał się o tym przekonać, sprawiło jej niewymowną przykrość. Jak mogłaby być kimkolwiek zainteresowana?

Nie chodziło o reputację, lecz szkody bardziej niepowetowane. Nie mogła sobie już nawet wyobrazić intymności z innym mężczyzną, odkąd pogodziła się z myślą, że kocha tylko jego.

Od tamtej nocy robiła wszystko, co w jej mocy, by nie mieć wolnej chwili na rozmyślanie. Starła się, aby jak najrzadziej widywać księcia, choć mieszkali pod jednym dachem. Nie zaprzeczała jednak już uczuciom, które ją zalewały każdego wieczoru wraz ze wspomnieniami, kiedy bezowocnie usiłowała zasnąć.

Nie mogła też nie zauważać odpowiedzi jej ciała, kiedy na myśl o pocałunkach Justina nabrzmiewały sutki i czuła znajome ciepło między udami.

Przy udręce wspomnień absurdalne było dla niej, że ktokolwiek, a co dopiero sam Justin, podejrzewałby ją o poważne plany co do Charlesa Endicotta.

Spuściła wzrok niżej, gdzie trzymał jej rękę w tych samych dłoniach, które dotykały jej i pieściły, i zaprowadziły na niewyobrażalne szczyty fizycznej rozkoszy. Woląла, żeby nigdy nie poznał jej reakcji, a już na pewno, żeby się nie dowiedział o jej uczuciu. Nie mogłaby znieść podobnego upokorzenia.

Odetchnęła głęboko, kojąc nerwy, i cofnęła spokojnie rękę.

– To wszystko bzdury, oczywiście, ale czy to nie ekscytujące, że wkrótce mogę otrzymać moją pierwszą propozycję małżeństwa?

– Pierwszą! – zdziwił się Justin.

– Oczywiście. – Uśmiechnęła się szerzej na jego zaskoczenie. – Księżna wdowa pouczyła

mnie, że dama nie może się uznać za spełnioną towarzysko, jeśli nie złamie pół tuzina serc i nie odrzuci przynajmniej trzech oświadczeń.

Justin zrelaksował się nieco i uśmiechnął.

– Liczę, że pomimo niedawnych wydarzeń mojego serca nie zaliczysz do grona roztrzaskanych?

Ellie roześmiała się, by ukryć, jak poruszyła ją nawet tak zawoalowana wzmianka o ich miłosnym zbliżeniu.

– Bez obaw, tamtego wieczoru roztrzaskał się tylko nieodżałowany spodek, wasza miłość. Poza tym – dodała bez emocji – żywię niemodne chyba przekonanie, że aby mieć pęknięte serce, trzeba najpierw w ogóle serce mieć.

– A więc nie wierzysz, że je posiadam?

– A czy nie ty wyznałeś niedawno, że nie masz zamiaru kiedykolwiek się zakochać?

– O ile dobrze pamiętam, mówiłem o miłości do żony. Mimo to – nie pozwolił sobie przerwać – masz rację. Nie mam zamiaru zakochać się w jakiegokolwiek kobiecie.

– A to dlaczego? – wyrwało się jej, nim się zdążyła ugryźć w język. Kiedy jednak zobaczyła wyraz jego twarzy, nie wycofała pytania.

Była w końcu ciekawa, dlaczego ten mężczyzna, który mógł mieć każdą kobietę, postanowił żadnej nie pokochać.

– Powiesz mi? – dodała, kiedy nie doczekała się odpowiedzi.

Skrzywił się.

– Być może dlatego, że już zbyt wielu moich przyjaciół poddało się temu uczuciu. Odmawiam równie idiotycznego zachowania. Zakochanego łatwo pokonać.

Zjadliwa odpowiedź nie zabrzmiała w uszach Ellie szczerze. Wspomniała, co mówił o rodzicach. Bardziej prawdopodobne wydało się jej, że właśnie ich małżeństwo miało na niego wpływ.

– A czy druga strona nie naraża się tak samo?

– Więc po co w ogóle ryzykować?

Ellie wzruszyła ramionami.

– Być może po prostu instynkt każe nam szukać miłości i bliskości?

– Zatem moje uczucia są nienaturalne? – zapytał z naciskiem.

Dostrzegła, że oczy zabłysły mu w złości. A może było w nich coś innego?

– Nie odpowiedziałeś na moje pytanie – mruknęła z dąsem.

– Jesteś bardzo bystra.

– A ty nadal unikasz odpowiedzi.

– Skoro tak, to chyba roztropnie byłoby zmienić temat – odparł bez mrugnięcia.

Zarumieniła się i wyjrzała za okno.

– Wątpię, czy roztropność określa w jakiegokolwiek mierze to, co się dzieje między nami, wasza miłość.

Justin mógłby się pod tym podpisać obiema rękami.

Rzeczywiście, gdyby Eleanor była roztropna, nigdy by się nie dowiedział, jak aksamitna jest jej skóra, jak smakuje piersi, jak gorące są usta i jaki ma wyraz twarzy, kiedy szczytuje pod jego dotykiem.

Podziwiał doskonały profil, którym się do niego ustawiała. Wysokie mleczne czoło, długie rzęsy i szmaragdowe oczy, piękną linię policzka i piegowaty, prosty nosek oraz pełne usta nad pełną charakteru linią podbródka.

W ciągu ostatniego tygodnia nabrała też smaku i elegancji. Bładozielona suknia i czepek, który okalał regularny owal twarzy, a niesforne loczki kołysały się swobodnie na skroniach

i karku. Proste plecy i ściągnięte ramiona jeszcze bardziej podkreślały pełne piersi nad ściągniętym gorsetem. Siedziała skromnie, ze złączonymi kolanami, a spod rąbka spódnicy wyglądały zielone satynowe trzewiczki.

Eleanor była wzorcowym obrazem eleganckiej i pięknej młodej damy. Zyskała też pewność siebie, którą bez wątpienia zawdzięczała zainteresowaniu i admiracji licznych elegantów. Endicott nie był na pewno jedynym jej wielbicielem.

W przeciwieństwie do tych młodych i przejętych fircyków Justin był cyniczny i wyniosły, nie liczył więc na szczególne względy podziwianej, wschodzącej gwiazdy towarzystwa. Za potwierdzenie brał jej uwagi o swoim braku wrażliwości, a jej brak zainteresowania irytował go niezmiernie.

Poczuł nieprzepartą chęć, by zachwiać jej nowo nabytą śmiałością i pewnością siebie.

– Mogę cię zapewnić, Eleanor, że nie mam żadnych zastrzeżeń co do twoich umiejętności w alkowie. Nie miałbym też żadnych, gdybyś znowu zechciała zachować się nieroztropnie.

– Justinie! – stłumiła okrzyk zgorszenia, czerwieniejąc cała.

Być może gdyby nie zawołała go po imieniu, nie pociągnąłby kwestii dalej.

ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Justin podniósł się i przesiadł obok Eleanor, przyciskając udo do jej uda. Sięgnął do okna i zaciągnął zasłony, pogrążając wnętrze powozu w mroku, nie tak gęstym jednak, aby nie mogli widzieć siebie nawzajem. Wziął w palce wstążkę jej czepka, rozwiązał i ściągnął go.

– Niedługo będziemy w Royston House – zaprotestowała słabo.

Justin uderzył w dach pojazdu.

– Wasza miłość? – dał się słyszeć głos stangreta.

– Jedź dalej, póki nie każę ci zawrócić, Billsbury. – Justin musiał podnieść głos, żeby przekrzyczeć hałas podków o bruk.

– Oczywiście, wasza miłość.

Ellie całkiem znieruchomiała, patrzyła, jak Justin wprawnymi palcami wyłuskuje szpilki z jej ognistych loków i pozwala im opaść swobodnie na ramiona i plecy aż po wcięcie talii.

Sama myśl, że te same loki opadną na jego skórę, sprawiła, że był już gotów. Z niskim pomrukiem nachylił się i pocałował jej rozchylone wargi.

Żar potężnego pożądania ogarnął ich oboje. Nie było tu miejsca na delikatne podchody. Położył ręce na jej biodrach i przyciągnął do siebie.

Pochwyciła go, uniosła głowę, by pogłębił pocałunek, a on przesunął językiem po jej miękkich wargach i zanurzył w gorącą głębię wyczekujących ust.

Ellie poczuła się, jakby trzy straszne dni skrytej tęsknoty nigdy jej od niego nie oddaliły. Tamta noc i ta chwila połączyły się w całość, podjęli ją tam, gdzie wtedy przerwali.

Tego pożądania Justin nie mógł udawać. Ellie zatraciła się w odcieniach uczuć, a on całował ją nieprzerwanie, potem uniosł w górę i posadził na swoich silnych udach, z podciągniętą spódnicą i kolanami na siedzeniu po obu stronach jego bioder. Rozchylone spódnice dopuściły go bliżej i tylko cienki materiał pantalonów dzielił ich od ostatecznej bliskości.

Samo kołysanie powozu starczyło, żeby Ellie uległa zmysłowości, zatraciła wszelką miarę, oddała się narastającej rozkoszy. Justin urwał pocałunek i zsunął dekolt sukienki, aż biust Eleanor kryła tylko cienka halka. Jego oczy zaiskrzyły, kiedy ujrzał wyprężone, uniesione sutki; położył ręce na jej piersiach.

– Jesteś tak piękna... – mruknął ochryple.

Odsunął przejrzysty materiał i wziął do ust nabrzmiały sutek. Poddawał ją słodkim torturom, wlewając w żyły prawdziwy ogień. Jęknęła, wyginając się. Justin położył palce między jej uda i pieścił w takt ruchów języka. Ellie topniała, świadomość rozpływała się w nienazwanych doznaniach.

Justin wciąż jeszcze dygotał po najpotężniejszym szczytowaniu, jakiego w życiu zaznał. Miał wrażenie, że rozpadł się na kawałki, które jeszcze nie złożyły się ponownie w całość. Wnętrze powozu wypełniał rytm ich przemieszanych oddechów. Eleanor wtuliła głowę w jego szyję, omdlała w błogości wspólnie przeżytej rozkoszy.

Nie umiał zrozumieć tak gwałtownej reakcji, mimo że nie odebrał jej niewinności. Wystarczył dotyk jej niepewnej dłoni, musnięcia wilgoci pomiędzy udami! Lubił kobiety jak każdy i zaznał rozkoszy z niejedną, ale nie pamiętał niczego równie obezwładniającego.

Ellie tak osłabła i zagubiła się w półśnie, że dopiero po paru minutach dotarło do niej, że ramię Justina, na którym oparła głowę, nie jest już bynajmniej rozluźnione. Pomimo tego oddychał spokojnie.

Podniosła głowę. Justin miał marsowe czoło i zaciśnięte zęby. Nie wyobrażała sobie, żeby

tak wyglądała twarz zaspokojonego kochanka. Zwilżyła wargi.

– Gniewasz się na mnie?

– Na siebie – poprawił szorstko.

– Ale dlaczego? – zdziwiła się.

– Naprawdę nie wiesz? – odpowiedział pytaniem.

Chwycił ją w talii i zsunął z siebie na siedzenie obok. Poprawił jeszcze dekolt i zapiął guziki na plecach, nim zajął się własną garderobą.

Ellie złączyła kolana drżących nóg, a przez jej ciało przebiegło echo rozkoszy.

Zarumieniła się, kiedy uświadomiła sobie, że jej bielizna jest wilgotna nie tylko za jej sprawą.

Nie wyobrażała sobie, że znowu znajdzie się w tak żenującej sytuacji. Raz jeszcze straciła przy nim władzę nad sobą i swoim ciałem.

– To się nie powinno było wydarzyć! – Księżę choć ten jeden raz zdobył się na odrobinę zrozumienia. – Nigdy by się to nie wydarzyło, gdyby nie...

Urwał nagle i wpatrzył się w ścianę powozu.

– Gdyby nie co? – chciała wiedzieć Ellie.

– Dość już długo nas nie było. Myślę, że powinnaś poprawić włosy i założyć czepek.

Odsunął zasłony i huknął znowu w dach.

– Do Royston House, Bilsbury.

Ellie patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, po czym odwróciła wzrok i wyjrzała za okno. Kryjąc łzy, poprawiła, jak chciał, swój wygląd.

Szorstki głos i surowa twarz dały jej wyraźnie do zrozumienia, że żałował tego, co się stało. Ona też żałowała, choć z innego powodu.

Mimo że fizycznie pozostawała nadal nietknięta, niewinność bez wątpienia utraciła.

Pragnęła już tylko jego miłości, a coraz bardziej była pewna, że doprowadzi ją to do zguby.

Nie znalazł słów, które mogłyby zmasać wyraz cierpienia z jej twarzy. Jego zachowanie było karygodne i niewybaczalne. Sprzeniewierzył się obowiązkom opiekuna.

Ubranie Ellie pozostawało ciągle w nieładzie, fryzura odbiegała od perfekcji, policzki miała blade, a usta czerwone od pocałunków. Justin bał się myśleć, w jakim stanie była jej bielizna.

Złamał dane sobie słowo, że więcej nie dopuści do takiej sytuacji. Na swoje usprawiedliwienie miał tyle, że pewnie do niczego by między nimi nie doszło, gdyby nie zobaczył, jak wesola była u boku Endicotta, gdy on sam nie mógł liczyć od niej na jedno spojrzenie sympatii.

Nie mógł tylko zrozumieć, dlaczego aż tak mu to dopiekło. Rozumując logicznie, im pręcej Eleanor wybrałaby sobie kogoś z tego pstrokatego towarzystwa, tym pręcej on miałby z głowy dodatkowe obowiązki, a problem jej pochodzenia i możliwego pokrewieństwa z tym szubrawcem Litchfieldem przestałby być jego problemem.

A przecież tego właśnie pragnął. Chciał powrócić do nieskomplikowanego życia sprzed jej poznania, oszczędzić sobie niezliczonych niedogodności i niekończącej się irytacji.

Przypomniał sobie jednak, że właśnie przed samym poznaniem Eleanor narzekał na nudę wiejącą od tego nieskomplikowanego życia. A nudy nie zaznał ani przez chwilę, odkąd babka poleciła mu zaopiekować się zapomnianą powinowatą.

Co było niezaprzeczalnie prawdą, choć musiał wziąć pod uwagę jeden drobny szczegół. Nie zaznał nudy, bo przez cały ostatni tydzień nie miał dla siebie ani chwili – na swoje uświęcone tradycją rozrywki. Już trzy razy odmawiał sobie wizyty w salonie boksterskim Jacksona. Przy lada okazji zamierzał odbić to sobie z nawiązką, choćby nawet i po to, żeby uodpornić się nieco na wdzięki Eleanor.

Skoro już podjął decyzję, zwrócił się ku innej palącej kwestii. Musiał rozładować niezręczną atmosferę wynikłą z ostatniego uchybienia.

– Nigdy nie ma filiżanki i spodka, kiedy są potrzebne...

– Nawet nie próbuj sobie robić z tego żartów – odwróciła się do niego, pałając złością. Skrzywił się boleśnie.

– Proszę, przyjmij moje przeprosiny... – Zamilkł, widząc srebrne strużki na jej policzkach. – Eleanor, czy ty płaczesz?

– Ani mnie nigdy nie dotykaj! – Wyrwała się, kiedy próbował się do niej przysunąć. – I nie myśl sobie, że płaczę z jakiegoś innego powodu niż wściekłość. Jaka jestem głupia, że się dałam znowu nabrać na twoje sztuczki wytrawnego uwodziciela!

Twarz Justina stężała na tę obelżywą insynuację. Patrzył na nią długo, a ona wpatrywała się w niego z wyzwaniem. W końcu wziął głęboki oddech i odsunął się na drugi koniec powozu.

– Tak lepiej?

– Znacznie – odparła z uniesionym podbródkiem.

Westchnął.

– Eleanor...

– Naprawdę wolałabym, żebyś się do mnie nie odzywał – przerwała mu drżącym z przejęcia głosem. – Nie mam siły o tym teraz rozmawiać.

Pokręciła głową zrezygnowana, składając ręce na podolku.

Justin był zaskoczony, że w ogóle się odzywają po przejmujących wrażeniach sprzed kilku zaledwie minut. Jego ciało zapadało w letarg. Marzył o gorącej kąpeli, żeby rozluźnić napięcia po tej niezwyklej przejażdżce.

– Dobrze, Eleanor. Lecz kiedy poczujesz się lepiej...

– Nie jestem chora, wasza książęca mość – zapewniła go i roześmiała się gorzko. – Przepelnia mnie tylko obrzydzenie i żal do siebie.

To, że znowu tytułowała go formalnie, świadczyło dobitnie, że życzy sobie jak największego dystansu.

– Pomimo tego – rzekł jak najdelikatniej – nie możemy odwrócić wzroku od sytuacji, która powtórzyła się pomimo naszych wysiłków.

Justin nie mógł przystać na to, by ich relacja ograniczyła się znowu do tego, czego doświadczał przez ostatnie dni, kiedy Eleanor unikała go jak ognia i prawie się słowem nie odzywała.

– Moja babka, jak sama dobrze wiesz, jest wyjątkowo spostrzegawczą i inteligentną damą. Bez trudu spostrzeże, że coś między nami zaszło.

Obrzuciła go spojrzeniem złych, szmaragdowych oczu. Róż wracał na jej policzki.

– Czy nie powinienesz być o tym pomyśleć wcześniej, wasza miłość?

Justin wypominał sobie nie to jedno. Powinien był myśleć wcześniej o wielu sprawach. Niezdolność do logicznego myślenia wskazywała jedynie na to, jak bardzo tracił przy niej głowę!

– Być może będziemy mieli szczęście i babka przypisze twoje oczywiste niezadowolenie mojemu despotycznemu zachowaniu i zakazowi odwiedzenia lady Littleton.

– Na pewno – zgodziła się chłodno.

Ale Justina nie zajmowało wcale, co pomyśli sobie lub powie babka. Dużo bardziej dręczyła go myśl, że Eleanor na zawsze pozostanie mu tak niechętna.

Ellie poczuła niesłychaną ulgę, kiedy powóz zajechał wreszcie pod Royston House. Nie czekając nawet, aż Bilsbury otworzy dla niej drzwiczki, wystrzeliła z powozu jak z procy, by jak najszybciej oddalić się od Justina.

Musiała też wziąć kąpiel i przebrać się przed powrotem do domu Edith St. Just. Księżna

rzeczywiście była spostrzegawcza i inteligentna. Wystarczyłby jej jeden rzut oka na stan fryzury i garderoby Eleanor, a odgadłaby natychmiast, jak przebiegła ich podróż.

Pozostało Ellie tylko mieć nadzieję, że księżna przebywała nadal u przyjaciół. Podczas przejażdżki całkiem zatraciła poczucie czasu, a herbatka u lady Cicely nie mogła się przeciągać w nieskończoność. Nie zniosłaby takiego upokorzenia.

– Wejdziemy razem, Eleanor. – Księżę wziął ją pod ramię i poprowadził szerokimi schodami pod drzwi domostwa.

Rzuciła mu rozwścieczone spojrzenie, tym bardziej że jak zawsze wyglądał nienagannie i elegancko. Nawet fryzurę miał idealnie zmierzwioną, gdy już w holu podał Stanhope'owi cylinder.

– Dziękuję, Stanhope, ale czepek i rękawiczki zabiorę ze sobą na górę. – Uśmiechnęła się do kamerdynera. – Czy mógłbyś posłać mi do pokoju gorącą wodę na kąpiel?

– Poproszę to samo – przyłączył się Justin.

– Naturalnie, wasza miłość, panno Rosewood. Zadbam o to bezzwłocznie. – Stanhope zawahał się z zatroskaną miną. – Pragnę poinformować waszą miłość, że mamy gościa.

Księżę uniósł pytająco brew.

– Kogóż to przyniosło?

Ellie też chciałyby poznać na to odpowiedź. Od roku znała Stanhope'a i jak dotąd ani razu, niezależnie od sytuacji, nie zdradził objawów najdrobniejszego choćby podenerwowania. Tymczasem oto zdradzał zaniepokojenie, i to ujmując rzecz łagodnie.

– Dzień dobry, Justinie.

Księżę wciągnął głośno powietrze, a Ellie popatrzyła, skąd dobiegł ten kobiecy i uwodzicielsko ochryply głos. Na widok stojącej we drzwiach pięknej i eleganckiej damy o blond włosach serce Ellie zabiło lękliwie.

Justin poznał ją od razu – choć widać było wyraźnie, że wolałby nie znać jej wcale.

ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Pierwsze słowa Justina potwierdziły w pełni to wrażenie.

– Co ty tutaj robisz? – warknął.

Ellie drgnęła na brzmienie jego głosu. Miała wrażenie, że gdyby ten ładunek gniewnej niechęci wymierzony był w nią, bezpowrotnie utraciłaby kawałek duszy.

Elegancka dama, stojąca we drzwiach do niebieskiego salonu, pozostała niewzruszona. Uśmiechnęła się spokojnie do Stanhope'a, który wycofywał się dyskretnie, po czym odparła kpiąco:

– Czy doprawdy musisz się odzywać do mnie tak szorstko, kochanie, po tylu miesiącach bolesnej rozłąki?

– A kto temu zawinił?

Tajemnicza dama uśmiechnęła się z żalem.

– W tym wypadku obawiam się, że ty sam, mój drogi.

Ellie miała wrażenie, że jej życie przeradza się w koszmar na jawie. Najpierw była szaleńcza miłość w powozie, która zakończyła się tak boleśnie, a teraz zjawiła się kobieta, z którą Justin w najoczywistszy sposób był związany. Kobieta o tyle piękniejsza i bardziej wyrafinowana od Ellie, że nie mogła ona mieć najśmielszej nawet nadziei, by kiedykolwiek jej dorównała.

Justin nie wierzył, by ten dzień mógł okazać się jeszcze większą katastrofą, lecz niezaprzeczalny dowód na jego pomyłkę stał właśnie przed nim. Ostatnią rzeczą, jakiej by mógł się spodziewać, jaką mógł w najgorszym koszmarze wyśnić, była ta właśnie kobieta, czekająca na niego po powrocie do Royston House.

– Nie przedstawiś nas sobie, Justinie? – Dama wpiła spojrzenie w Eleanor. – Choć może wolisz, żebym sama odgadła – podjęła po chwili, kiedy żadna odpowiedź nie padła z ust księcia.

– Mam zapewne przyjemność poznać pannę Eleanor Rosewood, uroczą młodą damę i przybraną córkę Fredericka St. Justa, którą Edith wzięła pod swoje skrzydła.

– Tak, jestem Eleanor Rosewood – przyznała zaskoczona Ellie.

Justin nie miał najmniejszej ochoty dokonywać prezentacji, ale w tej sytuacji nie miał już wyboru.

– Eleanor, pozwól, że przedstawię ci jej miłość Rachelę St. Just, księżną Royston. Moją matkę – powiedział głosem bez wyrazu. Eleanor popatrzyła na niego osłupiała.

– Twoją... matkę? – powtórzyła, zapomniawszy w oszołomieniu o wymogach konwenansów. Wpatrywała się cielecym wzrokiem w kobietę, która zdawała się za młoda na matkę ośmiolatka, a co dopiero dwudziestoosmioletniego mężczyzny.

Nigdy nie wyglądała na matkę – pomyślał gorzko Justin, rozumiejąc zdziwienie Eleanor. Gdy był dzieckiem, wydawała mu się piękna jak anioł. I to się nie zmieniło, mimo że zbliżała się już do pięćdziesiątego roku życia.

Złote włosy miała gęste jak zawsze, niebieskie oczy równie błyszczące, twarz i szyję nadal gładkie, a figurę wciąż doskonałą. Do twarzy jej było w niebieskiej sukni.

Justin nagle oprzytomniał. Od śmierci jego ojca przed trzema lat matka nosiła wyłącznie czerń na znak nieukojonego bólu i straty. I oto zjawiła się w rodowej siedzibie ubrana w modną jedwabną sukienkę w kolorze jej modrych oczu i podobnie niebieskie trzewiki.

Czyżby wreszcie opamiętała się w niekończącej się żałobie i postanowiła zarzucić udreki samotności?

Ellie wpatrywała się pustym wzrokiem w kobietę, którą Justin przedstawił jej jako swoją

matkę. Czy mogła się winić, że podejrzewała między nimi całkiem inną relację? Ta wysoka i piękna dama, jeśli oczom wierzyć, nie mogłaby być nawet jej matką!

– Żałuję, że nie miałyśmy okazji się poznać jeszcze za życia twojej świętej pamięci matki i Fredericka. Ale cieszę się, że okazja nadarzyła się teraz. – Rachel St. Just z ciepłym uśmiechem podeszła do Ellie i objęła ją krótko, otaczając wonią lekkich kwiatowych perfum. Miała nadzieję, że w chmurze zapachu zagubi się podejrzany aromat, który niewątpliwie zabrała ze sobą z powozu w fałdach sukni!

– Jesteś w każdym calu tak urocza, jak opisała mi cię w listach Edith.

– Babka pisała ci o Eleanor? – powtórzył Justin zdziwiony.

Zmarszczyła czoło, widząc jego niedowierzanie. Wpatrywał się w matkę podejrzliwie. Ellie zauważyła też, że księżna nie zdradziła chęci choćby tak ciepłego powitania z synem, jakie przypadło Eleanor.

Zastanawiała się, czy Justin nie odrzuciłby przejawów każdego cieplejszego uczucia ze strony matki, skoro ich relacje były tak trudne. Miała wrażenie, że cień bólu przemknął przez twarz Racheli St. Just, gdy się z nią witała.

Teraz jednak uśmiechała się serdecznie.

– Czy jest powód, dla którego nie miałybyśmy z Edith wymieniać korespondencji? – zdziwiła się.

– Żadnego – rzucił Justin lakonicznie. – Ciekawi mnie tylko, dlaczego z powodu listu o Eleanor zaszczycasz nas swoją obecnością.

– To nie był jeden list, Justinie – wyznała Rachel. – Od miesięcy Edith o niczym innym nie pisze. Uznałam, że już najwyższy czas poznać ten piękny wzór wszelkich cnót.

Ellie wypatrywała na twarzy Racheli śladu drwiny i cynizmu, tak ulubionych przez jej syna. Czowała, że trochę na wyrost nazwano ją wzorem piękna i cnót. Odpowiedział jej tylko ciepły i serdeczny uśmiech.

Za to na twarzy Justina cynizm i drwina malowały się z całą wyrazistością.

– Księżna wdowa jest zbyt łaskawa – odrzekła skromnie jego matce.

– Edith rzeczywiście jest łaskawa – zgodziła się Rachel – ale zapewniam cię, że w tym przypadku również prawdziwa.

– Naprawdę myślisz, że uwierzę, że porzuciłaś lata żałoby i odosobnienia na wsi tylko dlatego, że byłaś ciekawa Eleanor? – zapytał sarkastycznie Justin.

– A jaki miałby być inny powód? – zdziwiła się księżna.

– Czy babka nie wspomniała ci o swojej niedawnej niedyspozycji?

Naraz Ellie zrozumiała, do czego Justin zmierza. Obawiał się, że przyjazd matki związany był z posiadanymi przez nią pełniejszymi informacjami o stanie zdrowia babki. Miał powody przypuszczać, że tu kryje się prawdziwy powód jej zaskakujących najwyraźniej odwiedzin.

– Niestety będę musiała was opuścić. Czeka na mnie w pokoju kąpiel – przeprosiła Ellie. W holu zapadła krępująca, niezręczna cisza.

Justin popatrzył na Eleanor. Wiedział, że ich rozmowa daleka była od zakończenia. Tym razem jednak kwestie, które musiał poruszyć z matką, miały pierwszeństwo nawet wobec wyjaśnienia przyczyn ich skomplikowanej relacji. O ile jego relacja z Eleanor choć na chwilę przestała być skomplikowana!

Co mianowicie powinien zrobić z Ellie i swoim nawykiem uprawiania z nią miłości przy każdej nadarzącej się okazji, nie miał obecnie bladego pojęcia. Żar, jaki rozgorzał w nich obojgu podczas jazdy, a potem nagle pojawienie się jego matki z powodzeniem pozbawiły go zdolności logicznego rozeznania w sytuacji.

Przyjmował przy tym za pewnik, że wbrew komplementom Ellie nie czuła się dobrze

podczas rozmowy z Rachelą. Włosy miała w nieładzie, a sukienkę wymiętą, tym łatwiej wybaczył jej wymówkę.

Skinął głową.

– Porozmawiamy jeszcze przed kolacją.

Eleanor odwróciła wzrok.

– Mam lekką migrenę, wasza miłość. Wygląda na to, że będę musiała skorzystać z twojej rady i odpocząć w swoim pokoju.

Justin skrzywił się na jej słowa. Oboje wiedzieli, że nie radził jej w dobrej wierze, a raczej rozkazywał.

– Odwiedzę cię więc po kolacji.

Zwróciła na niego niechętnie spojrzenie.

– To nie będzie konieczne, wasza miłość. Zamierzam się położyć i obawiam się, że wkrótce zasnę.

Miała też cichą nadzieję, że kiedy się obudzi, minione popołudnie okaże się tylko złym snem.

Życie i dla Justina stawało się coraz trudniejsze do zniesienia. Martwił się chorobą babki, a teraz doszła niewyjaśniona przyczyna przyjazdu matki, podczas gdy Dryden Litchfield wcale nie przestał stanowić zagrożenia przy jego niejasnych powiązaniach z Eleanor.

Na nudę na pewno nie mógł się uskarżać. Raz jeszcze uświadomił sobie, że nie miał już czasu na tak błahe problemy.

– Dobrze. – Justin przeczesał dłonią włosy. – Jeśli jednak migrena się nasili, natychmiast poproś Stanhope’a, żeby posłał po doktora Franklina.

– Nie jestem dzieckiem, Justinie. Nie trzeba mi mówić, co mam robić.

Zarumieniła się ze wstydu, kiedy przypomniła sobie ich ostatnią sprzeczkę przy świadkach. Kąśliwy ton i użycie imienia zdradzało bliskość, której dotąd nie ujawnili przed nikim.

– Proszę waszą miłość o wybaczenie – zwróciła się raczej do Racheli niż Justina. Wyraźnie dała do zrozumienia, że jemu przeprosin nie jest winna. – Niestety nie jestem dziś całkiem sobą.

– Biedactwo! – zwróciła się do niej ze współczuciem matka księcia. – A może ja mogłabym wieczorem do ciebie zajrzeć?

Od swojego wybuchu Eleanor starała się Justina w ogóle nie zauważać. Czowała jednak ciężar jego poirytowanego wzroku. Zasłużyła sobie na to; w złości zatraciła wszelkie poczucie proporcji. I to w obecności jego matki!

– Oczywiście, wasza miłość – zgodziła się z wdzięcznością.

– Postaram się ciebie nie obudzić, jeśli stanę cię we śnie – zapewniła ją Rachel, puszczając mimo uszu jej niedawną nadmierną poufałość.

– Wasza miłość. – Ellie ukloniła się dwornie Racheli St. Just.

– Wasza miłość – pożegnała się chłodno z Justinem skinieniem głowy i nie czekając nawet na jego odpowiedź, umknęła przez hol i wbiegła po schodach.

Pomimo jednak całego pośpiechu jej uszu doszła jeszcze ostatnia uwaga księżnej.

– Czy chciałbyś podzielić się ze mną lub z Edith czymś o swojej podopiecznej, Justinie? Justin odprowadził Eleanor wzrokiem i dopiero gdy stracił ją z oczu, spojrzął na matkę.

– Czym na przykład? – zapytał chłodno.

Rachela westchnęła.

– Widzę, że wciąż masz do mnie żal.

– Ani trochę. Żal musiałby być wyrazem uczuć, które między nami w ogóle nie istnieją.

– To nieprawda! – broniła się księżna. – Zawsze bardzo cię kochałam, Justinie...

– Litości.

– Pozwól...

– Nie mam ochoty ciągnąć tej rozmowy w holu, gdzie każdy nas może usłyszeć.

Ruszył w stronę niebieskiego salonu. Przepuścił w drzwiach matkę, która zawahała się w progu, następnie wszedł do środka i zamknął drzwi.

– Mówiłam ci...

– Niestworzone historie. Że niby chciałaś poznać Eleanor? – Machnął ręką i stanął w oknie wychodzącym na front domu. – Zgodnie z moimi wiadomościami już rok Eleanor mieszka w Royston House. Skąd więc to nagłe zainteresowanie?

Rachela usiadła z gracją na jednej z sof.

– Edith wspomniała, że z twoją pomocą pragnie wprowadzić Eleanor do towarzystwa.

– A ty przybyłaś ofiarować swoją pomoc?

Pokręciła ze smutkiem głową.

– Chciałabym, żebyś nie zwracał się do mnie tak zgryźliwie.

Justin wziął głęboki oddech. Istotnie nie był nawet uprzejmy wobec kobiety, która wydała go na świat.

– Przepraszam, jeśli cię uraziłem.

– To już coś... Justinie, czy zdajesz sobie sprawę, że twój fular nieco się zdefasonował? – zapytała bez jawnej sugestii.

Wspominając niezwykłą podróż, Justin po prawdzie bardziej się dziwił, że tylko fular miał zdefasonowany.

– Rozmawialiśmy o twoim nagłym przyjeździe, a nie mojej garderobie – odparł i nawet nie spróbował poprawić materiału. Domysły matki posłał do diabła.

Rachela St. Just spuściła wzrok i przesunęła w zadumie paznokciem po szwie sof.

– Nie jest nagły, Justinie. Dawno już zrozumiałam, że jedno z nas musi spróbować wznieść most nad przepaścią, która nas dzieli. A kiedy nie odwiedziłaś mnie w tym tygodniu, choć miałam urodziny, uznałam, że to ja muszę wyjść do ciebie.

Justin kompletnie zapomniał, że w minionym tygodniu matka kończyła czterdzieści dziewięć lat. Był tak zajęty troską o zdrowie babki i emocjami, które narastały między nim a Eleanor, że nie wiedział już, jaki jest dzień tygodnia. Jak więc miał pamiętać o dacie urodzin?

Skrzywił się.

– Ponownie muszę cię prosić o wybaczenie.

Uniosła przekornie głowę.

– Wystarczy, że dasz mi zaległego całusa.

– Oczywiście. – Justin podszedł do niej i przelotnie dotknął ustami jej policzka. Nie była to wygórowana cena za tak rażące zaniedbanie.

Matka skinęła głową.

– Może więc usiądziesz przy mnie i opowiesz mi o panie Rosewood? – Poklepała znacząco siedzisko sof.

Zignorował wymowny gest i podszedł do jednego z foteli naprzeciwko wygasłego paleniska. Usiadł i przybrał rozmyślnie zrelaksowaną pozę.

– Czy babka nie jest pewniejszym ode mnie źródłem informacji o Eleanor?

– Nie sądzę...

Spojrzał na matkę ostro.

– Możesz mi wyjaśnić, co masz na myśli?

– Raczej nie.

Justin pamiętał, że Eleanor zjawiła się przed matką w nieco wymiętej garderobie, ale liczył, że przyczyny pozostały dla Racheli niejasne.

– Może więc wyjawisz prawdziwy powód twoich odwiedzin?

– A czy chęć ujrzenia syna nie wystarczy? – zapytała dotknięta.

– Z jakiegoś powodu szczerze wątpię.

– O Justinie, dlaczego zawsze musimy się kłócić?

– Może dlatego że nie bardzo się lubimy.

– Justinie! – Jej oczy zaszyły łzami. Podniosła się z pobladłą twarzą. – To takie okrutne!

Kocham cię. Zawsze cię kochałam!

On też zawsze kochał swoją matkę. Nawet kiedy się na nią złościł, kiedy go raniła i zaniedbywała, on wciąż ją kochał.

Lecz wszystkie te lata, kiedy całymi miesiącami nie widywał rodziców, wzniosły między nimi mur i Justin nie wierzył, by można go było obalić.

– Nie chcę być wobec ciebie okrutny, matko. Dlaczego nie przywykniesz, że dzieli nas już tyle spraw, że nie mamy ze sobą o czym rozmawiać?

Patrzyła na niego z napięciem przez łzy.

– Są sprawy... – głos jej załamał. Poszukała innych słów. – Pytałeś, dlaczego przyjechałam. Prawda jest taka, że kiedy zapomniałeś o moich urodzinach, postanowiłam...

– Niech to szlag, przecież przeprosiłem za swoje zaniedbanie.

Pokręciła głową.

– Nadal jest to zły sygnał. Martwię się o nasze relacje. Mam ci wiele do wyjaśnienia.

Masz prawo wiedzieć wszystko.

Zmarszczył brwi.

– Nic, co powiesz, nie zrekompensuje całych lat zaniedbywania, waszych niekończących się podróży po świecie.

– Mówisz o swoim ojcu! A nasze życie nie było beztroskie, choć mogło ci się tak wydawać. – Patrzyła na niego w bólu. – Bardziej jeszcze trudna była moja decyzja, żeby mu towarzyszyć. Zaczekałam najpierw, aż trafisz do szkoły, a zawsze miałeś Edith i George'a, gdybyśmy nie wrócili na święta.

– Dziadkowie nigdy nie zastąpią rodziców, choćby nie wiem, jak byli cudowni i kochający!

Temat był zbyt bolesny, żeby Justin mógł zachować spokój.

– Zostałam z tobą, póki nie skończyłeś dziesięciu lat i trafiłeś do internatu – argumentowała niespokojnie. – Nie pamiętasz tych lat w Hampshire, kiedy pływaliśmy, łowiliśmy ryby, a zimą jeździliśmy na łyżwach po sadzawce? I jak czekaliśmy razem, aż twój ojciec powróci z podróży... w interesach?

Zmierzył ją zimnym wzrokiem.

– Bardziej zapadły mi w pamięć późniejsze lata.

Rachela odpowiedziała zrezygnowanym spojrzeniem.

– Stałeś się nieprzejednanym i bezlitosnym mężczyzną, Justinie.

Wzruszył ramionami.

– Jestem taki, jakie było moje życie.

– W takim razie jest mi bardzo przykro. – Uśmiechnęła się blado. – Jesteś inteligentnym człowiekiem. Naprawdę nie pojmujesz, z jakiego powodu twój ojciec niemal przez całe twoje życie podróżował, najpierw do Indii, potem na kontynent? Jeśli nie liczyć, że się tam świetnie bawił? – zapytała z niezwykłą jak na siebie surowością.

Justin patrzył z zaciekawieniem. Nie miał pojęcia, do czego zmierzała ta rozmowa.

– Zawsze mi mówiono, że podróżował w interesach.
– Tak było.
– Więc nie rozumiem...
– To nie były jego własne sprawy!
– Czyje zatem? – Justin nawet nie usiłował kryć narastającej niecierpliwości. Ale teraz i jego matka wyglądała na poirytowaną.
– Naprawdę nie potrafisz zgadnąć?
Wpatrywał się w matkę ze złością, a ona nawet na chwilę nie odwracała od niego spojrzenia, jakby chciała, żeby sam znalazł odpowiedź.
Nagle Justin znieruchomiał pochylony w fotelu, kiedy dotarło do niego, jakie mogło być wytłumaczenie.
– Czy to możliwe... – Zamilkł i pokręcił głową. – Tyle lat... Czy mój ojciec służył jako agent Korony?
Ulga na twarzy matki powiedziała mu wszystko.

ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

– Wiem, że nie śpisz, Eleanor. Nie musisz udawać.

Ellie rzeczywiście nie spała. Słyszała, że drzwi jej sypialni otwierają się cicho i po chwili zamykają, ale miała nadzieję, że kimkolwiek był jej gość, pozostał w korytarzu.

Nie poruszyła się jednak pod stertą pościeli. Nie życzyła sobie kolejnej konfrontacji z Justinem. Liczyła, że jeśli nie odpowie, natręt wycofa się.

Kąpiel bardzo dobrze jej zrobiła, a Rachelą St. Just rzeczywiście odwiedziła ją w sypialni i poleciła Stanhope'owi posłać kolację do pokoju.

Wkrótce potem usłyszała turkot podjeżdżających powozów, które zabrały damy na wieczorek muzyczny lady Littleton. Minęło parę godzin, a ich wciąż jeszcze nie było. Ellie przypuszczała, że Justin będzie towarzyszył dawno niewidzianej matce, mimo że nie lubił takich przyjęć. Okazało się, że była w błędzie.

– Eleanor?

Uparcie zaciskała powieki, choć nawet przez nie przenikało światło świecy. Najwyraźniej Justin podszedł bliżej łóżka.

– Do diaska, czy już nie dość w tym domu kobiet, które unikają mojego towarzystwa? – mruknął ze złością.

Właśnie jego chłopięca zadzierzystość, a nie zwyczajna arogancja, sprawiła, że Ellie w końcu otworzyła oczy.

– Aha! – Justin wpatrywał się w nią zwycięsko z wysoko uniesioną świecą.

Przekręciła się na plecy i uniosła na poduszkach. Podciągnęła prześcieradło wysoko na piersi i spojrzała na niego ostrożnie. Po chwili zauważyła, że był rozchełstany i kamizelkę miał całkiem rozpiętą. Dostrzegła błyszczące oczy i nieco zaczerwienione policzki.

– Justinie, czy ty jesteś nietrzeźwy?

Zamrugał, znieruchomiał, po czym rozwinął tę myśl.

– Wypiłem do kolacji może butelkę brandy. A może dwie... sam już nie wiem...

Ellie ogarnęło rozbawienie na widok wyniosłego księcia Royston w nieszczególnie szlachetnym stanie. Justin ledwie stał na nogach.

– Usiądź może, zanim się przewrócisz... ale nie tam! – pisnęła, bo usiadł tam, gdzie stał, na brzegu łóżka, prawie miażdżąc jej nogi. Wykonała tak szybki unik, że prawie spadła. – Justinie, w ogóle nie powinno cię być w mojej sypialni!

– A to dlaczego? – Szerokim, acz niepewnym ruchem odstawił świecę na nocny stolik. Zajęło mu dłuższą chwilę, nim zebrał się w sobie i wyprostował. Następnie zamasyście zarzucił nogi na łóżko i rozciągnął się w butach obok Ellie. – Sufit naprawdę wiruje, czy ponosi mnie wyobraźnia?

– Justinie! – Ellie usiadła prosto. Zajrzało mu w oczy z marsową miną. Rozbawienie zdążyło się już ulotnić, a on nadal leżał koło niej na jej łóżku i poduszkach. – Justinie?

Nie otwierając oczu, uśmiechnął się zadowolony.

– Wychodzi na to, że już się całkiem oswoiłaś z moim imieniem.

– Justinie! – Ellie podniosła głos o kilka tonów, złapała go za ramię i potrząsnęła bez jakiegokolwiek skutku. – Musisz wstać i natychmiast stąd wyjść.

– Czemu muszę?

– Twoja matka i babka niedługo wrócą!

– Nie będzie ich jeszcze najmniej kilka godzin. – Zakrył usta i ziewnął. – A na dole

w bibliotece jest zimno i jestem sam. A tutaj jest ciepło i przytulnie... i z tobą.

Ellie znieruchomiała zaskoczona takim wyznaniem z ust dżentelmena, który wszem wobec dawał do zrozumienia, że najbardziej ceni sobie swoje własne towarzystwo i żadnego innego nie potrzebuje.

– Jak myślisz, dlaczego księżna wdowa i twoja matka obie unikają twojego towarzystwa?
– zapytała cicho.

– A muszą mieć jakiś powód? – Justin wzruszył ramionami.

Nie dała się zbyć. Nie mogła nie zauważyć, że Rachel St. Just była wzruszona na widok syna po tak długiej rozłące, a księżna wdowa skłonna byłaby wybaczyć wnukowi wszystko, odkąd ponownie zamieszkał w rodowej siedzibie.

– Dlaczego nie pojechałeś z nimi na wieczorek u lady Littleton? – dopytywała się.
Justin uchylił jedną powiekę, żeby na nią spojrzeć.

– Może i mam wyjątkowo ochotę na towarzystwo, Eleanor, ale tylko ostatni desperaci godzą się na takie tortury!

Skrzywiła się, słysząc jego nieprzejezdane obrzydzenie.

– Miałam na myśli raczej, że sprawiłbyś przyjemność matce i księżnej wdowie i może odzyskał ich względy.

Wzdrygnął się i zamknął oko.

– Aż tak mi na ich pochwałach nie zależy.

– Jak widać. – Ellie westchnęła ciężko. – To jednak wcale nie zmienia faktu, że nie możesz pozostać tutaj, w mojej sypialni.

– Ale dlaczego, skoro twoja sypialnia jest znacznie przyjemniejszym miejscem od mojej?

Ellie nie mogła się z tym zgodzić. Przeciwnie, kiedy księżna wdowa oprowadziła ją po raz pierwszy po domu, Ellie widziała również książęce komnaty. Sypialnia była wyposażona w ogromne łóże z baldachimem i granatowymi kotarami, gruzińskie meble i błękitnozłote dywany z Aubusson... Jej własna sypialnia był oczywiście przyjemna, ale cztery razy mniejsza, a w łóżku ledwie się mogli we dwoje pomieścić, leżąc wyprostowani obok siebie.

A tego akurat nie powinna nawet zauważać.

– Nie wierzę w ani jedno twoje słowo. A już na pewno nie powinieneś tu dłużej pozostawać... Justinie?

Przyglądała się niepewnie, jak książę leniwie obraca się w jej stronę. Uświadomiła sobie z niepokojem, że choć skryta pod pościelą, miała na sobie jedynie zwiewną koszulę nocną. Już teraz oglądał jej nagie ramiona nad kołdrą, na którą też nie mogła zbyt liczyć, bo Justin przyszpilił ją do łóżka swoim masywnym ciałem.

– Wiedziałaś, że nigdy w życiu nie oglądałem piękniejszych włosów niż twoje? – zapytał rozmarzonym głosem, biorąc kosmyk w palce. – Tak delikatne i jedwabiste w dotyku, a kiedy na nie patrzę, zdają się żywym ogniem...

Pozwolił jej włosom opaść swobodnie przez palce.

– Wiem, że to nie czas ani miejsce, żebyś czynił uwagi o moich włosach, choćby nie wiem jak szarmanckie.

– A kiedy mam je chwalić, jak na co dzień bezlitośnie ukrywasz je pod czepkiem?

– Nie zawsze. – Zaczerwieniła się, bo pamiętała dobrze, że ostatnim razem, kiedy mógł je oglądać, byli na przejażdżce, której zapewne do końca życia nie zapomną.

Uniósł się na łokciu, żeby w pełni podziwiać mleczną błądź jej skóry, która tak bardzo odcinała się od żywego ognia włosów.

– Nie widziałem ich tak dobrze dzisiaj w powozie. – Poglądził jej nagie ramię. – Jesteś bardzo piękna, Eleanor. A twoja skóra jest bardzo gładka...

Nie umiała ukryć drżenia, jakie wywołał jego dotyk.

– Nie jestem pewna, czy pamiętasz, ale unikam twojego towarzystwa.

Uśmiechnął się szelmowsko.

– Nie zapomniałem ani sekundy z dzisiejszego popołudnia.

Zaczerwieniła się jeszcze bardziej.

– Ja, na moje nieszczęście, też nie zapomniałam. I właśnie dlatego...

– Na twoje nieszczęście? – Chwycił ją mocniej za ramię. – Niezbyt pochlebnie odnosisz się do wspomnień o tym, jak uprawialiśmy dziś miłość.

– To się nigdy nie powinno było wydarzyć! – Wyrwała się z jego uścisku, zrzuciła z siebie kołdrę, skoczyła do krzesła i w okamgnieniu narzuciła na siebie szlafrok.

Justin bezwstydnie wykorzystał moment, w którym odsłoniła swoje prawie nagie ciało, żeby napawać się jej widokiem w prześwitującej nocnej koszuli. Tymczasem Eleanor zawiązała pasek, kryjąc swoje uniesione i jędrne piersi, smukłą talię i kształtne biodra oraz zgrabne nogi.

Żałował niezmiernie, że nadmiar wypitej brandy nie pozwala mu wykorzystać nalezycie nadarzającej się okazji.

Jęknął ponuro, nie podnosząc się ze sterty puchowych poduszek i zasłonił oczy ramieniem.

– Czy tu nie jest aby za jasno?

– Jesteś kompletnie ubzdryngolony!

Mruknął na zgodę. Nie musiał podnosić wzroku, żeby wiedzieć, że Eleanor patrzy na niego z nieprzejednaną dezaprobatą.

– Czy nietrudno mi się dziwić po wszystkim, co się wydarzyło dzisiejszego wieczoru? – rzekł szorstko. – A na tym wcale nie koniec; wygląda na to, że będę bez końca nękany pożądaniem do kobiety, która żadną miarą nie może zostać moją kochanką!

Ellie nie wiedziała, czy ma ją na myśli. Ale jeśli tak, to całkowicie się z nim zgadzała. Nie miała najmniejszego zamiaru zostać jego kochanką ani też kochanką jakiegokolwiek innego mężczyzny, i to nieważne, jak bardzo nękanego pożądaniem.

Wzięła szybki wdech.

– Opuści pan natychmiast moją sypialnię! – rzekła ostrym i zdecydowanym głosem.

– Nie da rady – zabełkotał w odpowiedzi.

– Co to znaczy, nie da rady? – Nie przestawała świdrować Justina wzrokiem. Stała nad łóżkiem, na którym on spoczywał w eleganckiej pozie i nie mogła się zdecydować, czy bardziej go potępia, czy podziwia. Pomimo wymiętej garderoby i jawnego zmęczenia wyglądał wciąż niespotykane przystojnie.

A może właśnie dzięki temu? W tym nieświeżym stanie Justin bardziej niż zwykle przypominał upadłego anioła.

Rozwarł raz jeszcze powieki, po czym odparł:

– To znaczy, droga Eleanor, że skoro mój ptak nie jest zdolny stanąć na wysokości zadania, mimo że widziałem dobrze twój cudny wręcz negliż, możesz być całkiem spokojna, że inne moje części również się nie ruszą.

Ellie poczuła, że rumieni się z zażenowania.

– Zachowujesz się oburzająco, a twój język jest... odrażający! Będiesz tego na pewno rankiem gorzko żałował. Naprawdę uważam, że zasługujesz na ten straszny ból głowy, który niewątpliwie cię jutro powali, Justinie! – zaprotestowała, kiedy złapał ją za nadgarstek i gwałtownie przyciągnął do siebie, aż się zatoczyła i przewróciła z powrotem na łóżko obok niego. – Natychmiast przestań!

Walczyła, kiedy próbował położyć ramię na jej piersi i nogę na udzie, żeby ją

unieruchomić.

Rzucił niecierpliwe spojrzenie.

– Niech to szlag, nie mogłabyś chociaż raz się ze mną nie siłować i mi pomóc?

Przestała się szamotać. Zrozumiała nagle, że tym razem nie stara się do niej intymnie zbliżyć, a tylko próbuje ją uspokoić. A że nie była całkiem odporna na jego bliskość, to już wynikało z jej własnej słabości.

– A w jakiż to sposób ja mogłabym ci pomóc? – zapytała, starając się ironiczną emfazą zakamuflować zawstydzenie.

Spojrzał na nią poirytowany.

– Jesteś kobietą, prawda?

– Wydawało mi się, że nie musisz mi już zadawać tego pytania... – Uniosła brwi z udawanym zdumieniem.

– Otóż to! – Pokiwał głową zadowolony. – No i jako kobieta wiesz pewnie najlepiej, jak myślą kobiety.

– Wiem, jak sama myślę. Wcale nie jestem taka pewna co do innych dam.

– W świetle faktu, że jesteś jedyną kobietą dostępną mi w obecnej chwili, będziesz mi musiała wystarczyć. – Odetchnął, żeby uspokoić nerwy, i wpatrzył się ponownie w sufit sypialni. – Wyjaśnij mi więc, o ile potrafisz, dlaczego kobieta, która przez pół życia okłamywała swoje dziecko, nagle, gdy ostatecznie postanowiła wyjawić mu prawdę, oczekuje, że padnę na kolana i będę u jej stóp błagał o wybaczenie?

Ellie wpatrywała się w niego, dostrzegając wyraźnie w jego rysach znamiona bólu.

– A czy ta kobieta, o której mówisz, to przypadkiem nie twoja matka?

Skinął głową.

– Całymi latami wierzyłem, że matka i ojciec tak bardzo kochają się nawzajem, że nie ma w ich życiu miejsca na uczucie do ich jedyne dziecko. Czyli mnie. – Wyjawiał głosem ochryplym od duszonych emocji. – I oto dzisiejszego wieczoru matka powiedziała mi... Czy mogę liczyć na twoją dyskrecję? Nie możesz nikomu o tym mówić.

– Oczywiście – potwierdziła urażona, że w ogóle musiał pytać.

Pokiwał głową, trochę wytrącony z toku myśli.

– Otóż dzisiaj dowiedziałem się – podjął – że mój ojciec był bohaterem i przez wiele lat w ścisłej tajemnicy służył Koronie, o czym moi dziadkowie i matka od początku doskonale wiedzieli. Raz za razem ryzykował życie, a matka od pewnego czasu też brała w tym udział. Nalegała, żeby być przy nim, kiedy już podrosłem na tyle, żeby pójść do szkoły z internatem. We dwoje przekazywali panującym informacje, które pozwoliły ocalić wielu ludzi.

Z mieszanej bólu i dumy w głosie Justina Ellie wywnioskowała, że sam jeszcze nie wie, które uczucie lepiej określa stan jego duszy. Nic dziwnego, uznała. Stał się cyniczny i nieczuły, ponieważ miał o swoich rodzicach opinię, która okazała się bardzo daleka od prawdy.

Jego słowa potwierdziły też przecucia Ellie co do powodu, dla którego Justin postanowił, żeby ożenić się z kobietą, której nie będzie kochał, po to jedynie, aby zapewnić kontynuację rodu. Jaki mężczyzna, wierząc, że z powodu ogromnej wzajemnej miłości rodziców został wykluczony z ich życia, chciałby podobny los zgotować swojemu dziecku?

Zwilżyła usta koniuszkiem języka, starając się jak najuważniej dobrać swoje następne słowa.

– Jestem przekonana, że zarówno twoja matka, jak i księżna wdowa doskonale rozumieją, że potrzebujesz czasu, żeby się w tym odnaleźć.

Justin popatrzył na nią udręczonym wzrokiem.

– Jak byś się sama poczuła, gdybyś dowiedziała się, że twój ojciec był innym

człowiekiem, niż przez całe życie sądziłaś?

Ellie wzruszyła ramionami.

– Miałabym nadzieję, że uda mi się jakoś oswoić z tą prawdą.

Oczy Justina rozbłysły ze złości.

– To chyba zależy od tego, kim jest twój ojciec.

– Był... – poprawiła go cicho.

– No, tak – zgodził się niezręcznie.

– Ale wszystko wskazuje na to, że twój ojciec okazał się swego rodzaju bohaterem – podjęła ostrożnie. Wyczuwała, że nie całkiem dobrze się rozumieją, jakby każde z nich mówiło trochę o czym innym. – A ja mam powody wierzyć, pomimo że nigdy go nie widziałam na własne oczy, że mój ojciec był przynajmniej człowiekiem honoru.

– Tak.

– Chyba że... – przyjrzała mu się uważnie – ...doszły cię inne słuchy?

Za późno Justin się zorientował, że jego własne rewelacje na temat matki i ojca, przy wydatnym współudziale wypitej w nadmiarze i niemal na czczo brandy, rozwiązały mu język. W zwyczajnych okolicznościach nigdy by nie pozwolił sobie na to, aby zasiać wątpliwości w głowie Ellie.

O ileż cięższe byłyby dla niej te myśli, gdyby wiedziała, że zarówno Justin, jak i hrabia Richmond podejrzewają o ojcostwo Drydena Litchfielda, który miał dokonać gwałtu na jej matce!

Nurzał się kosztem Eleanor w żalu nad sobą, wywołanym zapewne nadmiarem alkoholu, który w trakcie rozmowy zdążył mu już całkiem wywietrzeć z głowy. Tymczasem jego ojciec był wielkim bohaterem, jego matka również, i oboje spędzili wiele lat na podróżach do często wyjątkowo niebezpiecznych miejsc.

Justin czuł się jak samolubny głupiec. Zamiast upijać się do nieprzytomności powinien był paść tego wieczoru na kolana przed matką i dziękować jej za wszystko, co musieli z ojcem poświęcić w imię króla i ojczyzny.

Matka miała oczywiście rację, że pozwolił sobie zapomnieć te wszystkie lata, zanim poszedł do szkoły. Były to lata szczęśliwe, miał dla siebie całą uwagę i cały matczyzny czas, tygodniami i miesiącami dzielony razem z ojcem, który z radością przyłączał się do ich radosnego życia.

Eleanor za to nie wyniosła z dzieciństwa żadnych wspomnień o swoim ojcu. Frederick okazał się oczywiście żadnym opiekunem i ojcem zastępczym, pomyślał gorzko. A ten, którego ewentualnie mógł jej sam Justin przedstawić, Dryden Litchfield, był prawdziwym potworem.

– Nie słyszałem złego słowa o Henrym Rosewoodzie – odrzekł ostrożnie.

– Ale przed chwilą zdawałeś się sugerować coś innego?

– Jeśli tak, to jestem ci winien przeprosiny. Zapewniam cię, że to jedynie pijacki bełkot. – Zdjął obute nogi z łóżka i usiadł. – Przepraszam cię też, że zakłóciłem twój wypoczynek, Eleanor. Czas na mnie. Muszę się udać do swoich pokojów, gdzie postaram się odespać nadmierną pobłażliwość wobec mojej słabości do trunków.

Ellie nie miała wątpliwości, że kiedy ją odwiedził, znaczne ilości alkoholu istotnie płynęły w jego żyłach. Teraz już sprawiał inne wrażenie. Nie podobał się jej też obrót, jaki przybrała ich rozmowa, szczególnie że Justin skwapliwie zmienił temat, jakby chciał coś przed nią ukryć. Jakby nie zamierzał się dzielić czymś ważnym, ale bolesnym.

Następna uwaga w najmniejszym stopniu nie rozwiała jej podejrzeń.

– Dobry Boże, jak się zrobiło późno! – Justin wpatrywał się z wielkim napięciem w zegarek z dewizką, który wyciągnął dramatycznym gestem z kieszonki kamizelki. – Masz

rację, moja matka i babka mogą wrócić w każdej chwili. Nie mogą mnie zastać w twojej sypialni!

Schował błyskawicznym ruchem zegarek i podniósł się do wyjścia.

Ellie siedziała z podkulonymi nogami u wezgłowia i patrzyła na niego niepewnie.

– Justinie... gdybyś dowiedział się czegoś... czegoś, co mogłoby zaszkodzić księżnej wdowie w towarzystwie, to podzielilibyś się ze mną tym, prawda?

Justin obrócił się do niej nagle.

– A o swoją reputację nie dbasz?

Wzruszyła ramionami.

– Do niedawna żyłam w towarzyskim niebycie. Z radością powrócę w ten niebyt, ale nie zniosłabym myśli, że przyniosłam jakikolwiek wstyd księżnej wdowie, a także tobie czy twojej matce.

Twarz Justina złagodniała.

– I naprawdę nie żałowałabyś żadnej znajomości, którą nawiązałaś?

Z początku niechętnie, Ellie musiała jednak przyznać, że żałowałyby bardzo.

Serdeczności i życzliwości Edith St. Just, a teraz również jej synowej. Znajomości z Magdaleną Matthews, która stała się jej bardzo bliska i droga ostatnimi dniami, tym bardziej że nigdy nie miała żadnej prawdziwej przyjaciółki.

Tęskniłaby też za Justinem...

Nie cały czas poświęciła tego wieczoru na kąpiel i kolację. Zdążyła też zastanowić się poważnie nad swoimi uczuciami. Zrozumiała, że choć może wolałaby, aby było inaczej, to jednak kochała go do tego stopnia, że nawet gdyby została odrzucona przez towarzystwo, mogłaby przystać na jego propozycję i zostać jego kochanką, byleby tylko nadal go widywać.

– Tęskniłabym za rodziną St. Just – odparła szczerze. – Wszyscy byliście dla mnie tak dobrzy...

– Ja wcale dobry dla ciebie nie byłem! – zaprzeczył ostro Justin.

– Ależ byłeś... – Spojrzała na niego czule, ale zaraz dodała: – Masz co prawda dość... niecodzienne sposoby okazywania dobroci. Mimo to zrobiłeś bardzo dużo, żebym miała szansę stać się częścią londyńskiej śmietanki towarzyskiej.

Justin musiał się z tym zgodzić, ale wiedział też coś, co mogło sprawić, że cała socjeta zaczęłaby jej za wszelką cenę unikać.

Cholera by to wzięła! – pomyślał, zaciskając zęby. Musiał rozwiązać sytuację z Litchfieldem, i musiał to zrobić szybko!

ROZDZIAŁ SZESNASTY

– Trzeba coś zrobić z Litchfieldem, Richmond. I to szybko! – wyrzucił z siebie zdyszany Justin następnego wieczoru, wpatrując się nad gardą w przeciwnika. Trenowali właśnie w salonie bokserskim Jacksona.

– Zgoda... jeśli dzięki temu zarzucisz swoje mordercze zapędy wobec mnie! – odparł z przekąsem lord Bryan Anderson po tym, jak przyjął wyjątkowo nieprzyjemny prosty w szczękę. Obaj byli półnaczy i oczekali potem.

Justin odskoczył.

– Niech to szlag! Wybacz, Richmond. – Wyprostował się i uklonił sztywno, dając sygnał do zakończenia walki.

Hrabia Richmond spoglądał z ukosa na księcia, kiedy szli po swoje ubrania. Choć dużo starszy od Justina, lord Anderson był w świetnej formie. Sprawiałby wrażenie niemal jego rówieśnika, gdyby nie przedwcześnie posiwiła czupryna, zadająca kłam rudozłotemu owłosieniu na muskularnym torsie.

– Twoja troska o podopieczną jest godna podziwu... – zagaił Richmond.

Justin momentalnie przestał się wycierać ręcznikiem i spojrzał podejrzliwie na przyjaciela.

– Co sugerujesz?

Richmond stłumił śmiech.

– Jest piękną młodą damą...

– ...i prawdopodobnie córką człowieka, którego można podejrzewać o wszystko prócz tego, że jest dżentelmenem.

Hrabia usiadł ciężko na ławie.

– Czy z tego powodu inaczej już na nią patrzysz?

– Nie gadaj bzdur! – zezłościł się Justin.

– Niektórzy mogliby sądzić...

– Niektórzy nie umieliby rozpoznać brylantu, gdyby mieli go przed oczami. – Gniewny grymas Justina skrył się na chwilę w cieniu koszuli, którą założył przez głowę.

– Ale ty umiesz?

Justin uśmiechnął się półgębkiem.

– Do tego stopnia, że poważnie się zastanawiam... – ugryzł się w język, żeby uniknąć niedyskrecji.

– Chciałeś coś powiedzieć? – zaciekawił się Richmond.

– Nie można pociągać Eleanor do odpowiedzialności za to, kim jest jej ojciec – zmienił szybko temat Justin.

– Nawet jeśli naprawdę okazałby się nim Litchfield?

– Nawet w takim wypadku – potwierdził ponuro Justin. Zdarzenia poprzedniego wieczoru, gdy w przypływie alkoholowej szczerości zwierzył się Eleanor, uświadomiły mu dobitnie, jak głębokie, choć ukryte, żywił do niej uczucia.

Wyznanie matki o ojcu najwyraźniej zachwiało jego światopoglądem do tego stopnia, że nie umiał już dłużej ukrywać przed sobą prawdy.

Dotąd był zbyt zdeterminowany, by uniknąć emocjonalnego zaangażowania z jakąkolwiek kobietą. Dopiero kiedy po powrocie z jej sypialni, całkiem już trzeźwy, usiłował bez większych sukcesów przywołać sen, pojął zmiany, jakich Eleanor zdążyła już dokonać

w jego życiu.

Przede wszystkim ponownie zamieszkał w Royston House po latach nieprzejdanego sprzeciwu. A to właśnie troska o bezpieczeństwo Eleanor, szczególnie wobec groźby, że Litchfield znowu zapragnie ją zobaczyć, zdecydowała o jego przeprowadzce do siedziby rodu.

Ta sama troska kazała mu głębiej się zastanowić nad swoimi motywami, co doprowadziło go do jeszcze bardziej wstrząsającego odkrycia.

– To ciekawostka – podjął Richmond – zważywszy na rozwiąłość Litchfielda i jego brak poszanowania dla woli kobiety, że po Anglii nie biega więcej bękartów tego brutalnego lubieżnika.

Justin wzruszył ramionami.

– Nie wiemy, czy tak nie jest.

– To może dobrze byłoby dołożyć wszelkich starań, żeby się tego dowiedzieć?

– A w jakim celu? – zdziwił się Justin.

– Mam swoje powody – odparł niefrasobliwie Richmond, nagle bardzo zajęty zapinaniem kamizelki.

– Jak na przykład? – nie dawał za wygraną Justin.

– Wolę o tym na razie nie rozmawiać.

– Jasna cholera, Richmond! – wybuchnął Justin. – Jeśli wiesz cokolwiek, co mogłoby świadczyć, że Litchfield bynajmniej nie jest ojcem Eleanor, okaż trochę litości i podziel się tą wiedzą!

– A dlaczego to jest dla ciebie takie ważne? – chciał wiedzieć hrabia.

Justin odwrócił wzrok.

– Moja babka bardzo sobie ceni towarzystwo Eleanor...

– A ty nie? – dopytywał się Richmond.

– Pilnuj własnego nosa – wycedził Justin przez zęby.

– Wybacz, że to powiem, ale odnoszę przemożne wrażenie, że ty też bardzo sobie cenisz towarzystwo panny Rosewood.

Księżę wbił w przyjaciela wyjątkowo nieprzyjazne spojrzenie.

– Na zbyt wiele sobie pozwalasz, Richmond!

– Jako że panna Rosewood poza twoją rodziną nie ma nikogo na świecie, żywię nadzieję, że nie pozwoliłeś sobie na zbyt wiele – odparł spokojnie hrabia.

Justin wyprostował się groźnie.

– Jestem ci wdzięczny za zeszlotygodniową pomoc, Richmond, i zawsze miałem cię za kogoś więcej niż tylko znajomego, ale to nie daje ci prawa pytania o naturę mojej relacji z Eleanor – odparł w pełni świadomy, że sam na te pytania nie zna jasnej odpowiedzi.

Spojrzenia obu mężczyzn zderzyły się w milczącej walce woli, ale to Richmond w końcu z westchnieniem zrezygnował.

– Wybacz, jeśli cię uraziłem, Royston – skłonił się po żołniersku.

– Przyjmuję twoje przeprosiny. – Justin się uśmiechnął. – O ile moja propozycja nie jest poniewczasie, pragnę zaprosić cię na kolację w Royston House. Na własne oczy przekonasz się, jak źle traktujemy Eleanor.

– Nigdy bym nie oskarżył ciebie lub twojej rodziny, że z kimkolwiek się źle obeszlście.

– Liczę jednak, że pozwolisz mi na odstępstwo od tej reguły z Litchfieldem, jeśli okaże się to konieczne? – zapytał Justin, znacząco rozcierając kłykcie.

– Miejmy nadzieję, że do tego nie dojdzie. – Richmond skrzywił się z niesmakiem. – Słyszałem, że twoja matka wróciła bez zapowiedzi do miasta.

– Rozumiesz więc, że masz niejako obowiązek ocalić mnie przed kolejnym wieczorem

w wyłącznie żeńskim towarzystwie.

Hrabia uśmiechnął się cierpko.

– Skoro tak, to będzie mi niezmiernie miło wieszerać dzisiaj w towarzystwie twoim i twojej rodziny.

– Zatem jesteśmy umówieni. – Justin był już gotów do wyjścia. Z zadowoleniem przyjął zgodę hrabiego. – Tak się składa, że oczekuję na kolejny raport o Litchfieldzie. Będziemy go mogli omówić, kiedy już damy pozwolą nam oddać się cygarom i brandy.

Kiedy jednak przypomniał sobie o pulsującym bólu głowy, który obudził go około południa i nadal nie całkiem dał mu spokój, Justin postawił brandy pod znakiem zapytania.

– Nie miałam pojęcia, że tak dobrze znasz się z Richmondem! – Księżna wdowa wpatrywała się z uwagą we wnuka, kiedy rodzina zebrała się w błękitnym salonie w oczekiwaniu na przybycie gościa.

Dopiero teraz Ellie zobaczyła się z Justinem po raz pierwszy, odkąd odwiedził ją zeszłego wieczoru. Wyszła z domu, zanim zdążył wstać, i żałowała, że nie mogła nacieszyć się widokiem prorokowanego poprzedniego dnia katzenjammeru.

Teraz jednak nie wyglądał na szczególnie cierpiącego.

Sam jego widok w czarnym wieczorowym garniturze i śnieżnobiałej koszuli, w świetle ostatnich promieni zachodzącego słońca wystarczył, aby serce Ellie zabiło szybciej, zresztą ku jej irytacji.

Poprzedniej nocy długo nie mogła zasnąć po jego wyjściu i zastanawiała się nad wszystkim, co jej powiedział. Zrozumiała, w jaki sposób te przeżycia musiały ukształtować jego poglądy na małżeństwo.

Bez trudu umiała sobie wyobrazić, jak Justin, będąc małym chłopcem, przeżywa nieobecność rodziców i obarcza uczucie, które ich łączyło, winą za swoje opuszczenie i samotność. Stąd też brał się jego zatwardziały opór przed małżeństwem.

Niestety wnioski te nie zmieniły ani na jotę jej uczuć.

Co gorsza, dziewczęce zauroczenie sprzed kilku tygodni, które mogła łatwo zrzucić na karb jego arogancji i imponującej prezencji przerodziło się w głęboką i skorą do poświęcenia miłość. Czowała, że serce jej pęknie, kiedy będzie musiała go opuścić. A była przekonana, że ten dzień wkrótce nadejdzie. Nie mogła nawet myśleć o tym, że miałyby poślubić innego mężczyznę, a cierpiałaby straszliwie, patrząc na nieunikniony ślub Justina.

– Mówicie przypadkiem o lordzie Bryanie Andersonie?

Eleanor siedziała we wzorcowo skromnej pozie w fotelu obok nierozpalonego kominka. Justin obserwował ją ukradkiem. Podziwiał mleczną skórę piersi w dekolcie ciemnoszmaragdowej jedwabnej sukni, która doskonale współgrała z kolorem jej oczu i podkreślała bogactwo odcieni mieniących się włosów.

Odwrócenie od niej wzroku i odpowiedź na pytanie matki wymagało od niego nie lada wysiłku woli.

– Ostatnimi czasy znowu zaczął bywać... Jego żona zmarła już ponad rok temu.

– Nie wiedziałam, że hrabina nie żyje... – zasępiła się Rachel St. Just.

– Może dlatego że od trzech lat nie wyściubiasz nosa ze wsi? – wytknęła jej księżna wdowa.

– Tak – zgodziła się jej synowa nieobecnym głosem.

Justinowi nie przyszedł do głowy jakikolwiek powód, dla którego śmierć nieszczęsnej żony Richmonda mogła mieć znaczenie dla kogokolwiek z jego rodziny.

– Justin wydaje się całkiem speszony! – księżna wdowa roześmiała się cicho.

Wesołość babki nie umknęła jego uwadze, choć Justin nie znał jej powodu.

– Matko? – rzucił widząc, jak Rachela się rumieni, co było prawdziwym ewenementem.
– Mój chłopcze, tyle się ostatnio dowiadujesz... – podjęła babka z rozbawionym współczuciem. – Drogie dziecko, gdyby Rachela nie spotkała Roberta i nie trafił jej amor, twoim ojcem zamiast niego mógł być Richmond!

Chociaż Ellie nie brała udziału w tej rozmowie, śledziła jej przebieg z dużym zainteresowaniem. Po chwili ciekawość ustąpiła miejsca zaniepokojeniu, gdy Justin zareagował na wiadomość, jakby go trafił piorun.

Wiedzioną instynktem podniosła się z fotela i podeszła do niego w obawie, że kolejna rewelacja może się okazać za dużym ciężarem nawet dla niego. Jej przeczucia po chwili sprawdziły się, bowiem Justin ukrył twarz w dłoniach i kręcił z niedowierzaniem głową.

Zaraz jednak opuścił ręce, ukazując szelmowski uśmiech.

– Może jeszcze nie jest za późno, mamó? W końcu oboje jesteście znowu na wolności!

– Justinie! – Rachela prawie zaniemówiła, rumieniąc się.

Tymczasem Justin uśmiechnął się dwa razy szerzej.

– Mógłby ci się trafić znacznie gorszy kasek, mamó. Spotkałaś Richmonda na balu, prawda, Eleanor? – Obrócił się do Ellie i popatrzył na nią czule, choć nadal z psotnym błyskiem w oku.

Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Tańczyłam z nim kadryla, o ile dobrze pamiętam. To niezwykle czarujący i przystojny dżentelmen.

– Ale mam nadzieję, że nie za bardzo czarujący? – przekomarzał się dalej Justin.

Teraz to Ellie się zarumieniła.

– Po ojcowsku – wyjaśniła szybko.

Justin popatrzył na nią z podziwem. Nie miał okazji z nią porozmawiać sam na sam, odkąd odwiedził ją zeszłego wieczoru w stanie niegodnym dżentelmena i nie był pewien, jak będzie się do niego odnosiła. Ale poczuł przypływ nadziei, kiedy przed chwilą podeszła do niego, jakby chciała go wesprzeć przy kolejnych nowinach.

Była to dla niego ironia losu, skoro to ona potrzebowała jego ochrony, i to czasem nawet przed nim samym!

– Sama widzisz, mamó – odezwał się. – Masz błogosławieństwo nie tylko moje, ale i Eleanor, gdybyś postanowiła...

– Doprawdy, Justinie, to całkiem nieodpowiednie zachowanie i niewłaściwy temat rozmowy, szczególnie że hrabia lada chwila może się pojawić – upomniała go surowo matka.

Justin uśmiechnął się bez cienia skruchy.

– Chciałem tylko cię zapewnić, że możesz liczyć na moje pełne zrozumienie i poparcie, gdybyś chciała... odnowić znajomość z Richmondem.

Nigdy jeszcze nie widział swojej matki tak speszonej.

– A ja cię zapewniam – odparła – że nie ma powodu, żebyś mnie o czymkolwiek zapewniał. Nie zamierzam być dla hrabiego Richmond nikim więcej niż matką jego przyjaciela.

– Nadal jesteś bardzo piękną kobietą, Rachelo – wtrąciła się księżna wdowa.

– Czyście wszyscy poszaleli? – zawołała jej synowa, załamując ręce.

– Ach, czyż to nie cudowne szaleństwo, mamó? – Justin nie mógł się oprzeć, by nie dotknąć Eleanor choćby najniewinniej. Położył mimochodem rękę pod jej łokciem.

Eleanor wydała się zbita z tropu.

– Chyba przybył hrabia – powiedziała cicho.

Justin nie był co do tego przekonany, choć i on usłyszał podniesiony głos w holu. Dał się słyszeć Stanhope, który spokojnym tonem starał się załagodzić sytuację, ale zaraz nastąpił

kolejny gniewny potok słów.

– Justinie, dowiesz się, co się stało? – zapytała księżna wdowa niepewnie.

Skinął głową.

– Zaczekajcie tutaj – polecił damom i zdecydowanym krokiem ruszył w stronę drzwi. Nie zdążył jednak sięgnąć klamki, kiedy drzwi rozwarły się z hukiem i stanął w nich wyraźnie rozwścieczony Dryden Litchfield z wyjątkowo roztrzęsionym Stanhope’em za plecami.

– Za kogo ty się, u diabła, uważasz, Royston! – warknął, mierząc Justina pogardliwym spojrzeniem.

– Jesteś w towarzystwie dam, Litchfield – odparł Justin z morderczym spokojem.

– Gdybyś przyjmował rodzinę królewską, to tak samo by mnie to obeszło – uniósł się Litchfield. – Masz cholerny tupet, że grzebiesz w moim życiu...

– Raz jeszcze ci przypominam o obecności dam! – Z trudem opanował się Justin. Miał nadzieję, że obejdzie się bez policzenia natrętowi żeber, bo byłoby to podobnym nietaktem wobec kobiet co rzucające przez niego przekleństwa.

Litchfield prychnął lekceważąco.

– Na pewno same dobrze wiedzą, jaka z ciebie wścibska kanalia...

– Niech pan natychmiast opuści ten dom wraz ze swoim plugawym językiem! – Rzekała księżna wdowa, spoglądając władczo na intruza. Ton tej rozmowy wyprowadził ją już z równowagi.

Litchfield rzucił jej szyderczy uśmiešek.

– Wszyscy się macie za lepszych...

– Może dlatego że są lepsi! – wcięła się Eleanor. – Na pewno od pana, i to pod każdym względem.

Justina rozpierała duma. Patrzył jak urzeczony na Eleanor, która nie dała się zastraszyć i z dumnie uniesioną głową wyraziła swoje zdanie.

– Nie igraj tu ze mną, paniusiu. Wszyscy wiemy, że twoja mamuśka to był kawał...

– Dość tego, Litchfield! – zagrmiał w holu jeszcze jeden głos.

Ellie zerknęła za plecy Litchfielda i ujrzała hrabiego Richmond nadciągającego z rozwianą peleryną przez hol jak burzowa chmura gnana wichurą. Jego twarz aż pociemniała od gniewu.

– Proszę panie o wybaczenie, że pozwoliłem sobie się wtrącić. – Ukłonił się szybko i ponownie zwrócił do Drydena Litchfielda. – Gdzie indziej dokończymy tę rozmowę.

– A jak mnie przekonasz? – rzucił wściekle Litchfield.

– Jeśli odmówisz, nie będę miał innego wyjścia jak cię niezwłocznie aresztować.

– Aresztować? – zadrwił. – Na jakiej podstawie?

– Można wnieść przeciwko tobie całą listę oskarżeń.

– I kto by to zrobił? Ty?

– Tak, jeśli będę zmuszony – odparł z ponurą zaciętością Richmond.

Litchfield pokręcił głową z politowaniem.

– Mam wrażenie, że te wszystkie lata użerania się z obłąkaną osłabiły twoją głowę, Richmond... – zamilkł, bowiem pięść hrabiego wylądowała wprost na jego szczęce. Przewrócił oczami i upadł na wznak.

Stanhope, który akurat stał za jego plecami, cofnął się oszczędnym ruchem, by Litchfield mógł bez przeszkód rozciągnąć się na marmurowej posadzce.

– Czy życzy pan sobie, abym z pomocą służby pozbył się tej... osoby z holu, wasza miłość? – zapytał służbiście pochmurnego Justina.

– Tak...

– Nie – wszedł mu zdecydowanie w słowo Richmond, nim skłonił się całej zebranej rodzinie. – Proszę o wybaczenie mojej zuchwałości.

Popatrzył poważnie Justinowi w oczy.

– Royston, wszedłem dzisiejszego wieczoru w posiadanie informacji, w której świetle należy natychmiast i ostatecznie rozwiązać kwestię Litchfielda.

Ellie była wciąż wstrząśnięta obraźliwą uwagą o swej matce, zdumiona, że ten ohydny mężczyzna miał cokolwiek wspólnego z uroczą i łagodną Muriel. Nie całkiem rozumiała też jego uwagę o zmarłej hrabinie Richmond, choć obraźliwa intencja była oczywista – i w mgnieniu oka napotkała zasłużoną karę.

Księżę popatrzył z niechęcią na nieruchome cielsko ogłuszonego.

– Zanieście go do do biblioteki, Stanhope.

– Justinie, czy nie powinniśmy wszyscy usłyszeć tego, co hrabia ma do powiedzenia? – zapytała księżna wdowa z niezwykłą ostentacją.

Księżę spojrział na babkę i miało się wrażenie, że nastąpiła między nimi bezgłośna wymiana myśli, bo już po chwili Justin zwrócił się do hrabiego:

– Richmond, moja babcia najwyraźniej doskonale zna owe... wydarzenia z przeszłości. Hrabia skrzywił się boleśnie.

– Prawda o nich jest... odległa od tego, co dotąd sądziliśmy. – Zerknął niespokojnie na Eleanor.

To jedynie sprawiło, że Ellie całkiem struchlała.

Justin widział wyraźnie, jak bardzo ostatnie wydarzenia poruszyły Eleanor. Jego też nie ominęło zaskoczenie, gdy Richmond zasugerował, że Litchfield nie jest jednak ojcem Ellie.

Bo skoro nie Litchfield, to kto, u licha!?! – gubił się w domysłach.

Nie mógł to być nikt, kogo Muriel Rosewood poznała po powrocie z Indii; Eleanor narodziła się na to zdecydowanie za wcześnie.

Musiał to być inny dżentelmen, z którym Muriel była w Indiach bardzo blisko...

ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

– Poinstruuuj kucharza, żeby obiad przygotował pół godziny później niż zwykle – poleciła Stanhope'owi Rachel St. Just, kiedy już kamerdyner razem z przywołanym służącym odstawili Litchfielda do biblioteki na dywanik. Księżna wdowa stanowczo oprotestowała pomysł, by pokalać gruzińskie meble cielskiem zaniedbanego intruza.

– Później będziesz mógł wyprowadzić tę kreaturę z naszego domu – dodała ze złością.

Justin nigdy nie podziwiał matki bardziej niż w tym momencie. Dzięki wczorajszemu wyznaniu ujrzał w niej budzącą respekt i szacunek kobietę – a nie matkę, którą obwiniał o swoje osamotnienie.

Zauważył też przelotnie, że Richmond przygląda się jej z podobnym uwielbieniem.

– Justinie?

Na dźwięk jej głosu zaczerpnął gwałtownie powietrza. Przez ostatnie kilka minut unikał jej wzroku i zajmował się nadzorowaniem przenosin Litchfielda. Kiedy wreszcie na nią spojrział, poczuł ścisk w gardle, bo Eleanor wyglądała na bardziej zagubioną i bezbronną niż kiedykolwiek.

Zrobił krok w jej stronę, żeby wziąć ją w ramiona, ale w czas zatrzymała go babka.

– Lordzie Anderson – rzekła, rzucając wnukowi ostrzegawcze spojrzenie – zechcesz nam łaskawie wyjaśnić, dlaczego groziłeś temu hultajowi aresztem?

– Obawiam się, że powody nie nadają się dla delikatnych uszu szlachetnych dam – odrzekł hrabia, wciąż jeszcze tłumiąc gniew. – Lecz może wystarczy, iż nadmienię, że ten łajdak nie zasługuje na przebaczenie.

– Ale co miał na myśli, wspominając moją matkę? – zapytała Eleanor.

– Royston! – upomniała Justina surowo księżna wdowa, kiedy podszedł bliżej Eleanor.

Tym razem postanowił zignorować ostrzeżenie babki i opiekuńczym gestem otoczył ją w talii.

– Myślę, że dobrze nam wszystkim zrobi, jeśli usiądziemy – zaproponował troskliwie.

Ellie tak zaskoczył wyraz współczucia i czułości na jego surowej twarzy, że bez oporów pozwoliła się zaprowadzić do fotela. Nie nawykła do wyrażania przez niego tak subtelnych uczuć. Widziała już przejęcie zdrowiem babki, arogancja była jego znakiem rozpoznawczym. Namiętność i pożądanie też często w nim płonęły, ale nigdy nie okazał jakiegokolwiek delikatności.

– Ukrywasz coś przede mną – powiedziała, odmawiając zajęcia wskazanego miejsca.

Zesztywniał w wielkim napięciu, zamknął na chwilę oczy.

– Eleanor...

– To nie Royston jest odpowiedzialny za ukrywanie przed tobą prawdy – przerwał mu hrabia Richmond.

– A więc kto? – dopytywała się Ellie.

– Ja. – W wielkich nerwach hrabia podszedł do Eleanor i wziął w dłonie jej rękę. – Jest moim najgłębszym życzeniem...

– Co ty, u diabła, wyczyniasz, Richmond? – Justin wybuchł zaborczym gniewem na widok innego mężczyzny, który tak poufale jej dotykał. Nadal nie był absolutnie pewien, czy Richmond nie ma do Ellie słabości.

– Justinie, proszę cię! – Głos matki brzmiał roztrzęsiony.

Justin jednak nie spuszczał Bryana Andersona z oczu.

– Zabieraj ręce!

Ellie zbladła.

– Nie sądzę, żeby lord Anderson chciał kogokolwiek urazić – powiedziała pojednawczo.

– Dotykając ciebie, obraża mnie! Powiedziałem, żebyś ją puścił!

– Doprawdy, Justinie, pamiętaj, że hrabia jest naszym gościem – próbowała mu przemówić do rozsądku matka.

Lord Anderson ścisnął jeszcze uspokajająco rękę Ellie, po czym opuścił dłonie i ukłonił się dwóm damom St. Just.

– Nie obawiajcie się, drogie panie. Royston ma pełne prawo protestować przeciwko, według niego, nadmiernej poufałości. Jest w końcu opiekunem panny Rosewood.

– Według mnie? To była jawna poufałość! – wycedził książę.

Ellie dotknęła jego spiętego przedramienia. Nie rozumiała, dlaczego reaguje tak gwałtownie.

– Proszę, pozwól lordowi Andersonowi dokończyć.

Justin wziął głęboki oddech i niechętnie skinął głową.

– Tylko trzymaj ręce przy sobie – dodał groźnie.

Przy innej okazji Ellie byłaby wniebowzięta tak jawną oznaką jego uczuć i prawdziwej zazdrości. Niestety była przekonana, że to nieprawda, skoro wielokrotnie podkreślał, że nigdy się w żadnej kobiecie nie zakocha. Uznała, że jego zaborczość wynika jedynie z roli opiekuna.

– Lordzie Anderson? – poprosiła hrabiego.

– Jest moim najgłębszym życzeniem, abyś nie żywiła do mnie żalu o to, co właśnie zamierzam ci powiedzieć, E... panno Rosewood – poprawił się szybko, kiedy Justin odchrząknął groźnie. – I byś mi uwierzyła, że gdybym poznał prawdę wcześniej, zachowałbym się całkiem inaczej.

Zamilkł, by zebrać siły przed dalszymi słowami, które wyraźnie przychodziły mu z trudem.

– Nie ma żadnego łatwiejszego sposobu, abym ci to powiedział. Abym osłabił ten cios.

– W takim razie po co w ogóle zamierzasz to mówić? – zapytał ponuro Justin. – Nie ma chyba takiej konieczności, skorośmy ustalili, że odpowiedzialność ponosi Litchfield?

– Nie on – zaprzeczył Richmond z pobladłą twarzą i znowu zwrócił się do Eleanor. – Pozwól mi najpierw powiedzieć, jak bardzo jesteś podobna do matki.

Mrugnęła, nie rozumiejąc.

– Znałeś moją matkę?

– Wiele lat temu byliśmy razem w Indiach. – Hrabia pokiwał głową.

Ellie zamilkła.

– Zatem musiałeś znać mojego ojca, panie – zauważyła po chwili.

– Henry Rosewood służył pod moimi rozkazami – przyznał Richmond. – Był lubianym i odważnym oficerem.

Ellie zarumieniła się z radości.

– Nie znałam go, a... moja mama rzadko o nim wspominała.

– Być może wspomnienie było dla niej zbyt bolesne – podsunął jej hrabia.

– Możliwe – zgodziła się smutno.

– Podobieństwo między tobą a twoją matką jest doprawdy uderzające. Bez trudu rozpoznałem w tobie na balu córkę Muriel – ciągnął z przejęciem Richmond. – Wkrótce potem opowiedziałem o tym księciu.

– Nic mi o tym nie mówił – odrzekła Eleanor, rzucając Justinowi zaskoczone spojrzenie.

– Wtedy wydawało mi się to bez większego znaczenia – odrzekł, rozkładając ręce.

– Ale teraz ma znaczenie?

Justin już nie raz podziwiał inteligencję Eleanor, ale ten jeden raz wolałby, żeby była mniej przenikliwa.

– Justinie, czyżby kwestia, o której mówicie, miała coś wspólnego z tą prywatną sprawą?

– zapytała jego babka.

Justin zaczynał gorzko żałować, że otaczają go inteligentne kobiety.

– Tak – odrzekł z ciężkim westchnieniem.

Księżna struchlała, patrząc na rozciągnięte na dywaniku cielsko.

– Chyba nie uważacie...

– Richmond najwyraźniej twierdzi, że to niemożliwe – rozwiął jej lęk księżę.

– To już jest jakaś odpowiedź! – Księżna wdowa położyła z ulgą rękę na sercu.

Ellie rozglądała się po wszystkich obecnych. Nie miała pojęcia, o czym mówi księżna Edith, ale też temat całej ostatniej rozmowy pozostawał dla niej tajemnicą.

– Nadal nie rozumiem, dlaczego lord Litchfield wdarł się tu niezaproszony. O co mu chodziło?

Justin skrzywił się z niesmakiem.

– Najwyraźniej nie spodobało mu się, że zatrudniłem kogoś, by zbierał o nim informacje.

– Dlaczego miałbyś coś takiego zrobić? – dziwiła się Eleanor.

Tu głos zabrała księżna wdowa.

– Obawiam się, że to ja ponoszę za to odpowiedzialność, Ellie. – Nie przejęła się przyganą w oczach wnuka na to zdrobnienie. – Poprosiłam Justina, żeby przyjrzał się w moim imieniu pewnej sprawie, a to są najwyraźniej niemiłe skutki całej afery.

To wyjaśnienie wciąż niewiele Eleanor powiedziało.

– Ale przecież to wszystko nie mogło mieć ze mną nic wspólnego!

– Obawiam się, że wręcz przeciwnie, moja droga. – Księżna Edith uśmiechnęła się przepraszająco. – Choć kiedy poprosiłam Justina o pomoc, nie wiedziałam, w jaką kabałę nas wszystkich wplątuję.

Ellie nadal niewiele z tego wszystkiego rozumiała.

– A o co wasza miłość poprosiła księcia?

– Zdałam sobie sprawę... – Odkąd Eleanor zamieszkała w Royston House, nigdy dotąd nie widziała księżnej tak zmieszanej. Edith St. Just podeszła do niej i wzięła ją za obie ręce. – Nie umiem tego powiedzieć inaczej jak wprost: Henry Rosewood poległ w bitwie dokładnie na rok przed twoim urodzeniem.

Ellie poczuła, że krew odpływa jej z twarzy. Natychmiast zrozumiała pełne znaczenie tego faktu: Henry Rosewood nie mógł być jej ojcem!

Zachwiała się, puściła ręce księżnej i opadła na fotel, w którym wcześniej nie chciała usiąść. Cały salon rozmył się dla niej we łzach.

– Wiedziałaś o tym – rzuciła oskarżycielsko do Justina.

– Tak – przyznał, choć Ellie nie zadała pytania.

– Od jak dawna?

– Tydzień, nie dłużej. Eleanor...

– Nie! Nie zbliżaj się! – podkreśliła słowa ruchem ręki, nie pozwalając mu podejść.

Odetchnęła, kiedy uszanował jej życzenie. Potrzebowała przestrzeni, by choć z grubsza zorientować się, co ta wiadomość dla niej znaczy.

Była córką Muriel, co do tego nie było żadnych wątpliwości. Ale nie Henry'ego. A zatem kim był jej prawdziwy ojciec?

Z przerażeniem popatrzyła na Litchfielda, rozciągniętego przed kominkiem. Nie! –

zaczisnęła z całych sił powieki. Nie mogłaby znieść myśli, że jest córką tak wstrętnego człowieka. To byłoby nawet gorsze, niż gdyby okazało się, że jest z nieprawego...

– To ja jestem twoim ojcem, Eleanor.

Do Ellie ledwo dotarły okrzyki zdziwienia całej rodziny St. Just. Uniosła wzrok i spojrzała na lorda Bryana Andersona, hrabiego Richmond.

– Ja jestem twoim ojcem, Eleanor – powtórzył i przysiadł obok niej na poręczy fotela. Patrzył na nią wytrwale i czule. Wziął jej omdlałą rękę w dłonie. – Przysięgam ci, że dowiedziałem się o tym zaledwie kilka godzin temu. Ale wiem bez cienia wątpliwości, że jesteś moją córką. Nawet nie masz pojęcia, jak się cieszę, że się odnaleźliśmy.

Spoglądał na nią ze łzami w orzechowych oczach.

Ellie odpowiedziała mu spojrzeniem poszukującym, niespokojnym. Wpatrywała, miała nadzieję znaleźć jakiegokolwiek rodzinne podobieństwo. W jego oczach mieszały się zieleń, błękit i brąz, rysy miał surowe i męskie, włosy gołębnie, posturę potężną jak na mężczyznę w jego wieku.

Nie znalazła nic, co potwierdziłoby, że jest jej ojcem.

– Niegdyś miałem włosy tak samo ogniste jak ty – podsunął hrabia, przeczuwając tok jej myśli. – Kiedy miałem dwadzieścia parę lat, przeżyłem ciężki wstrząs i od tamtej pory jestem siwy. Widzisz, moja żona i ja byliśmy małżeństwem zaledwie kilka miesięcy, kiedy doznała wypadku na polowaniu. Nigdy nie wydobrzała, ani fizycznie, ani umysłowo. I już nigdy też nasze małżeństwo nie było prawdziwym związkiem dwojga świadomych ludzi.

– To znaczy, że byłeś żonaty, kiedy ty i moja matka... kiedy wy...

– Tak – przyznał ponuro.

Do Eleanor stopniowo zaczęło docierać to, czego się dowiedziała. Mrok owładnął jej myślami, a ciało osunęło się bezwładnie.

– Z drogi, Richmond! – usłyszała jeszcze z oddali głos Justina, poczuła jego silne ramiona i zanurzyła się całkiem w nieświadomości.

– Na litość boską, Justinie, przestań wreszcie chodzić w tę i we w tę. Idź do tej dziewczyny, jeśli tego pragniesz!

Justin nie przestał chodzić, rzucił jedynie babce pełne napięcia spojrzenie.

– Jestem ostatnią osobą, którą chciałaby teraz widzieć.

– Bzdury! – Księżna wdowa machnęła na niego ręką. – Kiedy minie wstrząs, będzie szczęśliwa, że jest córką hrabiego...

– Z nieprawego łoża!

– Nie mam cienia wątpliwości, że Richmond przyzna jej pełne prawa jako swojej córce.

– Cokolwiek by Anderson zrobił, szczerze wątpię, żeby komukolwiek z nas podziękowała za wtrącanie się do jej życia – mruknął pod nosem Justin. – W kilka minut z córki Henry'ego Rosewooda, przez przerażającą wizję posiadania za ojca Litchfielda stała się córką hrabiego Richmond.

Doktor Franklyn zjawił się na wezwanie błyskawicznie. Szybko ocenił, że Litchfield ma jedynie stłuczoną żuchwę. Zaraz potem łajdakiem zajęli się Justin i Richmond. Z niekłamana przyjemnością dobitnie wyłożyli mu, dlaczego nie będzie nikomu wspominał o zajściach tego wieczoru ani o wydarzeniach z przeszłości. Informacje zebrane przez nich w toku dochodzenia wystarczyłyby, aby resztę życia oglądał zza krat. W ciągu ostatnich dwudziestu lat zniewolił i brutalnie wykorzystał kilka innych dam. Poszkodowane nie życzyły sobie, aby zdarzenia zostały podane do publicznej wiadomości, ale też żadna nie odmówiła poufnych zeznań, gdyby okazało się to konieczne.

Jeśli chodzi o Eleanor, ostatnie wydarzenia były przeżyciem ponad siły nawet tak

niezwykłej młodej damy. Również Justin nie umiał się oswoić z myślą, że Richmond jest jej ojcem. Czegóż więc można było wymagać od niej samej?

Justin spodziewał się, że przy ich intymnej i potajemnej relacji Eleanor nigdy mu nie wybaczy, że zachował te informacje dla siebie.

Zaniósł ją na górę do jej sypialni. Tam też pozostawała nadal pod opieką doktora Franklina i ochroną Bryana Andersona, który doglądał jej jak sokół swojego świeżo wyklutego pisklęcia. Jako prawdziwy ojciec miał przed Justinem oczywiste pierwszeństwo.

Hrabia przed przybyciem doktora zdążył im ledwie pokrótce naświetlić, jak zdobył niezbite dowody swojego ojcostwa.

Dochodzenie Richmonda w sprawie wydarzeń, które miały miejsce przed dwudziestoma laty w Indiach, przyniosło nie tylko obciążające Litchfielda informacje. Tego właśnie wieczoru otrzymał list od damy, która szczególnie się zżyła z Muriel Rosewood i dowiedział się z niego, że matka Eleanor urodziła ją dokładnie w dziewięć miesięcy po opuszczeniu Indii. Czyli dziewięć miesięcy po tym, jak Bryan Anderson spędził z Muriel jedną noc, zanim odpłynęła do Anglii.

– Nie osądzaj go zbyt surowo – tłumaczyła Justinowi łagodnie matka, trzymając rękę na jego ramieniu. – Kiedy to się wydarzyło, miał już za sobą pięć lat piekła, żyjąc ze swoją obłąkaną żoną. Takie rzeczy często się zdarzają podczas wojen i w trudnych czasach. Pamiętajmy też, że właśnie lord Anderson zapewnił Muriel schronienie w swoim domu po tym, jak zaatakował ją Litchfield.

– Po to, żeby samemu ją zaciągnąć do łóżka!

– W końcu tak – przyznała. – Ale znasz go chyba już na tyle dobrze, że wiesz, że wszystko odbyło się za jej zgodą. Jako kobieta mogę ci dokładnie wyjaśnić, dlaczego Muriel przyjęła jego awanse. Potrzebowała fizycznego kontaktu i dobrych wspomnień, które mogła zabrać do domu... zamiast ciężaru pamięci o brutalności Litchfielda.

– Ale zabrała ze sobą do Anglii znacznie więcej niż tylko przyjemne wspomnienie. – Justin zaciskał pięści.

Matka skinęła głową.

– Postanowiła odważnie, że nie poinformuje Richmonda, że spodziewa się dziecka. Pomyśl tylko, przed jakimi dylematami postawiłaby go. Byłby rozdarty między lojalnością wobec żony, która potrzebowała jego opieki, a matką swojej córki. Żałuję, że nie poznałam lepiej Muriel, kiedy wyszła za Fredericka. Jej bezinteresowność przed dwudziestu laty stawia ją w niezwykle dobrym świetle. Nie byli przecież nawet w sobie z Richmondem zakochani, jedynie zbliżyły ich do siebie przeciwności losu. A owocem tego zbliżenia była jej córka.

– Nie mnie trzeba tu przekonywać o prawości lub przeciwnie, mamo. – Justin dbał teraz tylko o dobro Eleanor. Nie liczył już, że jego czułość zostanie kiedykolwiek odwzajemniona.

Nie był też pierwszą osobą, o którą zapytała po ocknięciu. Ten zaszczyt przypadł w udziale Richmondowi.

– Skoro mamy wieczór wyznań...

Justin popatrzył ostro na babkę.

– Jakież to kolejny mroczny sekret zostanie nam wyjawiony?

Księżna wdowa wydęła usta.

– Obawiam się, że nie byłam wobec ciebie całkiem szczerą, drogi chłopcze.

Justin przewrócił oczami.

– A więc to wszystko był podstęp, babciu? Po prostu kolejna próba zwabienia mnie do Royston House, żebym stopniowo przywykał do myśli o małżeństwie?

Księżna Edith wpatrywała się we wnuka zaskoczona.

– Wiedziałeś cały czas?

– Byłem przekonany, że tak się sprawy mają. – Uśmiechnął się cierpko. – Nie zezwalałaś na niczyją obecność podczas wizyt doktora Franklyna, nawet Eleanor nie miała wstępu. I nie jestem tak ociążały na umyśle, żeby nie zauważyć natychmiastowej poprawy, kiedy się wprowadziłem. Powiedz, babciu, jak udało ci się uzyskać efekt tak bladej cery?

Księżna wdowa pociągnęła nosem z zadowoleniem.

– Tak właśnie myślałam, że dodatkowa warstwa pudru będzie bardzo przekonująca.

– O, tak – przyznał Justin. – Domyślam się też, że twoje listy do mamy o nadchodzącym debiucie Eleanor i moim powrocie do domu też stanowiły część planu?

– Jesteś nieuprzejmy, Justinie! – Księżna wyglądała na odpowiednio urażoną.

– Ale bliski prawdy?

– Być może – przyznała niechętnie.

Uśmiechnął się szeroko.

– Nie chciałbym cię rozczarować, babciu, ale mój powrót do Royston House był podyktowany całkiem innymi względami niż twoje udawane niedomaganie.

– O, wiem to doskonale – skinęła władczo głową.

– Naprawdę? – Justin uniósł brwi ze zdziwienia.

– O, tak – potwierdziła z chytrym uśmiechem.

– Babciu... – chciał coś dodać, ale zamilkł na widok doktora Franklyna we drzwiach błękitnego salonu. Ze skupieniem czekał na wiadomości o Eleanor.

– No powiedzże coś wreszcie, nie stój jak kołek – puściły mu po dwóch sekundach nerwy.

– Panna Rosewood czuje się już znacznie lepiej – uspokoił ich lekarz. – Nie zdradza żadnych trwalszych skutków omdlenia.

– I...? – wycedził przez zęby Justin.

– Cóż więcej, wasza miłość? – zapytał doktor.

– Nie pytała o... nikogo? – hamował się ostatkiem sił księżę.

Czoło lekarza momentalnie się rozjaśniło.

– Ależ tak, wspomniała, że zależałoby jej, by pomówić... – Justin już był na schodach w holu i sadył susy po trzy stopnie – ...z księżną wdową.

ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Ellie była zupełnie nieprzygotowana na widok Justina, który wpadł do jej sypialni zaledwie w kilka sekund po wyjściu doktora.

– Cóż ma znaczyć ten szaleńczy pośpiech i wizyta bez zaproszenia? – Richmond popatrzył na księcia wilkiem.

Gdyby powiedzieć, że ostatnia godzina była dla Ellie brzemienna w skutki, byłyby to słowa łagodne. Henry Rosewood, którego знаła tylko z nielicznych opowieści, okazał się nie być jej ojcem, przy czym dokładnie odwrotnie sprawa się miała z lordem Bryanem Andersonem, hrabią Richmond. Był to dla niej prawdziwy wstrząs.

Ale kiedy już zaczęła oswajać się z tą myślą, okazało się, że nie jest to wcale takie przykre.

Mogłaby się oczywiście zмагаć z tymi rewelacjami jeszcze przez całe tygodnie, ba, miesiące, nie dosypiać i snuć się jak widmo, rozmyślając apatycznie o zdarzeniach, jakie miały miejsce dwadzieścia lat wcześniej w Indiach.

Tyle tylko że Ellie nie czuła takiej potrzeby.

Nigdy nie umiała przywołać w sobie innych uczuć ponad szacunek i wdzięczność, jakie zawsze czuła wobec mężczyzny, który zginął jeszcze przed jej narodzeniem. Frederick St. Just nie był zaś dla niej nikim więcej jak drugim mężem matki, z którym zresztą była ewidentnie nieszczęśliwa. Naraz oto miała ojca, do tego lubianego i szanowanego w wyższych sferach hrabiego Richmond. Nie mogłaby liczyć na większą przychylność losu.

Mogła też żywić nadzieję, że w tak odmienionych okolicznościach, pomimo nieślubnego pochodzenia, nie była wcale aż tak odległa w pozycji towarzyskiej od Justina. Hrabia obiecał już, że publicznie przyzna się do ojcostwa, a jako wpływowy człowiek przetrzyma skandal bez większego uszczerbku.

Chociaż efektowne i nagłe wejście Justina do jej sypialni nie spotkało się z aplauzem nowego ojca.

Nie przejął się dezaprobatą hrabiego i całą uwagę skupił na Eleanor, którą ujrzał przed toaletką. Była bledsza niż zwykle i tym jaskrawiej spoglądały jej zielone oczy, tym wyraźniej wybijały się piegi na nosie.

– Nie powinnaś być w łóżku? – rzekł tonem niecierpiącym sprzeciwu, podchodząc do niej.

– Tylko zemdlałam...

– Przeżyłaś ciężki wstrząs!

– Ale przyjemny. – Eleanor odwróciła się i wyciągnęła rękę do ojca ze speszonego uśmiechem. Hrabia odpowiedział uśmiechem ciepłym i czułym. – Ojcze, pozwól, że przedstawię ci Justina St. Justa, księcia Royston. Justinie, poznaj lorda Bryana Andersona, hrabiego Richmond. Mojego ojca.

Podziw i duma z Eleanor niemal rozsadziła pierś Justina. Przedstawiła ich sobie w nowych okolicznościach z elegancją i gracją, podczas gdy w tej samej sytuacji większość kobiet dostawałoby histerycznych i wielce nieprzyjemnych spazmów. Ona była inna. Zmianę przyjęła szybko i z wdzięcznością.

– Royston – skinął głową hrabia.

– Richmond – zawtórował mu książę.

Eleanor uśmiechnęła się niepewnie.

– Zdawało mi się, że byliście przyjaciółmi.

– Byliśmy – odparli jednocześnie.

– Co was poróżniło? – zapytała zaskoczona.

Richmond skrzywił się, udając uśmiech.

– Może sam jej powiesz, Royston? Chyba że wolisz, bym cię wyręczył?

Justin spojrział ze złością na hrabiego; zupełnie inaczej zamierzał podejść do owej drażliwej kwestii.

– Z żalem muszę cię poinformować, że twój ojciec najwyraźniej zdaje sobie sprawę z łączącej nas zażyłości i wcale mu się ona nie podoba.

– Och! – jęknęła Ellie, a jej policzki natychmiast zaróżowiły się.

– Trudno było tego nie zauważyć – warknął Richmond. – Kiedy jesteście w jednym pokoju, można odnieść wrażenie, że powietrze faluje z gorąca.

– Och! – powtórzyła Eleanor.

– Pytanie brzmi, co zamierzasz z tym dalej zrobić, Royston – dokończył groźnie hrabia.

– Och, przecież...

– Zrobię to, co zrobiliby każdy dżentelmen – zagłuszył jej protest Justin. – W tych okolicznościach pozostaje mi tylko prosić cię o honor pojęcia twojej córki za żonę.

Ellie popatrzyła na Justina, jakby postradał zmysły. Co prawda zmieniły się okoliczności, ale pragnienie, by poślubić kochającego ją z całych sił mężczyznę, nie zmieniło się ani trochę.

Oczywiście, kochała Justina bardziej niż kogolwiek na całym bożym świecie i wiedziała, że to się do końca jej życia nie zmieni. Nie mogła zaprzeczyć, że przeszedł ją dreszcz szczęścia na krótką myśl o małżeństwie. A jednak propozycja podyktowana sprawą honorową jej nie interesowała.

Wstała między walczącymi.

– Sama pragnę odpowiedzieć na twą propozycję, wasza miłość – rzekła formalnym tonem i z dumnie uniesioną brodą. – Odpowiedź brzmi nie. Dziękuję. Nie stało się też nic, co by zmuszało cię, wasza miłość, do tej propozycji.

Spojrzała na ojca.

– Być może powietrze faluje, ojczu, ale zapewniam cię, że między nami nie doszło do niczego, co obligowałoby księcia do oświadczyn.

– Dasz nam kilka minut, Richmond? – zapytał Justin hrabiego.

– Moja odpowiedź się nie zmieni.

– Richmond. – Justin nie zwrócił najmniejszej uwagi na jej sprzeciw.

– Moim zdaniem najlepiej będzie, jeśli jednak posłuchasz, co ma Royston do powiedzenia – zachęcił ją ojciec zadowolony, że Justin okazał się człowiekiem honoru.

Ellie zacisnęła z uporem wargi.

– Moja odpowiedź się nie zmieni, nieważne, co on chce mi powiedzieć. Justin... jego miłość doskonale wie dlaczego.

– To zły znak, kiedy zaczyna tak mnie nazywać – wyznał ksiączę ze smutnym uśmiechem.

Richmond pozostał niewzruszony.

– Rozumiesz, że stanę murem za każdą odpowiedzią, jaką postanowi ci dać Eleanor?

Justin spowaźniał.

– Rozumiem.

– Dobrze więc. Dołączę do dam na dole – rzucił dziarsko hrabia i zaraz się skrzywił. – Chyba oczekują ode mnie dalszych wyjaśnień.

Eleanor była wyraźnie strapiona.

– Nie musisz wychodzić...

– Musi, do jasnej cholery! – zawiodły Justina nerwy, ale szybko się opanował.
– Nie opuszczę domu, póki z tobą nie porozmawiam – zapewnił córkę Richmond i pochylił się, by pocałować ją czule w policzek. Rzucił jeszcze na odchodnym ostrzegawcze spojrzenie Justinowi i zamknął za sobą cicho drzwi.

W pokoju zapanowała niezręczna cisza.

Widząc w oczach Eleanor zaciętą złość, Justin zrozumiał, że będzie musiał pierwszy przerwać milczenie.

– Czy zgodzisz się chociaż mnie wysłuchać?

– Nie widzę żadnego sensu – odparła z błyskiem w oku. – Wiesz dobrze, że wyjdę tylko za tego, kto mnie pokocha całym sercem i kogo ja też tak samo pokocham.

Justin nie odwrócił wzroku od jej wzburzonego spojrzenia.

– Tak, wiem.

Uśmiechnęła się mdło.

– I oto masz odpowiedź.

– A gdybym ci powiedział, że zakochałem się w tobie i jestem gotów zaczekać w nadziei, że i ty mnie w końcu pokochasz?

– Nie kochasz mnie, Justinie – odrzekła, nagle pobladłszy Eleanor.

Justin całe lata ukrywał uczucia za murem arogancji i cynizmu. Wszystko po to, aby nie cierpieć znowu odrzucenia. Dopiero niedawno to pojął. Teraz jednak nadszedł czas, aby zburzyć tę barierę.

Nie próbował więc się powstrzymać. Był gotów okazać swoje prawdziwe uczucia. Ukląkł przed Eleanor na jedno kolano.

– Kocham cię bardziej niż samo życie, Eleanor Rosewood-Anderson – rzekł wyraźnie i dobitnie. – Bardziej niż cokolwiek i kogokolwiek innego. Jeśli żywisz do mnie jakie bądź uczucia, choćby pożądanie lub przyjaźń, wyjdź za mnie, proszę, i daj mi okazję okazania ci... dowiedzenia mojej miłości. Może pewnego dnia i ty mnie pokochasz.

Ellie patrzyła na niego jak oniemiała. Nie mogła sobie wyobrazić, że ten dumny mężczyzna naprawdę klęczy przed nią i wyznaje miłość; że chce z niej uczynić swoją księżną.

– Nigdy już żadna prócz ciebie nie będzie dla mnie istnieć – podjął żarliwie w odpowiedzi na jej milczenie. – Nie chciałem pokochać żadnej kobiety, broniłem się przed tym z całych sił, a mimo to ciebie pokochałem... nad życie. I chyba stało się to już pierwszego wieczoru, kiedy wezwałaś mnie do łóżka, nie tak chorej jak się okazało, babci i zganiałaś mnie za opieszałość.

– Księżna wdowa nie jest chora? – Ellie znalazła bezpieczniejszy temat. Słuchała jego wyznania ze skrajnym niedowierzaniem, bliska nawet uznać, że to wszystko jej się śni.

– Ani trochę – potwierdził radośnie Justin. – Ale też nie z tego powodu wróciłem do Royston House.

– To dlaczego? – zapytała.

Była przekonana, że Justin słyszy, jak dudni jej serce. Czy naprawdę mówił, że ją kocha? Że kocha bardziej od czegokolwiek i kogokolwiek innego? Nad życie?

– Chciałem cię chronić – oznajmił ponuro. – Przed Litchfieldem i jemu podobnymi. Westchnął ciężko.

– Wiem też, że nie panowałem nad sobą z zazdrości o tylu młodych kawalerów, którzy zabiegali o twoje względy. Dwoiłem się i troiłem, żeby im przeszkodzić.

Justin był zazdrosny? Ten dumny, wyniosły, arogancki i pewny siebie człowiek, który podobno nikogo nie potrzebował, był zazdrosny o elegancików pokroju lorda Charlesa Endicotta? Czy naprawdę nie widział, że żaden prócz niego dla niej nie istnieje?

– Och Justinie! – Eleanor opadła z wdziękiem na kolana naprzeciwko niego i otoczyła

dłońmi ukochaną twarz. – Kocham cię od wielu miesięcy. Zawsze będę cię kochała. Nie umiałabym uprawiać z tobą miłości, cieszyć się twoim towarzystwem tak bardzo, gdybym cię nie kochała!

Na te słowa jego twarz pojaśniała, a błękitne oczy zaślniły.

– Jak ja cię kocham, Eleanor! – Porwał ją w objęcia i przytulił do siebie, jakby była najcenniejszą istotą na ziemi. – Wyjdź za mnie, zostań moją księżną!

Cofnął się o krok i popatrzył na nią raz jeszcze uradowanymi i pełnymi miłości oczami.

– Och, tak, Justinie. Wyjdę za ciebie!

Popatrzyła na niego z tą samą radością i rzuciła się w jego ramiona.

Tymczasem piętro niżej, w błękitnym salonie, Edith uśmiechała się z cichej satysfakcji. Wiedziała dobrze, że już następnego ranka będzie mogła pokazać swoim dwóm drogim przyjaciółkom nazwisko damy, które przechowywał w zwiniętej kopercie kamerdyner lady Jocelyn.

A nazwisko to brzmiało Eleanor Rosewood.